

TOM CCLXXVIII.

De. II 1

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 834.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

C Z E R W I E C.

1910.

TOM II.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	417
2. O MAURYCYM MOCHNACKIM,—przez <i>Józefa Kallenbacha</i>	439
3. TEODOR ROOSEVELT,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	464
4. MICKIEWICZ W ŚWIETLE NIEZNANYCH PISM,—przez <i>d-ra Maryana Szykowskiego</i>	486
5. TECHNIKA WYPRAW PODBIEGUNOWYCH,—przez <i>prof. Kazimierza Miłowicza</i>	510
6. PLAGA SAMOBÓJSTW,—przez <i>d-ra Kazimierza Niedzielskiego</i>	536
7. UWAGI O MUZEUM WARSZAWSKIEM,—przez <i>P. T.</i>	556
8. PIŚMIENICTWO:	
ELIZA ORZESZKOWA: „Gloria victis,“—przez <i>H. G.</i>	571
FR. BACON: „Szkice polityczno-etyczne,“—przez <i>Wacława Dumina</i>	574
WOJCIECH SZUKIEWICZ: „Spółdziałanie“ (kooperatyzm),—przez <i>W. D.</i>	576
JERZY KURNATOWSKI: „Doktryny ekonomiczne,“—przez <i>W. D.</i>	578
J. L. POPŁAWSKI: „Szkice literackie i naukowe,“—przez <i>Ludwika Włodka</i>	579
„Pamiętniki Stanisława Augusta,“—przez <i>Wł. Konopczyńskiego</i>	584
IGN. TAD. BARAŃSKI: „Sądy Referendarskie,“—przez <i>J. S.</i>	587
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Odślonięcie pomników Kościuszki i Pułaskiego i Kongres narodowy polski w Ameryce. — Gorączka syberyjska. — Nasze piśmiennictwo ludowe. — Związek Narodowy w Poznaniu. — Pamięci Kazimierza Wielkiego. — Wielki Kraków. — Wybory do władz T. K. Z. dawniej i dziś. — Wystawa „Czystość to zdrowie“	589
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Eliza Orzeszkowa, ś. p. Paweł Popiel i ś. p. Maryan Gawalewicz,—przez <i>L. W.</i>	606
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	612



De. II 1.

OPÓKA.

XII.

Paweł wyszedł z ostatnimi gośćmi: Kilka karet odjechało, trzech młodzieńców „epuzerów“ wskoczyło do dwukonki, która z miejsca pomknęła po kawalersku—został sam na chodniku. Godzina była dosyć późna, ale nie tylko sen, lecz i sama myśl o śnie odleciała daleko, więc wracał powoli. Okrążył park, który ciągnął się dokoła pałacu Mirskich, a dotarwszy do rogu, zawrócił i znowu chodził tą samą drogą. Zaglądał przez sztachety w ciemne, pełne jak gdyby tajemnic wnętrze ogrodu, rozmyślał, pogrążył się w dumaniu, które trwało, niby wiosenny dzień. Jak obłok jasności w niebiosach zakwitła cudna i droga postać księżniczki. Widział ją otoczoną blaskiem w łunie wesela z usnieciechem na wargach, ze złotym motylem we włosach i szedł za nią w jej świat szczęścia i młodości. Brzmiały w sercu dobre słowa, wypowiedziane na pożegnanie... W pustym a smutnym przybytku duszy stanął anioł i trzymał złotą kadzielnicę nadziei, i wiał z niej dym radości... Nad miastem rozpostarła się cisza nocna, okna pogasły, a Paweł chodził ciągle jak na warcie, jak gdyby czekał. Przypomniwał mu się wieczór rozstania, taki dawny. Furtka, którą przedostał się wówczas, była zamknięta. Park, tak samo ciemny i cichy, jak niegdyś, krył w swoich głębiach pamięć owego smutku, obraz tamtej godziny. Żalność jesieni i żaloba mroku przebywały w jego milczących alejach, z drzew, które żyły, zieleniały, szumiały w słońcu dnia i błękiecie minionego lata, zostały nagie kościotrupy. Z poza ogrodzenia wychylały się tu i owdzie konary i kładły na chodniku, na smudze światła od lartarki bolesny rysunek bezlistnych gałęzi... Nie zmieniło się tu nic... Pamiętał... Tylko w sercu przechodnia żyły inne uczucia.

I pałac, przed rokiem martwy, chłodny i niedostępny dziś miał dla niego oblicze przyjazne. Za jednym z okien tliła się wążka iskierka światła, stał się niepewny, drżący blask, mżyła jasność migotliwa i chwiejna, może od płomyka lampy, zapalonej przed obrazem. Mimowoli oczy Pawła spoglądały w tamtą stronę. Wydawało mu się, że ktoś tam czuwa, że pałac uśmiecha się do niego życzliwie, że za oknem mieszka jakaś myśl opiekuńcza.

Wspominał. Od owej nocy, kiedy tu był po raz ostatni, minęło wiele czasu, nie w kalendarzu wprowadzie, ale dla duszy. Rok to był długi, smutny i samotny. Na wsi, w pustym domu Naborowskim, mijały dni za dniami, wszystkie szare, wszystkie jednakie. Po dżdżystej jesieni przyszła biała zima, potem wiosna, przesunęły się cztery pory roku. Gdyby go zapytano, co robił w przeciągu tylu miesięcy, nie umiałby odpowiedzieć. Nie zarządzał majątkami, nie pracował naukowo, nie brał udziału w życiu towarzyskiem, a jednak pewny był, że czas ten nie przeszedł bez śladu. Ze wszystkich lat, które strawił, ten zapisał mu się najbardziej w pamięci. Pamiętał tygodnie wielkiej niedoli, okresy zupełnego zniechęcenia, po których następowały miesiące wzmożonego cierpienia i pracy myślowej. Niektóre chwile, pozornie pospolite i błahe, nagłym błyskiem oświetlały mu prawdy życia albo objawy duszy i dokonywał odkrycia, nabywał doświadczenia, nie dlatego wszakże, że nie znał rozumem owych prawd i objawów, ale że przeżywał je uczuciem i zabierał na własność, przyswajał sobie tak jak organizm wchłaniania treść pokarmu. Raz kiedyś jechał saniami jednym koniem. Droga była zawiana, dzień brzydki, mroźny, najgorszy ze wszystkich zimowych dni, dał ostry wiatr północny. Po polu wiły się, snuły się, pełzały nikiłe żmijki i węże i zasypywały ślad sanek, wszelki znak drogi. Trwał dokoła suchy, syczący szelest. Chwilami mocniejszy podmuch zrywał tumany śniegu skręcał je, pędził w dal, tkał z nich sypanie zasłony, tworzył powiewne kształty lotnych istot i ciskał o ziemię w proch, ażeby znikły tak szybko jak powstały i urosły. Drzewa, napotkane przy gościńcu, czarne na skroś bieli krajobrazu, trzęsły się pokutniczo, a powiew wydobywał z rozchwianych gałęzi, niby ze strun, beznadziejną melodyę. Nad monotonną płaszczyną zawisła jednostajnie szara, mroźna równina niebios rozgniewanych i bezlitośnych. Zdawało się, że człowiek samotny, zgubiony wśród śnieżnych obszarów, oddany jest na pastwę chłodnemu wichrowi i zamieci, skazany na zagładę. Koń zapadał, z trudnością torował sobie drogę przez zasy, włócił się ociężale, dzwonek jęczał, płaczącem wołaniem streszczając całą melancholię,

zawartą w takiej jeździe, w taki dzień. Paweł mimo futra przemarzył do szpiku kości, sposepniał do szpiku duszy. Rozumiał smętek śnieżnych rozłogów, złość zimy, beznadziejność mroźnego nieba, znikomą małość człowieka, niedolę własną, a im bardziej odczuwał żalność rzeczywistości, tem goręcej tęsknił do ogniska ciepła i radości, do dobrej i promiennej przystani, do domu, w którymby mógł ogrzać zgrabiąte ręce, skostniałe serce, w którymby znalazł wesele. Takiego domu nie było. Mimo wszelkich nakazów, i zaprzeczeń, i rozumowań, ogarnęło go pragnienie szczęścia i wyrosło postanowienie, ażeby żyć jeszcze, rozpocząć znowu, próbować, budować. Wykrzesał w sobie w owem mgnieniu energię i wiarę i, wysiadając przed gankiem w Nieborowie, myślał, że aby odszukać to, za czem tęskni, wystarcza chcieć i dążyć...

A innym razem na początku jesieni znalazł się sam w lesie. Było to po pierwszym silniejszym przymrozku, który przyszedł niespodzianie, kładąc kres ciepłym, słonecznym dniom. Bór milczał, nie ruszały się sztywne drzewa, zamarła i zatarła swój wiekiusty oddech skrzepła ziemia. W nieruchomym powietrzu tkwił mocny zapach rozkładających się liści, posępna płachta zachmurzonego nieba nie dawała znaku życia ani obłokiem, który wykwita nagle, płynie, unosi w dal stęsknione spojrzenie, ani chmurą, która nasuwa się, zasmuca, rzuca cień trwogi, ani najmniejszym choćby pasemkiem błękitu, który jest jak uśmiech radości. Zaległa cisza śmierci, jak w pustym domu po wyprowadzeniu zwłok. Paweł stał i przyglądał się pełen zniechęcenia, obojętny na wszystko, pogrążony w martwym śnie, jak przyroda. Aż usłyszał głos szemrzącego strumienia, który śpieszył kędyś przez leśną polanę, płynąc, pilnie do ostatniego tchu, do chwili lodowej śmierci spełniał swoje zadanie, i stukot pracowitego dzięcioła. I jednocześnie wynurzyła się w duszy prawda o życiu, myśl, iż istnienie składa się z małych powszednich, szarych dni, ale że każdy z owych drobnych dni winien być wykonaniem jakiegoś zadania, krokiem naprzód ku jakiemuś celowi, iż mimo wszystko, trzeba znosić dolę, dźwigać brzemień i robić swoje. Szept niestrudzonej wody i praca dzięcioła obudziły w Pawle zwykłe, a mimo to doniosłe i krzepiące poczucie obowiązku. W tym nastroju pogodzenia, szarej rezygnacyi, wrócił do domu. Nie szukał zasadniczego celu, nie pisał programu, zabrał się tylko do zaniedbanych czynności, nie znaczących na początku, do rachunków, zajęć gospodarczych, podrzędnych spraw domowych. Rozpoczął pracę z niechęcią i ze znudzeniem, przewycięzał lenistwo, ale wkrótce przyszyły mu z pomocą sumienność i pedantyzm. I pole działania

rozszerzało się z dniem każdym. Pokazało się, że roboty tu, w zakątku najbliższym, jest co nie miara, a ludzi brak. Był jakiś proces z rządem o kaplicę, który trzeba było umiejętnie skierować i poprowadzić, budowano nowy kościół i lud dźwigał go z krwawych zaoszczędzonych groszy, a dziedzic Naborowa przez kilka lat nie odpisywał na listy proboszcza, powstawały wszędzie w okolicy, z wyjątkiem Naborowa, szkoły, choroby trapiły wieś, tymczasem szpitala czy lecznicy nie było w promieniu dziesięciu mil. Paweł postanowił za jednym zachodem zmasakrować wszystkie winy hultajstwa, opieszałości, samolubstwa i doktrynerstwa. Jeździł do miasta, naradzał się z adwokatami, dawał pieniądze, budował, obcował z ludem. Ogarnęła go dawna energia, odinłodził, zadowolenie napełniało duszę. Za to kurz pokrył na biurku arkusze papieru, mozolnie zapisane dawniej rozmaitymi programami rozmaitych partyj i owe niezliczone drukowane i niedrukowane szkice a studia, poświęcane nauczaniu społeczeństwa. Praca realna zajęła miejsce teorii, jak liście z drzewa opadły ambitne marzenia o przodownictwie. Paweł stał się prostym w stosunku do siebie i do ludzi. Nie grał żadnej roli, nie przybierał pozy. Interes dla kościoła, szkółek, szpitala i doli włościaństwa nie wypłynął z formuły konserwatywnej, demokratycznej albo socjalistycznej, lecz wyrósł w sercu. Działał, bo chodziło mu o to, by przynieść pożytek nie krajowi i społeczeństwu, ale okolicy, ludziom, których znał, spotykał często i polubił, by spełnić obowiązek i zapełnić dzień dobrą czynnością. I żałował długich a najlepszych lat, które zatruł walką i bezowocnym szukaniem abstrakcyjnej prawdy, najbardziej zaś tych miesięcy, które zmarnował już tu w Naborowie. Od dnia, w którym porzucił błędne szlaki i wszedł na prostą, a jednak tak długo ukrytą przed nim ścieżkę minęło zaledwie dwa tygodnie, ale wydawało mu się, że dokonał i zapoczątkował wiele. Chciałby już mieć poza sobą przynajmniej rok użytecznej pracy, chciałby móżdżek cieszyć siebie widokiem wież kościoła, szkoły, lecznicy, dobrobytu chłopów... W sercu mieszkala wciąż tęsknota, która przemówiła tak gorąco, nieledwie namiętnie tam wśród śnieżnych rozłogów, zaspanych północną zamięcią, tęsknota za ogniskiem ciepła i radości za domem wesela, ale milczała na razie, zagłuszona gwarem bardziej żywotnych i bliższych urzeczywistnienia spraw, i Paweł wierzył, iż do końca dni nie zakłóci mu spokojnej radości, czerpanej z poczucia wykonania obowiązku.

W trakcie gorączkowych zajęć wypadło mu wyjechać do miasta dla interesów bankowych i zwinięcia mieszkania. Przy-

padkiem, u wejścia do centralnego biura „Oświaty“ spotkał księżną. Otrzymał zaproszenie na raut, i oto nagle odezwały się uspio-
ne uczucia i zbudził się jak gdyby w wiosennym dniu.

Spoglądając w mroczne głębie parku, w ciemne okna i owo jedno oświetlone tajemniczo migotliwym blaskiem, nie śmiał nazywać rzeczy po imieniu, nie odważał się budować, oddawał się nieuchwytnemu marzeniu, i płynął na kuszącej jego fali.

Turkot spóźnionej dorożki przywołał go do porządku, uprzytomnił potrzebę powrotu. Ruszył raźnie. Wchodząc do bramy, przypomniał sobie spakowane kufry i postanowienie odjazdu popołudniowym pociągiem. Zrozumiał, że to niemożliwe. Nawet bez oglądania się za jakimkolwiek zmyślnym pozorem powiedział sobie, że zostanie. Gdy służący otworzył mu drzwi mieszkania, zdziwiło go, że wszystkie pokoje są oświetlone.

— Jacyś państwo tu są—szepnął tajemniczo lokaj, zgadując myśl pana — czekają oddawna.

— Jacyś państwo...

I rzeczywiście w gabinecie byli niezwykli goście. Nie poznał ich w pierwszej chwili. Śniałowski zmizerniał przez ten rok, podstrzygł włosy, natomiast zapuścił długie wąsy, Hanka, którą ostatni raz widział w nędzy, wyglądała strojnie. Przywitali się w milczeniu. Obie strony były zakłopotane.

Śniałowski wywołał Pawła do sąsiedniego pokoju.

— Przypuszczam, że nie wyrzucisz nas przynajmniej tej nocy.

— Ależ nie może być o tem mowy... Mieszkanie duże...

Młody działacz przyglądał się chwilę Pawłowi.

— Chcielibyśmy nawet zostać tu czas jakiś — rzekł ciszej, wahając.

— Doskonale... Będzie mi mniej pusto—uprzejmie podchwycił Paweł, radośnie podniecony.

— Nie przyczynimy kłopotu. W tem obszernem mieszkaniu znajdują się chyba dwa pokoje... Zresztą ja mógłbym i gdzieindziej, ale panna Skibowska... Chodzi nam o to, by na jaki tydzień zejść z oczu.

— Doskonale, wybornie, nic łatwiejszego... Są pokoje... służba będzie dyskretna...

— Magnaci są dobrze widziani, mają jaknajlepszą markę. Władzom nie przyjdzie nawet na myśl szukać tu — Śniałowski uśmiechnął się — chociaż co prawda był czas, że spiskowano nawet w tych salonach...

— To już dawne dzieje... Zapomniałem, zapomnieli i oni... A ty działasz ciągle.

— Działam — sucho odparł młodzieniec.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Paweł zadzwonił, wydał rozporządzenie, Hanka udała się na spoczynek. Oni zostali jeszcze w gabinecie. Patrząc w pałacę się świece, milczeli. Śniałowski wydał się Pawłowi zupełnie obcym. Rozdzieliły ich światy, przyjaźń wypaliła się do szczętu, nie istniał już interes dla wspólnej niegdyś sprawy. Pracowali razem, potem spierali się i walczyli, dziś mimo jaskrawych różnic nie było nawet ochoty do dyskusji. Idea socjalistyczna, którą kochał, od której potem odwrócił się z nienawiścią, stała się Pawłowi tak obojętną, jak rzecz martwa. Zapomniał w ciszy wiejskiej, wśród zajęć o istnieniu partji, ze zdziwieniem dowiadywał się na widok Śniałowskiego, że ona żyje jeszcze, że są ludzie, którzy jej służą, lecz nie oburzał się i nie chciał nawracać dawnego towarzysza. Ale było mu trudno milczeć w tej chwili z sercem wezbranem nadzieją.

— Drogi nasze rozchodzą się i znowu spotykają się — odezwał się Paweł.

— Na krótko, na krótko!... usunę się jaknajprędzej—w głosie Śniałowskiego był ton cierpki — ostateczność zmusiła nas szukać schronienia u ciebie.

— Możesz tu bawić tak długo, jak ci się podoba — dobrodusznie mówił Paweł. — Zmieniłem się, zmieniłem poglądy, ale spierać się nie będziemy. Niech każdy według własnego rozumienia, byleby w dobrej wierze...

— Nie spodziewałem się takiej tolerancji.

— Rok ten spędziłem na wsi, w samotności... Roboty jest dużo, a życie jedno i krótkie... Zajmowałem się dotychczas ideą, abstrakcją, brałem życie, niby zadanie matematyczne, szukałem zasady i programu z tem, żeby działać podług programu, tymczasem przekonałem się, iż trzeba wejść w środek życia, między żywych ludzi i ich żywe potrzeby, że najprzód działać, budować, a program znajdzie się sam — z prostotą opowiadał Paweł.

Śniałowski słuchał posepnie.

— No i wszyscy działają, każdy po swojemu, ale jakoś pożytek nie wielki — wstawił.

— Dlatego, że ludzie szukają wielu rzeczy, a głównie dążą do celów samolubnych — bez gniewu zaczął wykładać Paweł.

Rozmowa była monologiem, ponieważ gość milczał, ponieważ obaj spoglądali na siebie z wysoka i z daleka, z pobłażliwością i spokojem, które wynikają z lodowatej obojętności.

Paweł mówił długo o swoich zajęciach i projektach, o walekach i religii, w której przypuszczał, iż znajdzie odpowiedź na najważniejsze zagadnienia.

— I byleby trochę szczęścia, jakiś promień radości — wkroczył potem w dziedzinę osobistą — i urwał nagle, bojąc się, że nadzieja, gdy dotknie ją myślą, stopnieje jak garść śniegu na dłoni.

Spojrzał potem na Śniałowskiego z trwogą, że ten zapyta go, o jakim marzy dla siebie szczęściu. Ale bojowiec oddawna zapewne przestał go słuchać. Siedział zamysłony z twarzą, na której tkwił wyraz, nieznanym przedtem Pawłowi, niezmiernie przykry, wyraz znużenia, bolesnego wysiłku, zgnębienia. Piękne, płonące niegdyś oczy zgasły, wązkie i uparte czoło porały zmarszczki poprzeczne, brzydkie, gminne.

— Chory jesteś? — ocucił go Paweł.

— Nie...

Zaległo milczenie.

— Późno już — odezwał się Śniałowski, pragnąc pozbyć się gadatliwego gospodarza.

A gdy Paweł wyszedł, położył się w ubraniu na kanapie, i, zgasiwszy świece, próbował usnąć. Ale zbiegły się natychmiast i obiegły go myśli złe, nekające, niebezpieczne i zatrwały mu gozdziny spoczynku.

XIII.

Zagadkowy blask, który przyjaźnie uśmiechał się do Pawła w jednym z okien pałacu, był światłem lampy palącej się przed obrazem i Paweł nie mylił się, przypuszczając, że ktoś tam czuwa. Czuwała znękana dusza właściciela pałacu. Hrabia Tobiasz przesunął się przez gwarne salony, rozmawiał trochę z paniami, najdłużej z Obrońskim, przypatrywał się, potem schronił się do kaplicy na krótkie mgnienie cowieczornego skupienia, tymczasem goście się rozjechali, ogromne domostwo zapadło w sen, noc mijała, a on klęczał ciągle. Była to godzina próby. Przyszły na męża silnego chwila słabości, lęk zniechęcenia, utrapienie niepokoju, stanęła przy nim pokusa, wątpienie obiegło twierdzą wiary. Zmagał się z pokusą, bronił się, starał się spokojnie zajrzeć w siebie i prawdzie w żywe oczy. Po okresie wzmożonej działalności, pilnych usiłowań zaczynało ogarniać go rozczarowanie i coraz

częściej nawiedzała chęć porzucenia miasta i pracy. Niby daleka przystań zmęczonemu rybakowi ukazywał mu się odludny, zgubiony wśród smętnych równin białoruskich pałac, w którym spędził przeważną część młodości i marzył o tem, żeby wrócić tam, zamknąć się, zapomnieć o świecie, o nędzy człowieka i nędzy własnej. Wydawało mu się, że trud, który przedsięwziął ani dla sławy, ani z jakichkolwiek innych rachub osobistych, jest bezowocny, że nie nadeszła pora, albo, że on jest niezdatny, ale bał się, że to odzywa się znowu głos samolubny, stłumiony niegdyś, przed laty. Więc toczył z sobą długie rozmowy. Zapytanie jak jęk wybiegło na usta, zwracał się z bolesnem słowem do Chrystusa...

Uwierzył był, że znalazł drogę, która wiodła ku opoce, że na opoce rozpocząć trzeba budowę i właśnie przystąpił do niego duch przeczenia, wpełzły do duszy moce niszczycielskie. Odbywała się tajemna walka. Człowiek zachwiany zasłaniał się tarczą wiary, powoływał się na Tego, który z ołtarza ze starego obrazu w płaszczu purpurowym i koronie cierniowej błady spoglądał znużonym wzrokiem, „książę świata tego“ roztaczał przed nim potęgę swoją, odpowiadał szyderyczym śmiechem dziejów i rzeczywistości, śmiał się. A Chrystus milczał na ołtarzu i w duszy wątpiącego.

Z krużganka zamku, na którym postawił go książę świata tego, rozciągał się widok na obumarłe rozłogi smutnej przeszłości, na straszliwą terażniejszość i beznadziejne dale przyszłości. Hrabia Tobiasz zasłonił znużone oczy. I spostrzegł w dziwnem widzeniu jakoby drugim wzrokiem gdzieś w nizinach kaplicę tonącą w półmroku, siebie samego, lampę zapaloną przed obrazem Chrystusa, który milczał, spostrzegł małego samotnego człowieka, zadumanego wśród przestworów wszechświata nad zagadnieniem, przerastającym jego siły, pojmował daremność wysiłku, niedorzeczną nicość trudu.

Spróbował przeciwstawić szydzącej prawdzie życia górne słowa mowy ludzkiej. Niegdyś porzucił był samolubne ustronie dla ojczyzny, przez ukochanie bliźniego i Boga. Szukał tedy ojczyzny, owej dawnej, o której mówiła pieśń wieku, do której tęskniły wysokie duchy, którą miłował, i szukał także, mąż wielkiego tęsknienia, braci, towarzyszków broni, sprzymierzeńców... A gdy „książę świata tego“ pokazał mu kraj rodzinny i ludzi, dwunogie stworzenia, hałaśliwe, niespokojne, zajęte rozmnazaniem się, żadne użycia, chciwe, znikome, odwrócił z pośpiechem wzrok. Jakowys niezmierny jęk zgnębienia zabrzmiał w sercu.

I szukał Boga w życiu, w dziejach, w kościele.

— Nie jest że kościół—przemawiał tamten, zwycięzki i szyderczy—zaprzeczeniem nauk Tego, który umarł miłując? Co zostało z nakazów Syna człowieczego? Które ze słów Jego się spełniło? Jakie ziarna wzeszły? W suche formuły, w martwe wiązania dogmatów obróciły się najcudniejsze objawienia Syna Bożego, wysokie kazania o prawdzie, żywocie i drodze, słodkie obietnice, ciche pociechy. Dalekiem jest królestwo Boże, dalszem dziś, niż przed wiekami, gdy w podziemiu katakumb odbywała się agape, gdy rozkwitały pierwotne gminy, gdy chrzest był odrodzeniem i życie ofiarą... Odzywają się dziś głośno dzwony, powstały wspaniałe świątynie, tłumy słuchają mszy i różańców, ulotniła się tylko miłość, zgasł duch, nie pali się już świeca wiary. I zamiast żywota, o którym nauczał Mistrz, jest pospolite ziemskie życie, ujęte w przepisy pięciu przykazań kościelnych, zamiast prawdy odradzającej, która wyzwala, wybujał dogmat ślepego posłuszeństwa, rozkrzewiła się teologia, zamiast drogi do królestwa Bożego — ścieżka wydeptana do spowiednicy i ołtarza z cudownym obrazem. Tam, gdzie niegdyś gmina miłości, braterstwa, czystości i ubóstwa, gmina świętych wyznawców i męczenników, czysta kolebka myśli Zbawiciela, dziś — kościół powszechny, katolicki, kościół papieża.

Ukochałeś Rzym dawny, opokę piotrową, święty trud Pawła — patrz dzisiaj! Wierzyłeś dumnie i radośnie, że Chrystus daje dziełu swemu, oblubienicy swojej moc i rozkwit—gdzie owa potęga? Skończyły się świetne czasy władzy... *Religio depopulata*. Nie spełniło się żadne ze słów Nauczyciela. Był, odszedł, przeminął prędzej, niż ziemia i gwiazdy... I niemasz Boga w kościele, na ziemi, w ludziach... Przechodzą pokolenia, rozegrywa się historia, panuje zwierzę ludzkie, nic się nie zmienia...

Hrabia Tobiasz wpatrywał się w stary, wywieziony przed laty z zabranej kaplicy wizerunek Umęczonego, przed którym spędził tyle godzin na krzepiącej modlitwie. Chrystus milczał na ołtarzu i w sercu wąpiącego.

— Pamiętasz—mówił za to tamten zwycięzki i szyderczy—smutne słowa Syna człowieczego: „albowiem idzie książę świata tego, a we mnie nic niema.“ Nie jest że to westchnienie niemocy? „Ojcze mój, czemuś mię opuścił...“ Przenogłem Nauczyciela i Pana, podbiłem kościół, objąłem we władanie naukę, państwo i prawa. A ty, człowiek wąty i chwiejny, zamierzasz budować opokę, chcesz wydrzeć ojczyznę niewoli i złu! Znasz ojczyznę swoją, kraj waśni i służalstwa, przelotnych błysków bohaterstwa

i długiego bezprawia, ziemię samowoli, swawoli, buty?! Umarła ojczyzna, ta umiłowana, do której tęsknił pielgrzym polski. Nie znajdziesz już serca, w którymby żyło wysokie marzenie o niepodległej chwale. Przemysł i polityka... Rak wieku stoczył serca rodaków, trąd nowożytnej myśli pożera im dusze. Któż pójdzie za tobą? I gdzie twoja opoka? Bawią się pokolenia coraz to innymi hasłami, wymyślam dla was nowe wyrazy, stwarzam bożków, zabawiam was. Wszystko się powtarza. Bałamucę was i rozrywam postępem, filozofią, wiedzą ścisłą, religią, sztuką, obdarzam patryotyzmem, mistycyzmem, wszelkimi żądzami i tęsknotami. Są rozmaite gusta i rozmaite rozrywki. Dałem wam mowę, a mowa stała się źródłem najzgubniejszego nieporozumienia. Uwierzyliście w słowa i stworzyliście z nich świat pozorów. Napróżno szukacie prawdy i piękna, dobra i zła, celu i przyczyny, ładu i myśli przewodniej. To wszystko tylko zwodnicze wyrazy. W nieskończonym obszarze wszechświata — atom ziemi, mikrob ludzkości, który przeminie, mrok i chaos. Przypadek powołał was z nicości, przypadek strąci w otchłań niebytu. Światło nauki, które roznieciliście, ukazuje tylko przepastne głębie wiekuistej nocy. Niewidomi jesteście i skazani na niewiedzę...

— Ty jesteś duch przeczenia i zła, hetman buntu, „anioł szatana,” który policzkuje człowieka na drogach prawdy — odpowiadał hrabia Tobiasz.

— Nie jestem ani dobry, ani zły, gdyż niema dobra, ani zła, nie podnoszę buntu, bo nie znam żadnej władzy.

— Któż jesteś tedy?

— Jestem rzeczywistość. Nazywacie mnie radosną i smutną, celową i niedorzeczną... Złorzeczycie mnie i uwielbiacie... Jestem, trwam. Nie ukrywam w łonie swoim żadnych prawd, nie chcę was trwożyć, ni nękać. Rzeczywistość jest martwa, obojętna, głucha, ślepa.

— Ale człowiek cierpi.

— Ludzie rodzą się, trwają czas krótki, doznają radości i bólów, umierają. Powstają i gasną światy, znikają narody, opadają liście, giną roje owadów, roztrącają się o skałę fale. Ja nie znam żalu.

— Wyrasta wśród nieskończoności cel wiekuisty, do którego dążą ludzie, narody, światy. I spełni się kiedyś wola Tego, który jest.

— Nie wiem. Nie pytaj mnie o nic, bo nie wiem nic. Nie wiem nawet, czyli istnieję naprawdę.

— Ukazywałaś mi w człowieku zwierzę ludzkie, w dziejach okrucieństwo, w kościele rozkład, w ojczyźnie — smutny schyłek, szydziłaś z Tego, który zbawił, ukazywałaś mi wszechpotęgę zła. Istnieje tedy złe, a jeśli złe zakryło ziemię niby czarny cień, płonie kędyś słońce dobra.

— Ja nie wiem nic. To tyś patrzył oczami człowieka, znieprawionego wiarą w słowa, zbałamuczonego światem pozorów. Ulepiono już wiele systematów i religij.

Trwała tajemna rozмова, toczyła się walka.

Hrabia Tobiasz próbował wznieść się na dawną wysokość wiary, miłującej i czynnej, szedł szczebel po szczeblu, jak wówczas, gdy w długim trudzie ducha osiągał ją i utrzymywał, lecz łamały się szczeble, upadał. Myśli na podobieństwo onych dusz potępionych w pierwszym okręgu Dantejskiego piekła polatywały gnane niepokojem i nie miały gdzie wychnąć. Jadowite słowa zwątpienia cisnęły się na usta. I coraz głośniej wołała pokusa, żeby porzucił rozpoczętą pracę, ową wątłą opokę, zszedł z drogi śmiejącym się ludziom, nie budował w próżni, a zamknął się w ustroniu szczęścia i samolubnej doskonałości. Książę świata tego urągał strudzonemu mężowi, którego nazywano niezłomnym, i zwalczał go cierpieniem, szyderstwem, pokorą i pychą. Sięgnął w głąb myśli jego i uczuć, wydobył z nich najskrytsze, zapomniane oddawna dumania, najbardziej tajemne niepokoje i pragnienia i uczynił je swoim narzędziem. Stawał się po kolei badaczem i mędrcom, rzecznikiem tłumu, panem ziemi i żądz, duchem przeczenia, przerażającym widzeniem teraźniejszości, przytłaczającą potęgą martwej, pogrążonej w wieczystym śnie materii, pożądaniem samolubnej doskonałości, tęsknotą za spoczynkiem. Przypomniawszy hrabiemu Tobiaszowi młodość, odludny i dumny szczyt, na którym postawił był ołtarz pod wezwaniem człowieka silnego i radosnego, ołtarz samemu sobie, przypomniał wielki grzech życia, bagno upadku, w którym grzązł przez lata, i natrzęsał się z zamiarów nauczania i nawracania.

— Cóż mam czynić? — pytał znużony walką.

— Nie pytaj mnie. Ja nie wiem nic. Niema na ziemi czynów i niema dzieł trwałych. Pokolenia budują i burzą ku zabawie własnej...

Hrabia Tobiasz dumał. Twierdza wiary, wzniesiona w trudzie długich lat, wytrzymała niejedną napaść. Znał wszystkie zarzuty, dowody, podstępny nieprzyjaciela. Dusza chowała zdobytą wiedzę i strzegła jej. Nie runęło żadne z wiązań gmachu, osłabła tylko wola dążenia i czynienia, wyczerpała się moc. Z roz-

trząsań wynikało zniechęcenie. Nie stracił z oczu Słońca, zapalonego we wszechświecie, Słowa przedwiecznego, które trwa w łonie Bytu, do którego tęsknił w niezmiernem utęsknieniu rozłąki duch jego, zwątpił o sobie, o wartości życia i pracy dnia, o ziemi, oddanej na pastwę zła, zwierzęcia ludzkiego, żądz. Znużone ręce nie chciały udźwignąć dzieła, które wydawało się nad siły, które tyle już razy rozpoczynało tylu mężów, większych aniżeli on.

„Był, odszedł, przeminął Nauczyciel i Pan, przeminęły słowa Jego, prędzej niż niebo i gwiazdy. Odkupił duszę człowieczą i stał się źródłem łaski zbawiającej, ale nie uczynił Królestwa Niebieskiego na ziemi nieprawości. Rzeczywistość urąga obietnicom Jego...”

Hrabia Tobiasz podnosił spojrzenie ku wizerunkowi Ukrzyżowanego. Chwiejny płomyk lampy kładł na blade oblicze ruchome blaski, które szczydziły, które, zdawało się, policzkowały świętą Twarz. Chrystus spoglądał znużonemi oczami w mrok kaplicy, oglądał może, jak ten, który klęczał przed Nim, nędzę życia, okropność wieku.

Istniejąż taka moc, takie cudowne słowa zaklęcia, albo hasła, które wstrząsną pokoleniem, obudzą ojczyznę, gdzie kult ciała, ziemi i materji, gdzie użycie, miłość złotego cielca, pycha rozumu, chłód?

Odwracał się ze wzgardą i odrazą, z trwogą i smutkiem od tłumu i jego niedoli, która wynikała z grzechu, od miasta, które wysmiewało jego usiłowania, tęsknił do spoczynku, do swego cichego ustronia, do samotności.

I kto miał nawracać i nauczać zbłąkane rzesze? budować na opoce gmach odrodzenia? On, człowiek lichy i nieszczemny, słaby i chwiejny? Uniosła go pycha. Alboż zmazany jest wielki grzech młodości? Świat, który leży w złem, nie jest dziełem myśli jego, a kraj rodzinny—ojczyznę duszy. Sprawy ziemi stanęły między nim a Bogiem i zgubił drogę swoją, wyraźny szlak, wiodący ku zbawieniu. Czemże są cierpienia jednostek i narodów? cóż znaczy bolesny krzyk krótkich dni rodu ludzkiego? Przemija wszystko. Tylko duch trwa, duch przed Panem i w Panu.

Tam, w dalekim, zgubionym śród pól białoruskich pałacu, gdzie w młodości postawił był ottarz pod wezwaniem zwierzęcia wyzwolonego i radosnego, zagłębił się w poznawanie skrytych nurtów duszy, w poznawanie Boga, uczyni pokutę. Żaden odgłos świata nie zakłóci mu czystych a wysokich dociekań, kurz ziemi, obłok smutków doczesnych nie zasłonią przed nim Słońca przed-

wiecznego. Gorliwem rozmyślaniami o śmierci i nieskończonym pątnictwie ducha, nieustającym kajaniem się, modlitwą i umartwieniem, pracą ku zbawieniu, aktem pokory i wdzięczności, czujnym oczekiwaniem łaski będą dni jego samotne i ciche w odludnym ustroniu. Najpierwszym i jedynie doniosłym trudem człowieka jest praca nad duszą własną, ażeby podnosił ją, oczyszczał i oświecał prawdą, ażeby nauczył się pojmować niezmierną ułomność swoją i nieskończoną dobroć Stworzyciela.

„Oto bowiem w nieprawościach jestem poczęty—szepotał ulubione wersety codziennego psalnu— a w grzechach poczęła mię matka moja...”

I przesunęły się przed nim lata życia, o których we wstępie obrzydzenia wołałby zapomnieć, które pragnąłby wymazać i zmasać. Oglądał młodość swoją, której nie uweselał Bóg, pychę zaślepienia, niewiarę, grzeszne uciechy tamtych dni, obłądny wierzchołek ubóstwienia człowieka, straszliwy upadek swój... Należał był do tych, o których powiedziano jest, że lepiejby było, gdyby im zawieszono kamień młyński u szyi i zatopiono w głębokości morskiej... Wyznawał naukę o radosnem życiu w bohaterstwie, pięknie i mocy—i grzął w topieli grzechu. Z głębokości spodłonej duszy zawołał na niego Pan...

„Pokropisz mię hyzopem, a będę oczyszczony, omyjesz mię, a będę nad śnieg wybielony... Słuchowi memu dasz radość i wesele i rozradują się kości poniżone”— tęsknił wielkiem pożądaniem duszy, która pojęła szczęśliwość zatopienia się w Bogu i wyrывa się w lot nadziemski.

„Odwróć oblicze Twoje od grzechów moich, a zgładź wszystkie nieprawości moje. Serce czyste stwórz we mnie i ducha prawego odnów we wnętrznościach moich. Przywróć mi radość zbawienia Twego... Wybaw nas ze krwi, Boże, Boże zbawienia mego...” — korzył się i kajał i bił się w piersi i upadał na twarz przed Majestatem Bożym w poczuciu nicości własnej i ułomności człowieka, nędzy życia.

Modlitwa nie przyniosła pokrzepienia. Ostała się w duszy niezłamana napaścią wiedza, ale zgasła karmiona przez nią, karmiąca ją miłość, która jest tajemnym źródłem wszelkiego czynu, a także strumieniem, płynącym przez życie, rzeką żywota, biegnącą do morza Bytu, światłością człowieka, która oświeca każdego na ten świat przychodzącego i jego własnem światłem.

I Chrystus milczał na ołtarzu i w sercu czuwającego.

Minęła długa jesienna noc, brzask zajrzał przez okno kaplicy. Hrabia Tobiasz wstał wreszcie i udał się do swego pokoju.

Szedł na palcach przez ciche salony, dziwne w świetle świtu, puste a niespokojne z powodu bezładu sprzętów, przykre przypomnieniem balu, po którym zostały niesprzątnięty bufet i mdły zapach perfum, kwiatów, pudru. Zegary zaczęły wydzwaniać jedne po drugich poranną godzinę—dom spał jeszcze.

Hrabia Tobiasz ubrał się pośpiesznie i, nie budząc nikogo, wyszedł na miasto. Śpieszył do odległego kościoła na mszę. Idąc ulicami, na których już rozpoczynało się codzienne życie, nie patrzył, nie spostrzegał. Niemiłym mu był znany widok pracy ludzkiej, bolesnem—zejście z wyżyn tęsknoty, na których przebywał, między gwar dnia, na padół niedoli powszedniej. W duszy błękały się echa roztrząsań i walk nocnych. Nie powziął jeszcze żadnego zamiaru— postanowił czekać. Pragnął posilenia duchowego przy stole Pańskim, a także rozmowy z księdzem, który jedyny w tem mieście był mu sprzymierzeńcem, powiernikiem i bratem. Głos jakiś wewnętrzny nie przestawał ostrzegać go, że ulega pokusie, że wybiera niedobłą drogę.

Zbliżając się do kościoła, podniósł wzrok, ogarnął spojrzeniem niebo. Budziły się niebiosy. Wśród pochmurnej szarzyzny zapłonęły krwawą czerwienią i złotem, zajaśniały różanym rumieńcem i bladym blaskiem wschodnie obszary. Ukazały się tam szkarłatne kolumny, purpurowe arkady, promienne smugi, świetliste szlaki, najcudniejszy gościniec nadziei. Spoglądały tęskniące oczy ku rubinowej bramie poranku, jak gdyby czekały na przyjście Tego, który zapowiedział był swój powrót. Smutnemi wydały się hrabiemu Tobiaszowi piękno ziemi, radosna gra światła i barw i dalekiem beznadziejnie za owem niebem ognia i purpury niebo duszy.

„... który czyni, że słońce Jego wschodzi na dobre i na złe...” —myślał.

I rozumiał, że trzeba pozostać na twardym zagonie pracy. Z wież świątyni zawołały dzwony.

XIV.

Hanka została w mieszkaniu Pawła. Wolałaby może w pierwszej chwili, ażeby gospodarzem jej był ktoś nieznamy całkiem, naprzykład magnat Obroński, który zaciekał ją, ale Śniałowski wytłómaczył, że ordynat odmówił, że nie znajdzie bardziej bezpiecznego schronienia, więc pogodziła się ze swoim losem bez

sarkania. Zresztą Paweł zachowywał się najdyskretniej, stał na uboczu, schodził z drogi. Nie spotykali się prawie. On spędzał całe dnie niemal na mieście, ona siedziała w swoim pokoju. Czas dłużył się niezmiernie. Śledziła w pismach opis zamachu, interesując się każdą najmniejszą wzmianką, każdym opowiadaniem — innego zajęcia nie było. Nad całą przyszłością wisiała zasłona... Dokąd się uda, gdy wreszcie wolno jej będzie wyjść stąd, co uczyni z sobą, nie wiedziała. Czyn, który przez kilka ostatnich miesięcy był głównym celem, był punktem oparcia dla myśli, został spełniony, innego drogowskazu nie umiała znaleźć w danej chwili. Śniałowski wyszedł któregoś ranka i znikł na długo. Rzucił jej przed wyjściem nadzieję wyjazdu za granicę — więc układała projekty. Chciałaby mieć wiele pieniędzy, jeździć pociągami luksusowymi z miasta do miasta, ubierać się pięknie, bawić się, używać, chciałaby zerwać raz na zawsze z partią i wszystkim dotychczasowem, stać się kimś innym, nowym, odmienić się z gruntu. Czytając powieści polskie i francuskie, zazdrościła bohaterkom, których dzieje pod łaskawem piórem autora rozwijały się łatwo i konsekwentnie, kończyły się w sposób wyraźny i stanowczy w klasztorze albo w trumnie, małżeństwem albo jakimś aktem bohaterskim. Jej życie poplątało się dziwnie i zatrzymało się w zaułku, z którego nie było wyjścia. Żadne zdarzenie zewnętrzne nie przychodziło z pomocą — wbrew utartemu w powieściopisarstwie zwyczajowi — i trzeba było samej zdobyć się na jakieś postanowienie. Z czterech możliwych epilogów najbardziej usmiechało się jej zamążpójście i marzyły się czasami miłość i spokojne szczęście we własnym domu z kimś blizkim a drogim. Nie widziała przed sobą drogi ni celu, ale pragnęła jeszcze żyć dla siebie i nie wyrzekała się nadziei. Tymczasem dokuczała jej nuda, albo trapiły myśli, za którymi wlokły się smutek i żal, zwątpienie i trwoga. Chwilami blizkim był wniosek, że zmarnowała dar istnienia, popełniła błąd, że sama jest winną, i blizkiem — zrozumienie przyczyn błędu, ale brała wówczas książkę i starała się rozproszyć zadumę. Tłuniła także, naczytawszy się gazet, pamiętać zbrodni — i na razie udało się jej zapomnieć. Oddawna była tylko gościem własnej duszy, niby gość odwiedzała ją rzadko, a odwiedzając, chodziła na palcach, jak gość, który nie chce obudzić śpiącego gospodarza.

Pewnego dnia, gdy przechadzała się po salonach, zabawiła ją myśl o tem, że dobrzeby było wyjść za Pawła za męż. Słyszała o wielkim jego funduszu, wiedziała, że owdowiał. Odtąd trochę dla zabicia czasu zaczęła grę, polegającą na usidleniu Pa-

wła. Starala się spotykać go, gdy wracał z miasta, zadawała mu pytania, rozmawiali to tu, to tam przygodnie. Spostrzegła rychło, że on nie zwraca na nią uwagi, że oczy jego, jak Śniałowskiego, spoglądają nie widząc, i rozumiała, iż zachody pójdą na marne. Ale Paweł, uprzejmy, spokojny, doskonale wychowany wzbudził w niej sympatyę. Zapanował między niemi prosty i łatwy stosunek. Zaprzyjaźnili się i całe godziny nieraz spędzali na gawędzie. Nie mówił jej rzeczy głębokich, mądrych, oryginalnych, a mimo to każde powiedzenie jego robiło na niej wrażenie. Czasami, słuchając go, miała ochotę śmiać się, i dziwiła się, że wędrują jeszcze po świecie takie poglądy, lecz nie zaprzeczała mu nigdy. Obcowanie z nim było rozrywką, przyjemnością, odpoczynkiem, rada była znaleźć się w sferze inteligentnej i kulturalnej, zapomnieć o szeregach proletaryackich, o walce klas, kwestyi społecznej i rewolucyi, zdawało się jej, że Paweł otworzył przed nią jakoweś drzwi i wprowadził do pokoju, gdzie mieszkają cisza, dobrobyt i zadowolenie. Przypomniała mu wizytę jego przed rokiem, gdy przychodził w imieniu panny Maryńci Kamienieckiej z propozycją zapomogi i na pytanie jej, jak żyć, nie umiał odpowiedzieć. Teraz wyglądał na człowieka pogodzonego z sobą, z ludźmi i z życiem. Pogoda zapanowała w duszy i biła mu z twarzy. Odmłodził i poweselał. Opowiadał Hance, jak Śniałowskiemu, że buduje kościół, zakłada szkółkę i szpital, zajęty jest skomasowaniem wsi, że trzeba przedewszystkiem pracować z całych sił, bo roboty jest dużo na każdym polu, pracowników zaś brak zupełny, i że programy znajdą się same. Słuchając go, nie mogła poprostu pojąć, że budowanie kościoła albo szkółki może koiuś zapełnić życie. A gdy on zapytał, czy podziela jego poglądy, była w kłopotcie. Napomknęła coś o używaniu i radości, o prawach do szczęścia i obowiązkach względem samego siebie.

— Pani, zdaje mi się, należy do partyi—zdziwił się—a tam, o ile wiem, znaczenie i zadanie jednostki podporządkowują celom ogólnym.

— Należę do partyi mechanicznie—odparła wymijająco.

I rzeczywiście, o tem, że tkwiła w organizacyi, że chodziła na posiedzenia przez rok cały, studyowała broszury, brała udział w pracach i zamachu—zapomniwała prawie. Było jej tak, jak gdyby wyjechała w strony nieznane, do dalekiego kraju, jak gdyby od dnia zamieszkania w tym domu minęło już wiele czasu.

— Więc czemu pani nie wystąpi?—dziwił się ciągle Paweł—tyle jest innych dróg!...

Spochmurniała. Pytania jego poruszały sprawę drażliwą i trudną.

— Nie wiem. Wystąpię zapewne. Niech pan mówi lepiej o sobie—prosiła.

— Nie nawracam pan. Ale skoro pani sama twierdzi, że nie podziela już tantych wierzeń... Szkoda jest życia, które trwa tak krótko. Byłem pesymistą, konserwatywnym ziemianinem, ludowcem, mieszkałem w obozie skrajnym, napisałem kilka odczytów i wiele programów, badałem najrozmaitsze teorie, zajęty sterowaniem nawy społecznej, byłem chodzącą formułą — wesoło śniął się Paweł z przeszłości, jak człowiek, któremu smakuje terażniejszość.

— Teraz żał mi tyłu zmarnowanych lat. Straciłem był z oczu własne krótkie istnienie, próżnowałem. Dziś chodzę po świecie bez etykiety i nad biurkiem pracy mojej niema już szyldu. Robię, co mogę, chcę ulżyć trochę tym, co mnie otaczają, towarzyszą niedoli ziemskiej. W chacie Piotra Szulaka padła krowa—pożyczam, gdzieindziej chorują dzieci—sprowadzam doktora i lekarstwa, ludzie nie mają gdzie modlić się—buduję kościół. To są małe rzeczy, ale gdybyśmy wszyscy zabrali się do tych drobiazgów, kto wie, kto wie...

— I wystarcza to panu? Nie tęskni pan za czemś wyłącznie dla siebie?—spytała.

Paweł podniósł wzrok i popatrzał uważnie Hance w oczy, jak gdyby pragnąc przekonać się, czy nie domyśla się czego.

— Każdy pragnie dla siebie cząstki szczęścia. Jeśli znajdzie, tem lepiej, a niema go, trzeba mimo wszystko robić swoje — odparł raźnie.

Hanka pomyślała, że takie teorie wygłaszają zwykle ludzie, przekonani o tem, że zdobędą dla siebie swoją cząstkę szczęścia.

Zaległo milczenie. Paweł znowu popatrzał w oczy, rozglądał się po salonie, zajrzał w swoje ogromne, świetne lustra, dumiał...

— Czy pani zna księżniczkę Marylkę?—zapytał prosto z mostu, tłumiąc uśmiech, który rozniecało mu w sercu to imię, czując potrzebę wygadania się, mówienia o niej.

— Nie, ale słyszałam wiele—skłamała Hanka, żeby uchwycić za nią i po nitce dojść do kłębka.

Nie było to trudnem. Paweł sam najchętniej i najszczerzej otworzył przed nią serce i prowadził ją po zwodniczym labiryncie nadziei. Wysłuchiwała go z przyjaznem zajęciem, dodawała mu otuchy, dawała mu rady i wskazówki, niby starsza doświadczona

siostra. Po tej roznowie zbliżyli się jeszcze bardziej. Paweł przychodził z miasta, kierował się do pokoju Hanki, siadał na krześle, poruszał temat religijny albo społeczny.

— Kiedy się myśli o ludzkości, o proletaryacie, o społeczeństwie, to zapomina się zwykle o sobie i ludziach. Od chwili, w której zrozumiałem, iż życie moje musi mieć jakiś cel, nie przerastający sił moich, ani okresu mego trwania, odkryłem w sobie i w otaczających mnie żywego człowieka. Stałem się czującym i współczującym. Czynić dobrze, nieść ulgę—w tem cel i radość życia—mówił poważnie.

A była to tylko przygrywka, po której rozpoczynała się długa pieśń o księżniczce Marylce. Zwierzał się Hance ze wszystkich nadziei i wątpliwości, wtajemniczał ją w najdrobniejsze szczegóły, opowiadał o każdym spotkaniu z żalem albo radością. Hanka dowiadywała się, że na fix'ie u hrabiny Skomoroch księżniczka, otoczona panami, nie raczyła go zauważyć, że tegoż wieczoru w teatrze życzliwie rozmawiała z nim w łoży, że na raucie u pani Wroni udało mu się zająć przy niej miejsce, że pozwoliła mu zabrać ze stołu kwiat, którym się bawiła, że słuchała z zajęciem, albo odwracała spojrzenie w stronę młodego hrabiego Hilarego Zabłockiego, że we wtorek miała suknię jasno-różową, a w niedzielę białą...

Paweł był naiwny, chwilami trochę nudny, ale ujmował szczerością i młodością uczucia, tak nie licującego z jego wyglądem i wiekiem, i Hanka najserdeczniej życzyła mu powodzenia. Przyglądała się szczęściu jego tak, jak się patrzy na własną fotografię z lat dziecińczych z pewnym żalem, ale jednocześnie ze spokojnem zrozumieniem, że powrót jest niemożliwy. Odczuwała wdzięczność dla Pawła za pogodny spokój, którym ją otoczył, w którym odpoczywała znękana dusza — i nie wymagała niczego dla siebie. A on oceniał jej przyjazne usposobienie i odpłacał wzajemnością. Pamiętał Hankę z epoki pierwszego pobytu swego w Naborowie, gdy była młodziutką uroczą panną z dostatniego dworu wiejskiego, widział ją potem w nędzy i smutku, domyślał się ciężkich ciosów, które złamały to życie, ale zachowywał dyskretne milczenie. Brał go tylko żal, tem większy, że sam szczęśliwy, chciałby ażeby wszystkim naokoło było równie dobrze. Pewnego dnia wszakże przyszło między nimi do rozmowy, przykrojonej dla obojga. Było to po wyjściu malarza Andrzeja Hryszcza, którego zaprosili dla obstalowania u niego ozdoby programów na przedstawienie amatorskie, urządzone staraniem księżnej, usilnie popierane przez księżniczkę Marylkę, a więc żywo

obchodzące Pawła. Paweł zauważył, że malarz przywitał Hanke jak dawną znajomą, lecz zarazem niezmiernie chłodno, że ona zarumieniła się, że zamienili z sobą kilka słów, które zasmuciły dziewczynę. I zaczął snuć domysły na temat nieszczęśliwej miłości, któremu to cierpieniu współczuł bardzo i pracował niebogata w fortele wyobraźnią nad tem, jakby połączyć tych dwoje kochających się, a rozłączonych jakimś nieporozumieniem.

— Bardzo podobał mi się malarz—zaczepił Hanke, która siedziała posępnie.

— Sympatyczny jest—rzekła chłodno.

Widok Andrzeja przypomniał jej dawne czasy i dawne marzenia, których nie było już, a których żałowała. I znowu doznała uczucia, niby przed fotografią własną z lat dzieciennych, do których się tęskni ze spokojnem przeświadczeniem, iż przeszłość nie wraca. Przywitała go serdecznie, chciała zatrzymać go dłużej. Ale on obejrzał ją podejrzliwie od stóp do głowy, zdziwiony jej obecnością w domu człowieka nieżonatego; zbył zimnem słowem uprzejme zaproszenie. Rozdzieliła i poróżniła ich nieufność.

— Czy pan Hryszcz jest żonaty? — prostodusznie dążył Paweł do swego celu.

— Nie.

— Bardzo podobał mi się. To musi być niezwykle dobry człowiek.

— Zapewne...

Była cisza. Hanka z goryczą wspominała ów rok, w którym poznała malarza i obcowała przyjaźnie, rok, pełen smutków, tęsknot, niepokojów, a o ileż lepszy od teraźniejszości. Rysowały się przed nią nadzieje, marzyło wówczas smutne serce, życie leżało niby droga nieznaną, gdy dziś... Co dzisiaj?

— Cieszę się niezmiernie z pobytu pani w moim domu—próbował jeszcze Paweł—rad byłbym, żeby pani bawiła tu jaknajdłużej, ale to przecież nie może trwać. Rozumiem doskonale. Partya dopomni się o panią...

— Pan delikatnie daje mi do zrozumienia, że pora już iść za drzwi—zauważyła z goryczą.

— Ależ, pani—żywo zaprzeczył—powtarzam, że pragnę zatrzymać tu panią bardzo długo. Boję się tylko, że partya wyda rozkaz. Pani mówiła sama o czysto mechanicznym związku. Lepszyby było może zerwać z niemi stanowczo, jeśli zmieniły się zapatrywania. Należałem także, wystąpiłem, nie żałuję teraz.

Hanka milczała.

— Pani młoda jest. Czas jeszcze wejść na inną drogę, rozpocząć nowe życie. Cele abstrakcyjne nie dadzą pani zadowolenia i przyjdzie kiedyś okres smutku. Trzeba obudzić w sobie żywego człowieka, wejść między żywych ludzi, wyzyskać dar istnienia. Wielką jest radość dobrej pracy. Wynajdziemy dla pani zajęcie, zresztą sama pani znajdzie. Pole takie rozległe. A potem wydaje mi się, że zwłaszcza kobieta, której powołanie najbliższe...— mówił z dobrocią, wykladał długo, potem czekał na odpowiedź.

— Nie wiem, panie. Pan zapewne ma słuszność, ale to wszystko nie dla mnie. Powie mi pan, żebym szła stąd, pójdę gdzieś. Nie mam przed sobą ani celów społecznych, ani tamtych, o których pan opowiada.

Rozmawiając teraz miała wrażenie, że Paweł, taki blizki niedawno, oddalił się, że stanęła między nimi jej niedola, że zawisła nagle czarna zasłona, która go kryje przed nią. Z któregoś kąta tego pięknego salonu wyleciał nagle nietoperz i rozpostarł ciemne skrzydła, i tkwił nieruchomy w powietrzu nad głową, i niepokoił ją... Była to pamięć czynu, który niegdyś nęcił ją i bawił, a teraz wynurzał się z przeszłości i straszył. Po raz pierwszy zaznaczyła się w umyśle wyraźna myśl, że świat, do którego chciał wprowadzić ją Paweł, świat spokoju, pogody i zadowolenia, zamknięty przed nią na zawsze, że ona spaliła za sobą mosty, że owe szeregi proletariatu, dla których nie czuła ani uznania, ani miłości, zabrały ją na własność i nie puszcza.

— Nie zna pan mego życia—łłomaczyła z goryczą—i ja nie będę o niem opowiadała. Są w niem plamy i cienie, niektóre przykre stronicie. Może i łatwo jest wystąpić z partyi, ale wystąpić nie znaczy jeszcze rozpocząć nowe istnienie. Niech pan nie sądzi po sobie. Pan wędrował, koczował, przetrząsał teorye, bawił się, bawi się w dalszym ciągu. Śmieją się panu dziś oczy do szczęścia. Ja nie mam programu, nie wyznaję żadnych zasad. Twarda niedola trzyma mię mocno. Komuż mam czynić dobrze, co będę dawała ludziom, gdy jestem zła, gorzka, pełna bólu, nie-szczęśliwa.

Paweł nie zaprzeczał już, oszołomiony, zgnębiony tą zjadliwą mową cierpienia.

— Trzeba mieć zasoby moralne, wzniosłe zasady, religię, miłość bliźniego, a przedewszystkiem zamożną kieszeń. Nie mam nic z tego. Gdyby mi dano dziś wielkie bogactwa, możebym zaczęła używać wesoło, strojnie i szumnie, możebym rozdała wszystko tym, którzy mają czarne ręce i wilgotne mieszkania. Nie wiem. Pragnęłam dawniej szczęścia, dziś i temu nastał koniec.

Jestem tu, odpoczywam, patrzę z przyjemnością, że komuś przynajmniej jest spokojnie, a gdy pan powie, żebym szła stąd, albo gdy zawołają mnie, pójdę gdziekolwiek. Człowiek odrzuca jedną wiarę, żeby wziąć inną, ja nie udźwignę już żadnej. Czy żyjemy dla pociechy własnej, czy też na to, by wyrzekać się i poświęcać się, nie wiem i nie pytam poprostu dlatego, że jakakolwiek wypadnie odpowiedź, ja nie potrafię do niej się zastosować..

Płynęły gorzkie, jadowite, bolesne zdania, jak przed rokiem, i Paweł milczał, jak wówczas, lubo że teraz miał odpowiedź, dowody i piękne nauki ku pocieszeniu. Ona zaś przeraziła się treści własnych słów. Była gościem w stosunku do swojej duszy, starała się zachodzić tak rzadko i przebywać krótko, weszła zmuszona i zajrząwszy, przekonała się, że jakowys przybysz podczas jej nieobecności dokonał zniszczenia. A łudziła się chwilami, słuchając Pawła i przyglądając się jego istnieniu, że i dla niej jest kędyś taki sam dom spokojny i jasny, w którym zamieszka kiedyś pełna pogody i zadowolenia z siebie. Widziała teraz wyraźnie przepaść, dzielącą jej świat od krainy Pawłowej. Mosty zostały spalone i po krótkim wytchnieniu wyruszy stąd dalej, wróci na swój brzeg, na wzgórze niedoli. Nie dla niej łagodny a radosny pokój pracowitych, dobrych dni. Albo zapamiętać się w szale uciech, albo krzyczeć z rozpacz, z żalu, z trwogi, z gniewu... Siedziała z pochyloną głową, dumając gorzko. Niepokoił ją nietoperz, który tkwił nieruchomy w powietrzu, rozpostartymi skrzydłami dotykał czaszki.

— Powiedziałam, że pan bawi się, budując szkoły, ochronki, kaplice — mówiła po chwili, żeby stłumić ów przykry niepokój.— Nie chciałam pana urazić. Może i dobrze jest żyć tak, jak pan, jak ci, którzy z pasma dni przędą dobro, pożytek społeczny, miłosierdzie. I mnie uczono niegdyś, że szczęście jest w Bogu i miłowaniu bliźniego, że z poświęceń się, z pełnienia obowiązku wynika najtrwalsza radość, pamiętam, ale od wiedzy do czynu daleka, trudna, nieprzebyta nieraz droga... próżnię mam w duszy i czarny cień zła...

— Pani zmęczona jest po jakichś przejściach i zawodach—próbował pocieszać—odpocznie pani, nabierze sił... zginą wątplenia... Uśmiechnęła się.

— Odpoczywam, panie, już od roku, od dwu lat może. Zaczęłam zbawiać ludzkość i jakoś nie wyszło to mi na dobre...

— Nikt nie będzie trzymał pani gwałtem. Pani powie im, że zmieniła zapatrywania, wyjedzie gdzieś—z uporem podawał jej wciąż to samo lekarstwo,

— Dobrze, panie, wystąpię, wyjadę—zgodziła się, ale w głosie jej brzmiało takie szyderstwo, że przestał mówić, bojąc się dotykać zbyt bolesnych ran.

Milczeli. Hanka patrzyła gdzieś w przestrzeń ku ogromnym, świetnym w złoconych ramach zwierciadłom i widziała w nich nie własne odbicie, ale czarny obszar niedoli, o której zapomniiała była. I nękał ją niepokój, wywołany bliskością nietoperza, który rozpostartymi skrzydłami dotykał czaszki. Paweł przyglądał się jej z żalem i nie śmiał odezwać się. W cierpieniu dziewczyny była siła, która tłumiła zapal nauczania, udaremniała przekonywania. Doznawał teraz wyrzutów sumienia, rozumiejąc, iż stał się mimowolnym sprawcą jej smutku. Cisza, która trwała, nękała oboje. W salonie, wspaniałym i obszernym, wypełnionym cennymi sprzętami, stworzonym, rzekłbyś, do zabaw i wesołości, wydawało się niestosownem nie rozmawiać i nie śmiać się. Paweł wstał i wymknął się nieznacznie.

Minęło kilka dni. Odbyło się przedstawienie amatorskie, na którem księżniczka Marylka brała udział w żywych obrazach i komedyi francuskiej, i Paweł zachwycił się nią zdala, próbował zbliżyć się i odsunięty przez innych, milczał, były jakieś rauty, udane wówczas, gdy wydawało mu się, że księżniczka przychylnie przyjmuje jego nieśmiały hołd, nieudane i smutne, jeśli dawały powód do wątpienia. Opowiadał Hance o swoich wrażeniach i nastrojach, zachodził do jej pokoju, jak dawniej, ale rwała się rozmowa i nie dopowiadał do końca swoich myśli. Z przyjaźni prostej, łatwej, miłej obojgu nie zostało ani śladu. Znękana dziewczyna witała go uśmiechem, usiłowała wykazać interes, ale Paweł spostrzegwał rychło, że to wszystko jest sztucznem, że ją pochłaniają jej własne troski, że oni są już sobie dalecy. A dla Hanki obcowanie z Pawłem było poprostu męczącym. Widziała w nim żywy przykład, budzący zawiść obraz życia, za którym tęskniłaby, gdyby nie straciła nadziei, i tym goręcej odczuwała cały ciężar złej doli swojej. Nie mogąc zostać na zawsze w krainie dobrego bytu ludzi przeciętnych, wołała wrócić czempredzej do własnej ziemi zmartwienia. Czekała na Śniałowskiego.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

O MAURYCYM MOCHNACKIM.

(Z powodu nowych monografij).

Dziesięć lat mija od trzeciego Zjazdu historyczno-literackiego w Krakowie, na którym wygłosiłem referat p. t.: „Kilka uwag o niezafatwionych kwestiach literatury polskiej z pierwszej połowy XIX wieku.“ Zwróciłem tam głównie uwagę na literaturę t. zw. emigracyjną; wykazywałem, ile na tem polu pozostawało do zrobienia. Wynikiem ożywionej dyskusji była uchwała, że Zjazd historyków polskich uznaje potrzebę szczegółowych badań nad literaturą emigracyjną. Między innemi poruszyłem dotkliwy brak monografii o Maurycym Mochnackim. Z kwestyj, w referacie moim omówionych, niejedna doczekała się już załatwienia; ale mało która tak była ponętna, tak organicznie wiążąca się z kwestyą całej Emigracyi naszej po r. 1831, jak życie i twórczość zmarłego na wychodźstwie autora „Powstania Narodu Polskiego.“

Po długim milczeniu, naraz z dwu stron padły niemal równocześnie spore i barwne wieńce na opuszczoną mogiłę wielkiego pisarza w lat 75 po jego przedwczesnej śmierci. Dwie monografie,¹⁾ do których niebawem przyłączy się trzecia,²⁾ to objaw bar-

¹⁾ *Artur Śliwiński*: M. Mochnacki — Żywot i Dzieła. Z wizerunkiem M-go według rzeźby Wł. Oleszczyńskiego. Lwów 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, str. 400. *Jan Kucharzewski*: M. Mochnacki, 1910. Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Gebethner i Wolff (in 8-o maj. str. 550, z portretem).

²⁾ *St. Szpotkański*: M. Mochnacki. Ob. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akad. Umiej. w Krakowie. Grudzień 1909. (Tom XIV, № 10), str. 14—19. Posiedzenie z dn. 18 października 1909 r.

dzo dodatni naszej myśli społecznej, która żywiej zaczyna krążyć i coraz częściej zwraca się do epoki roku 1830. Wydawnictwa, zorganizowanego przez Akademię Umiejętności Komitetu do dziejów Polski porozbiorowych, prawie wyłącznie dotychczas ogłosiły źródła do lat 1830—1831, a więc: Dyaryusz Sejmu ówczesnego w czterech ogromnych tomach, Korespondencyę księcia Lubeckiego, Pamiętniki J. U. Niemcewicza, Ign. Domeyki i Mikołaja Malinowskiego. Coraz widniej staje się na polu tragicznych wypadków po nocy listopadowej, a na ten coraz jaśniejszem tle rysuje się coraz śmielej i pewniej wielka postać Mochnackiego.

Współcześni bali się go, jak ognia, który poufałej bliskości nie znosi. Bali się—i podziwiali. Przeciwnicy polityczni nienawidzili go—i podziwiali! Krótko to określił Michał Podczaszyński, najbliższy powiernik i towarzysz w niedoli emigracyjnej: „Maurycego wszyscy wogóle się boją, nawet milczenie jego, niekomunikowanie się z nikim mają za dowód jakiegoś zamysłu.“ Potwarz i zawiść ściagały go do grobu, sięgały nawet poza mogiłę. Ale instykt narodowy nie dał się oszukać: za pomnik literacki, postawiony powstaniu listopadowemu, za trud życia, strawionego na służbie ciężkiej, za słowa płomienne, stwierdzone czynem żołnierskim i ranami na polach Grochowa, Wawru i Ostrołęki, Emigracya wyraziła mu, przynajmniej po śmierci, uznanie w formie składkowego pomnika na cmentarzu w Auxerres. Krótki, wojskowy hołd streszczał się nad otwartą mogiłą w tych prostych, szpizowych słowach, że „Maurycy Mochnacki dość żył dla swojej sławy, ale zbyt krótko dla ojczyzny, której był mocnym filarem.“

Emigracya zrozumiała — po niewczasie — kim był dla niej Mochnacki. Żywego znieść nie mogła, jak żyjącego wyrzutu sumienia narodowego; po zmarłym tęskniła, jak do źródła krzepiącego w znojach pielgrzymki. Wychodźcy długo oswoić się nie mogli z ciszą cmentarną grobowca w Auxerres. Nad niesfornym chórem potępień i krzyków emigracyjnych nikt już po nim zapamiętać nie umiał:

„Ilekróć z pośród tłumnych, pospolitych wrzasków wybił się głos gwałtowny, a przecie pełnej czystości dźwięku, doskonałej harmonii, tułactwo wraz poznawało mistrza; na utworach, gdzie rozsądek w muzycznym słowie się rozlewał, aby łatwiej wpłynąć do duszy, umieliśmy z pod kłamliwych napisów wyczytać to historyczne imię. Jeszcze na kilka dni przed zgaśnięciem jakież to światło wymowy i politycznego sądu ten górny umysł w koło siebie roztoczył! jakby chciał skonać przy swych monarszych in-

sygniach, z piorunującym słowem na ustach przy echu powszechnego poklasku i bluźnierstw małej zawiści. Ciężka strata!¹⁾

Emigracya uczyła, jak mogła najlepiej, pamięć Mochnackiego: dłutem Oleszczyńskiego, piórem Ropelewskiego. Niedola czasu sprawiła, że o najtrwalszym pomniku, jakim jest wydanie zupełne dzieł pisarza, ani Emigracya zdała od Warszawy, ani Warszawa pod cenzurą myśleć nie mogła. Wymierało pokolenie roku 1831-go, które karmiło się Mochnackim, a następne nie miały skąd zaczerpnąć wiedzy o całym Mochnackim. Zacierała się powoli pamięć jego zasług i znaczenia. W lat trzydzieści po jego śmierci wydała księgarnia Żupańskiego w Poznaniu dzieła w pięciu tomach. Wydanie to, dokonane dzięki przygotowaniu zabiegliwej matki Maurycego, miało wszelkie cechy dorywczej roboty: tekst niekrytyczny, pobieżna korekta, nie porównywająca błędów druku z kopią lub autografem, haniebny tekst francuskich listów, nieład chronologiczny w tomie IV w tak zwanych „Pismach rozmaitych,” brak indeksu nazwisk i t. d., oto ogólna, smutna charakterystyka jedynego po dziś dzień wydania zbiorowego dzieł M. Mochnackiego, które wreszcie nie jest kompletnem, gdyż nie objęło np. całego mnóstwa artykułów literackich i politycznych z lat 1826—1831. Nic dziwnego, że nowsze pokolenia poza „Historją Powstania“ nie znały właściwie Mochnackiego, albo znały go tylko pobieżnie i niedokładnie, na wiarę ogólnikowych sądów, zapamiętanych z podręczników historii literatury.

Dopiero w 1904 roku przypomniał z Fryburga prof. St. Dobrzycki, ile to jeszcze zapomnianych i nieznanych artykułów kryją czasopisma warszawskie z lat 1825—1830.²⁾ Był to głos wołającego na puszczy. Wszędzie indziej ocknęłoby się zaraz jeśli nie sumienie literackie, to przynajmniej interes księgarski. Wszakże tomik nieznanych, z niepamięci dobotych artykułów Mochnackiego, mógł liczyć na pokrycie bodaj kosztów nakładu i przepisywacza. A jednak na tomik taki czekamy zawsze jeszcze. Może wejdzie on w skład krytycznego, zupełnego wydania dzieł Maurycego Mochnackiego. Miejmy nadzieję, że wydane świeżo monografie przyczynią się w znacznej mierze do tego, aby nareszcie

¹⁾ Wspomnienie o piśmiennictwie polskiem w Emigracyi (St. Ropelewskiego). Kalendarz Pielgrzymstwa Polskiego na r. 1840. Paryż (1839), str. 36.

²⁾ Spis literackich artykułów i rozpraw Mochnackiego w czasopismach warszawskich (1825—1830). Pamiętnik Literacki, III, 456—468. Lwów 1904. Spis ten, jak sam autor zaznacza, nie jest zupełny i wymaga szczegółowej rewizyi.

w lat 75 po śmierci znakomitego pisarza społeczeństwo polskie wzbogaciło się całokształtem jego myśli.

Trudność sprawiedliwego ocenienia wielkiego naszego pisarza pochodzi nietylko stąd, że nie mamy zupełnej podstawy w krytycznem wydaniu wszystkich pism jego; rośnie ta trudność w miarę zgłębiania treści, która bynajmniej się nie uleżała, jak tytoń, i ucukrowała, jak figa — aby użyć klasycznego porównania — owszem, jest ciągle żywa, a nieraz tak samo niepokojąca, jak przed 80-u laty niepokoiła Lubeckiego, Kaliszan i J. B. Ostrowskiego. Duch Mochmackiego nie spoczął. Jak za życia, walczy on i dziś z dziedzicznymi wadami narodu swego, godzi w sedno, budzi z odrętwienia, podnieca do opozycji, zawstydzta lub upokarza... I dlatego o spokój w ocenieniu Mochmackiego nie łatwo. Widać to doskonale ze studyów pp. Śliwińskiego, Kucharzewskiego i Szpotańskiego. Różnice ich zapatrywań płyną nie z tego, że jeden więcej, a drugi mniej był dokładnym w odczytywaniu i porównywaniu tekstów Mochmackiego, ale w sądach ich wyczuć bardzo łatwo tętno bieżącej, dzisiejszej chwili niepokojów i nieporozumień społecznych.

I oto nowy tryumf dla wielkiego pisarza, który pisał nie dla jednego pokolenia, ale dla wieków całych, oceniał fakta i ludzi *sub specie aeternitatis*, po swojemu sięgał tam, gdzie wzrok nie sięga, i wnikał w sam rdzeń narodowego jestestwa. Treść zatem jego pism, to nie zasuszony anatomiczny preparat, na który oko spokojnie patrzeć może — nie! Treść Mochmackiego: to żywa troska nasza, ból nasz jawny, prawda codzienna — i dlatego o spokój przy nim trudno!

I.

Nie łatwo objąć jednym tomem pisarza-obywatela tej miary i tej rozległości działań, co Mochmacki. Podwójny rewolucjonista: najpierw literacki przez romantyzm, potem polityczny przez 29 listopada, wymaga on niezwykłego odczytania i literackiego i historyczno-politycznego, które musi być punktem wyjścia oceny sprawiedliwej. Mochmackiego rozwój ideowo-społeczny jest sam w sobie tak ciekawy i ważny, że bez względu na jego znaczenie w roku i po roku 1831-ym, mógłby stanowić przedmiot osobnego studyum, które rzuciłoby sporo światła na dzieje umysłowości naszej w latach 1820—1831. Pomimo bowiem wszelkich

pozornych sprzeczności w sądach i postępowaniu, rdzeń jego duszy był jednolity: brać go trzeba, jakim był, całkowicie, t. j. i literata, i filozofa, i polityka, razem i kolejno—ale nie można poprzestać na Mochnackim polityku i pominąć Mochnackiego estety-filozofa; nie można sądzić wyłącznie krytyka polityki narodowej, a pominąć krytyka narodowej literatury. Nie było bowiem rozłamowi wówczas między literaturą a życiem społeczeństwa, między ideą a czynem: klasycy przegrali sprawę z romantykami najpierw na papierze, ale zaraz potem i w życiu. Teorya wiodła do czynu. „Czas nareszcie przestać pisać o sztuce“ — wołał Mochnacki w przedmowie do swej Literatury. „Improwizowaliśmy (niestety! jakże złowróżbny a prawdziwy wyraz), improwizowaliśmy najśliczniejsze poema narodowego powstania. Życie nasze już jest poezją...“

I dlatego nie można się zgodzić na wyłączenie z monografii o Mochnackim elementów literacko-estetycznych jego rozwoju duchowego.¹⁾ Zrozumiał to odrazu p. Artur Śliwiński i dlatego monografia jego odznacza się korzystnie ciągłością wątku ewolucyjnego. Niema w niej przerw i niedomówień. Owszem, „insurrekcji literackiej“ poświęcono tu słusznie cały rozdział, jeden z najlepszych, o tyle, że wypełnia on bardzo dotkliwą lukę w dziejach literatury naszej i poraz pierwszy uwzględnia szczegółowo zapomniane i niedostępne dla szerszych warstw artykuły literacko-estetyczne Mochnackiego, drukowane w „Gazecie Polskiej“, „Kuryerze Polskim“ i in.

Wprawdzie ogólna charakterystyka tła literackiego ówczesnej „Europy zachodniej“ (str. 46—47) jest nie tylko zbyt ogólna, ale i zanadto ogólnikowa, a pięć wierszy, poświęconych znaczeniu Goethego, Schillera, Walter-Scotta, Byrona, Moora i Wiktora Hugo, nie może dać żadnego wyobrażenia o poezji Niemiec, Francji i Anglii — ale autor stara się zdać sobie i drugim sprawę z wpływu Schlegla i Schellinga na Mochnackiego, ze stosunku jego do Brodzińskiego i romantyków i, jak już wspomniałem, poraz pierwszy u nas daje próbę charakterystyki pierwszych jego młodszych artykułów literackich (str. 69). Że nie wyczerpał przed-

¹⁾ Sprawozdanie Akademii Umiej. (l. c. str. 14) o pracy p. St. Szpotkańskiego zaczyna się od słów: „Autor ze studyów swoich o Mochnackim *wyłącza studyum o nim, jako o krytyku literackim*, i nad jego artykułami literackimi zastanawia się *tylko o tyle*, o ile mu one *służą* do wyjaśnienia politycznych idei Mochnackiego.

miotu, winić go prawie trudno, zważywszy, że w monografii swej mógł tylko rozdział jeden tym nieznanym artykułom poświęcić; w przeciwnym razie byłby literackim pracom nieproporcjonalnie, w stosunku do późniejszych politycznych, za wiele miejsca poświęcił. Ale żałować trzeba, że ten взгляд architektoniczny ujemnie wpłynął na bogactwo ideowe monografii, która mogłaby się być istotnie (wobec braku jakiegokolwiek wydania zbiorowego tych artykułów) wzbogacić treścią arcyciekawą i prawie nową. Skoro już p. Śliwiński uwzględniał polemiki ważne Mochmackiego z Brodzińskim w „Kuryerze Polskim“ z r. 1830, to należało bodaj przelotnie wspomnieć o takich świetnych artykułach, jak np. „O Krytyce i Sielstwie“ („Kur. Pol.“ 16 maja 1830, № 159), „Melitele“ (tamże, str. 995—998), „Szekspir“ (1046—49, o Hamlecie!); ale przede wszystkim należało odżałować już miejsca i dać bodaj kilka wyjątków ze znakomitego artykułu o „Mistycyzmie“ („Kur. Pol.“ str. 657—8), gdzie unysłowość ówczesna polska scharakteryzowana jest świetnie. I czy tylko ówczesna? Czyżby ustęp taki np. był już całkiem dziś przestarzały i niepotrzebny: „Niechaj się nikt nie trwoży! Nie zabrnijemy tak daleko w przepaścistą otchłań myślenia! Nie zachorujemy na metafizykę! Próżne starania, niepotrzebne zabiegi! Kto nas bliżej poznał, niechaj się raczej obawia, żebyśmy nie weszli w inny błąd, tamtemu przeciwny, to jest: żebyśmy, zbyt przezornie wystrzegając się wszystkiego, co tu nad Wisłą zowią ciemnem, zawilem i mistycznym, nie odwykli od poważnego rozmyślenia i samotnych dumań, a życie nasze nie stało się w końcu podobne strumieniowi prądkiemu, który jest jasny, szklany, przezroczysty, ale dlatego tylko, że jest — p ł y t k i . . .

„Już teraz w naszej polskiej umiejętności wszystko na wierzch wypłynęło. Nic tu u nas niema — ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia. Żadna myśl głębiej w istotę rzeczy nie przedziera się. Gołe blichtry w mowie, w pisaniu próznomóstwo. Duch rozproszony. Rozprawie namysłu, a rozumowaniu logiki nie dostaje... Nigdzie ani mocy, ani konsekwencyi. Płomień zapalanej wiązki suchego chrastu lub słomy, co błysnąwszy, strzeli w górę i zgaśnie w jednym okamgnieniu: to nasz entuzjazm do nauk i we wszelkiej innej sprawie. Bańka przelotnem rozdęta tchnieniem: to nasza umiejętność... A przed nami obszerne niwy niewybadanych nauk, ogromne myśli przestwory, nowy świat wyobrażeń, od których nas rozdzielają lądy i morza przesądów. A za nami w historycznej dali czasy nietylko krajowych, ale i powszechnych, wszystkiego rodzaju ludzkiego dziejów, nierozświecone pochod-

nią tej krytyki, która się tylko z filozofii rodzi! Nie pojmujemy samych siebie ani w minionem, ani w obecnem jestestwie! Nie mamy ani ogólnej historii, ani usposobień filozoficznych, potrzebnych do wejścia w głębsze rozumienie tej historii. Dziećmi chwiejącemi się jesteśmy w każdym niemal względzie wyższych pojęć, cechujących wiek dziewiętnasty europejskiej kultury.“

Artykuł o „Mistycyzmie“ jest ważny dlatego, że już zapowiada znamienne usposobienie M-go do analizy społeczeństwa, a horoskop, tu pod względem literackim postawiony, sprawdzi Mochnacki w półroku potem na bruku warszawskim wśród znanych epizodów politycznych.

Monografia p. Śliwińskiego daje żywy, miejscami patetyczny obraz starć Mochnackiego z prądem antirewolucyjnym roku 1831. Charakterystyka całej kampanii świadczy o doskonałem orientowaniu się w powikłanych ówczesnych stosunkach. Sylwetki ludzi takich, jak Lubecki, Lelewel, Chłopicki, J. B. Ostrowski, Gurowski i t. d., są barwne i stawiają Mochnackiego we właściwym świetle.

Autor bynajmniej nie idealizuje swego bohatera; owszem, śmiało kładzie kropki nad *i*, a nawet w zapale dyskusyi kropki te wyglądają nieraz za grubo, są za duże w stosunku do litery, t. j. w stosunku do danego zarzutu. W sposób żartobliwy prawie mówi p. Śliwiński kilkakrotnie o „tupecie“ (!) Mochnackiego, nie dając jednak zrozumiałej, polskiej definicyi owego „tupetu.“¹⁾ W określeniu stałych przekonań Mochnackiego autor niedość wydatnia rdzenną jednolitość jego celu, pomimo przeróżnych dróg, jakimi próbował dojść do tego celu.

Mochnacki zawsze był sobie wiernym. Tymczasem spotykały go zarzuty zmienności, zarzuty powierzchowne, słów się czepiające, nie zaś istoty rzeczy. Trafnie stwierdził p. Śliwiński, że Mochnacki nie był teoretykiem socyalnym i że siła jego prac leżała nie w teoryach, lecz „w gorących wezwaniach do czynów, w walce z chwiejnością i oportunistem.“ Inni wzywali przy biurku redakcyjnym — on odezwy własne krwią serdeczną pieczętował na polu bitew. Głowę swą i serce niósł w ofierze, nieste-

¹⁾ Wogóle razi niepotrzebne używanie zwrotów cudzoziemskich: „Koszmar“ rewolucyi (238). Z początku monografii widoczna skłonność do frazesu: „wulkan Wielkiej Rewolucyi *dyszał groźnie* (! str. 9) ... we Francyi *wrzały* (!?) łoża wolnomularskie.“

ty, napróżno! Mało kto w r. 1831 mógł z tak czystem sumieniem opuszczać ziemię polską z tem przeświadczeniem, że niczego nie zaniedbał, aby naród na wyżynie moralnej utrzymać. O artykułach ostatnich, w przededniu upadku sprawy improwizowanych, trafnie i pięknie mówi p. Sliwiński:

„Słowa jego podobne do spienionej fali, niosącej w rozluhanym pędzie kry gniewu, zabrzmiały teraz nie mniej silnie, ale inaczej. Obok dźwięków spiżu słyhać w nich było jakby miękki szelest rozsypywanych pereł.. Jakaś tkliwa serdeczność, nuta całkiem dotąd obca wszystkim pismom politycznym Mochnackiego, przelewała się teraz strugami po tych ostatnich artykułach, jakie na ojczyściej ziemi danem mu było napisać. W bólu, przenikającym całe jestestwo, w szlochu, rozrywającym piersi, w męce konania, budziło się młodzieńcze pragnienie życia i rodziło przedziwne wyrazy energii, ostatnią pobudkę do wytrwania przy sztandarze powstańczym. ...Pod wpływem nieszczęścia uleciał z twardego serca gniew, pierzchnęła zawziętość i skąpane w łzach słowa zajaśniały jak gwiazdy na ponurem tle panującego nastroju.“

Monografia p. Sliwińskiego nie utrzymuje się do końca na wyżynie rozdziałów środkowych. Dwa końcowe rozdziały oceniają stanowisko Mochnackiego na Emigracyi i prace jego tam dokonane. Otóż, o ile na swojskim gruncie w r. 1830—31 stąpił autor zupełnie śmiało i obracał się na nim swobodnie, o tyle z przekroczeniem granic Polski traci jakby podstawę i przemyka się dość pobieżnie po grzązkim terenie emigracyjnego, koczowniczego żywota. Tło dziejowe naszkicowane tu niepewną ręką. Dla scharakteryzowania epoki nie wystarczą takie ogólniki, że Ludwik Filip „wzmagał się już w owym czasie na siłach, a chcąc zjednać dla siebie monarchów, coraz zuchwalej potrzasał bacikiem reakcyi“ (!). Przemiany komitetów emigracyjnych są wprawdzie wyliczone, ale *vor lauter Bäumen sieht man den Wald nicht*, a z broszur i odezw emigracyjnych nie stworzy się wierne-go obrazu całego życia emigracyjnego, na którego tle mają wystąpić działania Mochnackiego. Rozdział p. t. „Na Emigracyi“ jest nieproporcjonalnie do całości dzieła krótkim spisem faktów, nie zaś jasnym obrazem. Dzieło L. Gadona, znane dobrze p. Sliwińskiemu, mogło mu przecież dostarczyć wątku do szerszego ujęcia całej „kwestyi“ emigracyjnej. Ma się tu wrażenie, jak gdyby autor niecierpliwił się i zdążył na przelaj do końca. Tak np. ocena artykułów politycznych M. Mochnackiego, drukowanych w „Pamiętniku“ Podczaszyńskiego, jest za pobieżna; nasuwała się sama przez się ponęta dokładnego porównania poglądów poli-

tycznych emigracyjnych Mochnackiego i Mickiewicza. Jeżeli kto, to autor książki p. t. „Mickiewicz, jako polityk“ (Kraków, 1908), powinien być teraz przy Mochnackim poddać rewizji dawniejsze swe poglądy na politykę Mickiewicza i wykazać ich zgodność i różnice. Za prędko załatwił się p. Śliwiński z takim np. artykułem „O rewolucyi w Niemczech“, wyrokując krótko, że „najwybitniejszy ideolog romantyzmu i najgorliwszy krzewiciel tej (niemieckiej) filozofii najwyraźniej rozstawał się z dawnymi ideałami“ (str. 352). Czy tak było istotnie? Czy też raczej: nie rozstawał się z ideałami Mochnacki, a tylko przed rokiem 1830 widział istotny brak zupełnych studyów filozoficznych w Polsce i do nich myśl polską pobudzał—a w r. 1833 stwierdzał, że Niemcy przesycili się filozofią, że „oderwane materye“ u nich „oszuwały entuzyazm“ i uczyniły ich niezdolnymi do czynu rewolucyjnego. Między stanowiskiem jego wobec Polski nie-filozofującej całkiem, a stanowiskiem wobec Niemiec, którzy prze-filozofowali rok 1830 (a potem jeszcze rok 1848), nie widzę zasadniczej różnicy. Różnica była istotnie, ale nie w poglądach Mochnackiego, tylko w stosunku Polski i Niemiec do filozofii. W Mochnackim samym nie było „zmiany“ (str. 352).

Ostatnie dzieła Mochnackiego (rozdział IX) ocenione są także zbyt krótko, a ocena płacze się tu z biograficznymi szczegółami. Arcydzieło Mochnackiego („Powstanie Narodu Polskiego“) zasługiwało na szczegółowy, wszechstronny rozbiór, którego tu nie znajdujemy. Charakterystyka arcydzieła jest trafna na ogół i sprawiedliwa, przecież da się do niej zastosować to, co autor o Mochnackim napisał; „zbyt głęboko czuł, aby się zdobyć na obiektywizm.“ Nie wystarczy powiedzieć: „Lelewel został w drugim tomie pokrzywdzony, nie tylko jako nieszczęśliwy polityk, ale prost (?) jako człowiek.“ Należało wykazać bodaj w kilku zdaniach, pod jakim względem Mochnacki skrzywdził Lelewela; a może przy dokładniejszym zastanowieniu się wyszłoby na jaw, że to Lelewel skrzywdził Mochnackiego?

Autor doskonale pojmuje doniosłość arcydzieła Mochnackiego i stwierdza z naciskiem, że „nie można „Powstania Narodu Polskiego“ obniżać do znaczenia świetnej pracy publicystycznej“; ale dlaczego „nie można,“ nie wykazał. Mówiąc o układzie „dysproporcjonalnym“ dzieła, nie dość miał na oku plan całości, rosnącej pod ręką. Gdybyśmy się byli doczekali całości, któż wie, czy cały tom pierwszy nie okazałby się właśnie proporcjonalnym przedsięwzięciem do wspaniałego gmachu. Wrażenie, jakie dzieło pozostawiło po sobie, zbywa autor zbyt krótko w przypisku na

str. 362, gdzie błędnie podał, jakoby ocena Mochnackiego w „Kalendarzu Pielgrzymstwa Polskiego“ za r. 1840 była pióra Aleksandra Jełowickiego. „Wspomnienie o piśmiennictwie polskiem w Emigracyi“ napisał St. Ropelewski i żałować należy, że nie było ono znanem p. Śliwińskiemu. Byłby w niem znalazł świetną charakterystykę Mochnackiego, w pięć lat po jego śmierci pisaną, a ujmującą znakomicie główne cechy wielkiego talentu; pierwszy to hołd szczery, pierwsza próba określenia mistrzowskiego dzieła. Bez ujmy niczyjej trzeba przecież powiedzieć, że po dziś dzień Ropelewski najlepiej Mochnackiego scharakteryzował.

Może nie wszystkie uwagi jego podzielamy co do układu dzieła; nie godzimy się na zarzucony Mochnackiemu brak „jedności w pojęciu“; ale na ogół biorąc, któż wtedy i w lat dziesiątki potem oddał trafniej hołd Mochnackiemu, niż Ropelewski w tych słowach:

„Nie było nadeń większego u nas sztukmistrza, chociaż byli i są pisarze więksi eleganci i stalej utrzymujący się na równi. Pod jego piórem osoby i rzeczy przybierały kształty posagowe, lada grupa stanowiła zajmujący obraz, każda rozmowa w wysoki dramat rosła. Okoliczności wywiodły na jaw szczególniejszą stronę krytyczną jego geniuszu; ale jego krytyka nie była czemsiś tylko szydłem..., Mochnacki miał natchnienie i entuzjazm w krytyce, czego już u nas nikt nie ma.“

Przyśpieszone tempo, w jakim p. Śliwiński zdążył do zakończenia swej monografii, wpłynęło niekorzystnie na spokojne ocenienie pobudek ostatnich pism Mochnackiego. List otwarty do generała Dwernickiego¹⁾ piętnuje p. Śliwiński jako czyn „brzydki, nieszlachetny,“ owoc „zaciekłości“ Mochnackiego, który nie cierpiał „sekty demokratycznej.“ Tak krótko się załatwiwszy z listem Mochnackiego, autor nie jest sprawiedliwym. Samo dokładne streszczenie tego listu byłoby uchroniło p. Śliwińskiego od „zaciekłości“ i niesłusznych zarzutów. Tymczasem autor nie podaje całkiem treści tego listu zbiorowego „od oficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres“ i każe czytelnikowi na ślepo wierzyć, że pisząc ten list, „Mochnacki postąpił brzydtko, nieszlachetnie.“ A list to pisany krwią serdeczną i łzami od samego początku: „z prawdziwą boleścią w sercu“; list to bolesny, a jak wszystko, co z pod pióra Mochnackiego wyszło, dotyczący nie jednej chwili,

¹⁾ Z Auxerres, 14 października 1834 r. (Dzieła, I, 360—369).

ale sięgający do „trzew polskich“ i targający dziedzicznym bólem. „Dzisiaj osądzono Czartoryskiego. Za dni kilka, za kilka tygodni, na mocy tegoż samego prawa ty, generale, osądzony i wyklęty zostaniesz... Niesława powszechna stanie się prawem publicznem, żywiołem emigracyi, każda zasługa igraszką intrygantów...”

W dalszym toku roztrząsa Mochnacki kwestyę demokracji, mówi o konieczności wielkiej reformy społecznej w Polsce na korzyść i w interesie ogromnej większości narodu. „Pod tym względem, w takim sensie my wszyscy jesteśmy demokratami.“ Mochnacki nie przeciw Demokracji powstawał, ale przeciw monopolowi doktryny; przeciw uzurpowaniu nazwy demokratycznej dla jednej tylko „sekty.“ Byli to „ludzie, którzyby sobie równem prawem przywłaszczyć chcieli tytuł demokratów, jak gdyby kto chciał sobie tylko wyłącznie przywłaszczyć tytuł ucziwego w towarzystwie człowieka.“

Cały ten list przytoczyćby tu należało dla odparcia niesprawiedliwego zarzutu p. Śliwińskiego. List ten mieści w sobie tyle nieprzestarzałych dziejowych i politycznych prawd, że nie pojmuję, jak można było przeskoczyć go, jak jaką „brzydką“ kałużę. Owszem, trzeba było poddać go szczegółowej analizie, nawet wtedy, a zwłaszcza wtedy, kiedy autor potępiał ten krok „nieszlachetny.“ Powiedzieć o tym liście, że „zieje nienawiścią“ (str. 368), jest to nie być w zgodzie z prawdą historyczną. Wszyscy dziś wiemy, jak niesłusznie — a z punktu widzenia politycznego jak niemądrze — atakowała część Emigracyi Księcia Adama. Jeżeli Mochnacki wykazał to Dwernickiemu z nieubłaganą jasnością, to postąpił uczciwie i szlachetnie. Zawsze jeszcze u nas godne przypomnienia są takie słowa z tego listu: „W dzisiejszych okolicznościach nie na osłabianiu krwawo zarobionej, ucziwej sławy, ale owszem na mocowaniu każdej reputacyi, każdego 'znanego imienia, każdego wpływu zależy dobrze zrozumiany Emigracyi i narodu interes.“

Jakże inaczej ocenia p. Śliwiński „Pismo okólne,“ ostatnie pismo Mochnackiego. Ma czas i miejsce, by szczegółowo streścić „dostojne słowo znakomitego pisarza,“ które „miało przejrzystość jasnego dnia i dalekość widnokregu, widzianego ze szczytów.“ A przecież zaledwie dni dziewięć dzieli „Pismo okólne“ od „Listu“ do generała Dwernickiego! Jakież to skok od potępienia „brzydkiego, nieszlachetnego“ „Listu“ do podziwu dla „Pisma okólnego,“ tego „dzwonu odlanego z najszlachetniejszego metalu!“ (str. 372). Czemuż to zawdzięcza Mochnacki?

Streszczenie „Pisma okólnego“ jest bardzo charakterystyczne. Kładzie autor nacisk na to głównie, co mu jest sympatyczne; pobieżnie przemyka się po zdaniach ważnych, najważniejszych, w których istotnie można upatrywać „jakby testament i pożegnanie konającego działacza.“ Stawiając jako tezę główną: „Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy“ — Mochnacki sądzi, że „przyszedł czas, w którymby nakoniec należało położyć kres marzeniom. Marzeniem jest wszelkiej natury obca pomoc wobec środków, jakich używa święte przymierze przeciw narodowi polskiemu. Z tego względu jest marzeniem nie tylko dyplomatyka, jest równem marzeniem rewolucya powszechna...“

„Nie wierzy w nic, tylko w samych siebie...“ (Dzieła, I, 374.).

Mochnacki sądzi dalej, że powstania nasze nie udawały się „dlatego tylko, żeśmy z regularnymi wojskami nieprzyjacielskimi prowadzili wojny regularne, systematyczne. Geniusz Polski wynajdzie dla jej zbawienia inną, nieznaną jeszcze wojnę. Niezmiernemu uciskowi wyrówna wtedy niezmierny opór, a historia powie o nas w swoim czasie, że jarzmo przymusiło naród najłagodniejszy i najoświecieńszy Słowiańszczyzny do środków wojowania, godnych Atylli i Dżengis-chana...“ (tamże).

P. Śliwiński tak to streszcza: „Wreszcie wychodząc z założenia, iż dzieło zagłady szybko postępuje, nawoływał do działań prędkich i stanowczych, przerażających i strasznych, *zalecał* „środki wojowania godne Atylli, Dżengis-chana“ (str. 374). I powtórzy jeszcze (na str. 375): „...nie mógłby zalecać środków wojowania godnych Atylli.“

Gdzież to Mochnacki zalecał takie środki wojowania? Całe brzmienie przywiedzonego wyżej z „Pisma okólnego“ ustępu dowodzi, że chodzi mu o przyszlą „nieznaną jeszcze wojnę“ („Geniusz wynajdzie, wyrówna opór, historia powie w swoim czasie“ i t. d.). Jarzmo przymusi może do niejednego czynu naród, doprowadzony do rozpacz — ale nie wynika ze słów Mochnackiego, aby on zalecał środki wojowania, godne Atylli; on je tylko przewiduje i usprawiedliwia: „Jarzmo przymusiło...“ Nie można zatem twierdzić, że Mochnacki w „Piśmie okólnem“ nawoływał do działań „przerażających i strasznych,“ że „zalecał środki godne Atylli i Dżengis-chana“ i bezpośrednio potem zapewniać: „To były ostatnie słowa Mochnackiego, jakby testament...“ Testament Mochnackiego jest nie w tem lub owem piśmie przygodnem, ale w całym jego ofiarnem życiu, które pali się

jak pochodnia jasna w noc pogrobową narodowego życia. Na końcowych kartach swej książki p. Śliwiński zbiera w jedno swe spostrzeżenia i dobitnie a pięknie charakteryzuje, co było żywiołem Mochnackiego i na czem polegał jego „tragizm.“ Niechże do tego tragizmu nie dołącza się nadużywanie jego nazwiska do dzisiejszych hasel skrajnych. Mochnacki — mówi słusznie p. Śliwiński — „wyprzedzał zawsze współczesność“; wątpić jednak wolno, czyby się stał chorążyem niedawnych i niesławnych sposobów wojowania.

II.

Spokojniejszym, bardziej zrównoważonym tonem odznacza się monografia p. Jana Kucharzewskiego. Wadą jej kardynalną jest to, że autor usunął się od oceny literacko-estetycznej działalności Mochnackiego i poprzestał na analizie prac jego politycznych. Żałować trzeba, że tak się stało, gdyż przy ogromnem odczytaniu autora i znajomości epoki wnikięcie szczegółowe w prace literackie z lat 1825—1830 i rozwój duchowy, filozoficzny autora myśli „O literaturze polskiej w wieku XIX“ byłoby oddziaływało ożywczo i najkorzystniej na wypukłość i zupełność wizerunku. Teraz w jednym rozdziale (str. 68) przechodzimy od dzieciństwa do 29 listopada! Skrót niekorzystny, wprowadzenie za nagle do poznania działacza politycznego. Nietylko horyzontu jego filozoficzno-literackiego nie poznajemy tam dokładnie, ale nawet politycznie ważnego „Głosu obywatela poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego“ nie określił autor bliżej. Nie wystarczyło powiedzieć tylko, że jest to odezwa skreślona „mistrzowskiem, choć jeszcze nieco młodzieńczo-politycznem (?) piórem“ (str. 31).

Książka p. Kucharzewskiego poświęcona głównie, prawie wyłącznie, Mochnackiemu politykowi, roztacza też szerokie tło wypadków dziejowych roku 1830—31, a jednak nie rysuje nam dokładnie Mochnackiego w chwilach ważnych jego życia. Przemilcza p. Kucharzewski odezwy Mochnackiego, pisane po inwektywie na Chłopiczkiego (3 grudnia 1830 r.). Wystarczy porównać str. 117 jego książki ze str. 183 monografii p. Śliwińskiego, aby zrozumieć, jak pobłażliwie obchodzi się autor z Mochnackim, ze szkodą dokładności swej pracy. Z punktu widzenia metodycznego zarzucilibyśmy też zbyt częste wprowadzanie późniejszych emigracyjnych tekstów do oceny działań Mochnackiego w r. 1831.

Dzieje się to z pobudek słusznych: chodzi autorowi o wykazanie jednolitości i ciągłości zapatrywań działacza-patrioty; szkodzi to przecież psychologicznej i chronologicznej ewolucyi, której linie się płaczą. Nie wszystkie pisma polityczne Mochnackiego z końca r. 1830 uwzględnił p. Kucharzewski. Brak zupełny na właściwym miejscu (str. 152) wzmianki o broszurze Mochnackiego, wydanej 24 grudnia 1830 roku p. t.: „Pierwsza broszura Maurycego Mochnackiego: Co rozumieć przez rewolucyą w Polsce.“ Mówi o niej obszernie p. Śliwiński (na str. 197 — 199) i wykazuje jej doniosłość.

Do stron ważnych i pięknie napisanych w książce p. Kucharzewskiego zaliczam charakterystykę Chłopskiego i jego stosunku do Sejmu, a w ogóle ocenę całą jałowego Sejmu r. 1831, tudzież analizę psychologii natur polskich ówczesnych (str. 214).

Autor, zdając sobie dokładnie sprawę ze znaczenia ostatnich trzech lat życia Mochnackiego, część drugą dzieła swego (stron przeszło 220) poświęcił działaniu jego na Emigracyi. W porównaniu z częścią pierwszą, która ma poważne, wyżej wskazane braki, część druga odznacza się gruntownem przemyśleniem treści i bierze górę nad odpowiednią częścią monografii p. Śliwińskiego. Charakterystyka polskiego mikrokosmu emigracyjnego jest i trafna i subtelna (str. 305—306). Nowe, nieznane szczegóły wydobywał autor z Raperswyłu. Pokazuje się w jak strasznych warunkach pisał Mochnacki swe arcydzieło, o głodzie, w nędzy. Postępowanie Lelewela z Mochnackim dopiero tu ukazuje się w prawdziwym świetle (str. 310, 330).

W konstrukcyi samej książki nie widać troski jakiegokolwiek o efekt wrażenia, lub chęci stopniowania wrażeń czytelnika. Niespodzianie, bez jakiegokolwiek przejścia w kilku wierszach dowiadujemy się na str. 347 o chorobie, śmierci i pogrzebie Mochnackiego. Samemu autorowi to przecież nie wystarczyło; więc na str. 433, znowu niespodziewanie dla czytelnika, wraca do szczegółów choroby Mochnackiego. Z tych niezręczności poznać, że pierwsza to większa praca p. Kucharzewskiego, który ogromem treści zajęty nie umiał jeszcze artystycznie jej ująć. Odnosi się to nie tylko do wadliwego rozmieszczenia niektórych szczegółów, ale przede wszystkim do sposobu przedstawienia, do nieco rozwlekłego opowiadania o ludziach i sprawach, w luźnym tylko związku zostających z Mochnackim (np. cała str. 399, 402—404, 492—494). Traci na tem przejrzystość tła emigracyjnego, które zresztą skreślone jest z wielką znajomością przedmiotu i z uwzględnieniem wszystkich kwestyj spornych (np. autorstwo broszury:

„O Towarzystwie wzaj. pomocy,“ Paryż, 1833 r.). Autor nie zamyka dzieła swego na dacie śmierci Mochnackiego, ale śledzi pilnie w pismach emigracyjnych wszelkich śladów myśli politycznej wielkiego pisarza. Zakończenie to jest ważne i ciekawe, lecz zdaniem mojem przekracza zakres monografii o Mochnackim i tworzy jakby osobny rozdział z księgi o dziejach polskiej myśli politycznej wogóle w XIX w.—Natomiast brak tu dziwny i dotkliwy (podobnie, jak i w monografii p. Śliwińskiego) analizy szczegółowej arcydzieła o „Powstaniu Narodu Polskiego.“ Materiały do tej analizy znajdują się oczywiście w książce p. Kucharzewskiego, ale są one rozrzucone i nie są nigdzie ujęte w sąd zbiorowy, czego tembardziej żałujemy, ile że autor składa dowody wielkiego odczucia i przejęcia się czarem słowa i entuzjazmem natchnienia Mochnackiego (por. np. str. 506—507).

Tak pod względem olbrzymiej treści, jak niemniej pod względem formy, zasługuje „Powstanie Narodu Polskiego“ na rozbiór szczegółowy. Analiza treści wykazałaby, ile tam spostrzeżeń bystrych, proroczych niemał, że przypomnę tylko wywody Mochnackiego o naturalnej polityce rosyjskiej, o Austrii i jej stosunku do Polski, charakterystykę administracji, nastrojów społecznych nazajutrz po 29 listopada; a dopiero charakterystyki nieśmiertelne W. Ks. Konstantego, Lubeckiego, Chłopickiego, Lelewela, Czartoryskiego i w. in. tak zwięzłe, trafne, dowcipne. To wszystko domagało się przypomnienia i bliższego wniknięcia w artyzm i technikę pisarską Mochnackiego. Arcydzieło o „Powstaniu Narodu Polskiego“ jest bowiem unikatem w dziejach literatury polskiej. Bez poprzednika i bez następcy, Mochnacki daje w „Powstaniu Narodu Polskiego“ rzecz na wskroś nową, oryginalną, bez wzorów, samodzielna. Jak do niej przyszło? Genezy „Powstania Narodu Polskiego“ należy szukać w artykułach politycznych, których szereg cały pisze M. Mochnacki w r. 1831 i potem w „Pamiętniku Emigracyi“ (Podczaszyńskiego). W tych artykułach many jakby ćwiczenia wstępne, próbné manewry przed stoczeniem walnej bitwy. W owych drobnych artykułach many poniekąd szkice artystyczne i notaty do wielkiego dzieła, które tkwiło w Mochnackim *in potentia* od chwili wybuchu wojny narodowej. Jakikolwiek byłaby sprawa wzięła obrót, to nie ulega kwestyi, że Mochnacki byłby zawsze dzieje tej rewolucyi opisał. Nikt inny w Polsce ówczesnej nie miał tyle i takich warunków na raz: świadomość ważności momentu dziejowego, wszechstronne informacye, bezpośrednie naoczne wrażenia chwil głównych, udział osobisty bądź w sprawach politycznych, bądź na polach bitew, a przytem zna-

komity, niezrównany dar żywego, porywającego przedstawienia rzeczy. Tworzył je zrazu z pamięci, ze szczerego natchnienia, tworzył jak poemat to, co było niezagojoną jeszcze, straszną rzeczywistością...

Indywidualność potężna autora przemaga tu na każdej karcie; olbrzymi talent pisarski sprawia, że olśnieni ponętami stylu, ogniem słowa, potokiem opowiadania—dajemy mu się unieść z rozkoszą i dopiero wtedy wracamy do rzeczywistości, gdy w tej szalonej podróży łódką po rwącym potoku uderzyny o podwodny głaz—paradoksu. Mochnacki lubił paradoksy tak, jak np. Niemcewicz lubił robić koncepty i pokpiwać sobie nawet z tych, których szanował. Mochnacki dla zaostrenia uwagi słuchacza lub czytelnika szarpnie go nieraz paradoksem. Powie np., że „Kościuszko zgubił Polskę!”

Tak w artykułach politycznych, jak niemniej w „Powstaniu Narodu Polskiego“ trzeba wyróżnić to, co było wypływem chwilowej gorączki lub podniecenia polemicznego — od tego, co było owocem rozmyślań, kierowanych cudownym instynktem narodowego życia. Był to genialny, nieprześcigniony po dziś dzień znawca natury polskiej. Nikt u nas przed nim tak nie rozumiał, nie znał, nie czuł polskości; trzeba się cofnąć aż do Skargi, aby w pisarzu polskim znaleźć takie znanstwo polskiej duszy. Rzadko też wogóle trafia się w jednym człowieku takie zespolenie głowy logicznej i ścisłej ze sercem, w którym przelewa się war uczuć. Tworzy to mistrza w zwięzłym streszczaniu argumentów. Tacyt z Juwenalem podają tu sobie dłonie. Organizacya tego niezwykłego umysłu jest tego rodzaju, że dzięki ogromnemu czytaniu i wybornej pamięci dowody na poparcie jakiejś tezy zbiegają się w jego głowie jak promienie w soczewce; do postawionego twierdzenia mkną jak do magnesu opiłki faktów, na pozór obojętnych i różnorodnych, a razem urastających do znaczenia argumentu. Jako przykład daję krótkie, tacytowskie zebranie błędów naszego Rządu i Sejmu w r. 1831 („Dzieła,“ IV, 174—5). Tam zdanie każde mogłoby być nagłówkiem osobnego rozdziału. To jakby tylko spis treści, ale jakaż to straszna treść, jaki wyciąg, jaki ekstrakt i esencya trucizny, która przeżarła wszystkie włókna narodowego powstania.

W artykułach jego mamy często zdania jakby minochodem rzucone, zdania tak głębokie i ważne, że dniami całymi można nad nimi rozmyślać (np. o terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego, IV, 13—15; albo IV, 197—8, 211). Są to jakby kryształy doświadczeń i rozmyślań w małych rozmiarach, dające

mnóstwo podniety umysłowej. Podane to wszystko najczęściej bez jakiegokolwiek enfazy, bez ostentacyi, bez obnoszenia prawdy na pokaz.

Odpowiednią do treści silnej jest dynamika słowa. Ulegamy tu urokowi stylu, nie zdając sobie sprawy, na czym ten urok polega. Przedewszystkiem to styl jego własny, nie wyuczony od nikogo, nie naśladowany, nie naśladowany nikogo. Jest to samorodny, zupełny i najdokładniejszy wyraz jego przekonania i jego uczuć. Siła takiego stylu pochodzi stąd, że daje on wyraz, przystający zupełnie do rzeczy, pokrywający się z nią, bez jakiegokolwiek reszty niepotrzebnej, lub dla t. zw. ozdoby tylko przyczepionej. Przy dokładności i ścisłości wielka jasność, szczerza rodzimność słowa. Dar obserwacyi niezrównany: wszystko on widzi i w rysunku postaci jest nieubłagane dokładnym. Rysi wzrok tworzy potem podstawę sądu przenikliwego, na którego usługi ma pióro ostre, jak szpada, którem nie tylko narysuje człowieka, ale go zaraz potem i przebić potrafi. Dlatego to współczesnych nabawiał równocześnie podziwu i lęku; zachwyty w czytaniu łączył się najczęściej ze zdumieniem, często też z przerażeniem. Czuli oni niebezpieczeństwo takiego stylu, a nieszczęściem polskiem było, że tej żywiołowej siły, podobnej do ognia wszystko trawiącego, nie umiano u nas w chwili stanowczej na pożytek powszechny obrócić. Dano mu się wytrawić w sobie do ostatka! Dziś tylko literacka puścizna świadczy o żarze uczuć, które jak wichry płomienny unoszą się nad dziełami jego. Mało mamy utworów, któreby tak rozpałały i tak do wnętrza dusz umiały wnikać.

Ale wróćmy do monografii p. J. Kucharzewskiego. Autor jej dobrowolnie zacieśnił zakres swych rozpatrywań i z pola badań usunął ważne pierwiastki duchowe. „Do nakreślenia wizerunku polityka—mówi p. Kucharzewski—roztrząsanie przekonań religijnych człowieka nie jest niezbędne; pozostawić należy tę stronę bardziej wszechstronnemu badaczowi duszy Mochnackiego.“ (Str. 509.) Tym sposobem autor sam dobrowolnie zrezygnował z próby wnikięcia w rdzeń duszy wielkiego patrioty. Wizerunek polityka nie może być dokładnym bez pogłębienia najistotniejszej treści człowieka. Na nic nam się nie zdała potem „przelotna uwaga“ o wierze religijnej Mochnackiego wedle świadectw gen. Dembińskiego i Aleks. Jełowickiego. Kwestyi też nie rozstrzygnie wzmianka o tem, gdzie w swych pismach Mochnacki „o dziedzinę religii potraça“ (str. 509). Ale przywiedzione już przez p. Kucharzewskiego miejsca powinny go być ostrzedz, że nie należy pochopnie twierdzić: „Poza temi ustępami nie

znajdziemy zdaje się (!) u Mochnackiego od czasu wybuchu rewolucyi nawet wzmianki o istocie wyższej, o świecie pozazmysłowym.“ (Str. 510.)

Nie tak było. Mochnacki wychowany był przez bogobojną i silnie wierzącą matkę. Wiara w żywot pozagrobowy była istotną w nim, głęboko zakorzenioną. Mógł jej nie objawiać w burzliwych latach licealnych, mógł nawet w VI klasie na lekcji chemii wobec „nieumiejętnego profesora“ dowodzić, „że świat niema początku i końca mieć nie będzie, że niema Boga!“—mógł zobojętnieć dla spraw religijnych w atmosferze obłudy i hipokryzyi Szaniawskich i St. Grabowskich, ale z Woroniczem się znał, Woronicz go błogosławił, a na krótko przed śmiercią duch jego wyrwał się ku zaświatom. „Nieraz w czasie przechadzki wpadał w rodzaj zachwytu i otaczającym go ziomkom gadał o cudach tamtego świata, które spostrzegał w grze duchów. „Wy nie słyszycie tego — mówił on—ale ja, co się wkrótce z niemi połączę, już je przeczuwam, już słyszę ich grę harmonijną, która świat napełnia.“ Patrzali na niego w zadumieniu przyjaciele i wspólnie z nim przeczuwali śmierć jego.“ („Dzieła,“ I, str. 290). Antoni Walewski, świadek i towarzysz ostatnich dni Mochnackiego, opowiada w liście do Bazylego M-go drobiazgowo rozmowy swe z Maurycym i przytacza jedną o duchach zmarłych. „Ja wierzę w duchy—mówił wtedy Mochnacki—w najmilsze ich tony, rozprawiam się z Kamilem (bratem, nieboszczykiem)...“ Zachodzi spółnictwo między duchami, jeżeli są sobie podobne i t. d. i t. d. („Dzieła,“ I, str. 353). Znaczące i ważne jest świadectwo gospodyni domu, w którym umarł Mochnacki. Była to pani Turqui, Francuzka, która na życzenie matki Maurycyego przysłała jej szczegóły chwil jego ostatnich. Z listu tego, który z fatalnymi błędami wydrukowano w „Dziełach,“ t. I, str. 284, przytaczam tylko to, co stwierdza religijność Mochnackiego: „Vous apprendrez avec plaisir qu'il est mort, comme Vous l'avez élevé et *comme il avait vécu en bon chrétien*. Deux heures avant cet instant terrible il avait reçu les saintes huiles. — ...Mais ce fils était vertueux, il *était chrétien*... Il a rempli ses devoirs de citoyen, de *chrétien*.“ A dzielna matka zapisuje pod ostatnim listem ukochanego syna: „Koniec tej korespondencji... Wezwwałś, Panie, Maurycyego. Serce jego i dusza brzydziły się występkiem... Wezwwałś go, Panie i jest odtąd już szczęśliwym, bo taka była Maurycyego i matki jego wiara, nadzieja i ufność w nieskończonem miłosierdziu Twojem“ (tamże, str. 267).—Tyle o stronie religijności Mochnackiego, przemilczanej zupełnie przez obu jego biografów.

Wizerunku pełnego, duchowego tej czarującej, potężnej postaci jeszcze nie mamy i nie prędko się na taki wizerunek zdobyjemy. Trafnie mówi o tem p. Kucharzewski: „Największą przeszkodą do wydania opinii bezstronnej będą względy polityczne. Jedni zechcą widzieć w znakomitym pisarzu i wybitnym polityku protoplastę swych własnych haseł, naginać będą jego myśli i czyny do szablonu programów naszej epoki, ułożą dzieło jego ducha w prokrustowe łożo własnej doktryny, jak to już uczyniono z innymi naszymi wielkimi pisarzami.“

Końcowe uwagi p. Kucharzewskiego są pięknym i szczerym hołdem, który streszcza dokładnie wyniki sumiennych jego rozrządzeń i wieńczy je u szczytu:

„Mochnacki mocą natchnień wznosi się wciąż ponad wir wypadków swej epoki, ponad wydarzenia chwili... przenikliwie wykrywa zasady istnienia politycznego swego narodu, wyciąga naukę dla przyszłości... Wzrok jego przebijał migotliwą, płynną powierzchnię epoki, docierał do samych głębin doli narodowej... Duch jego zstąpił do tych źródeł utajonych, z których naród czerpie siłę życia, moc wytrwania...“

III.

Gdy tak obie monografie, różniąc się w szczegółach, a zwłaszcza w kreśleniu linii rozwoju duchowego, u kresu przecież dochodzą zgodnie do hołdu, do uznania wartości trwałej Mochnackiego, trzecia, w druku będąca monografia p. St. Szpotańskiego, zapowiada znaczne tej wartości obniżenie. Znosi się jakoby na tak modne dziś „przewartościowanie“, na pewną redukcję wielkości do rozmiarów znacznie skromniejszych. Wprawdzie książka p. Szpotańskiego nie wyszła jeszcze z druku, więc wiadomość o niej może uchodzić za przedwczesną. Skoro jednak Sprawozdania Akademii Umiejętności w Krakowie podały (w № 10 z grudnia 1909 roku) autentyczną treść książki, to mamy całkiem pewną podstawę do ocenienia tej, przez autora samego podanej tam treści. Wiemy już, że p. Szpotański, podobnie jak p. Kucharzewski, ze studyów swoich wyłączył studjum o Mochnackim, jako krytyku literackim; pod tym względem zatem monografia jego nie będzie kompletną. Czy przynajmniej brak ten powetuje dokładną oceną politycznych pism Mochnackiego? Wolno powątpiewać o tem, kiedy w sprawozdaniu z książki czytamy np. taki ustęp:

„Autor sądzi, że stosunek Mochnackiego do wypadków politycznych był czysto artystyczny, że Mochnacki nigdy (!) nie przychodził ze wskazaniem realnemi, lecz szukał stanowiska, które byłoby najbardziej piękne, w którym byłaby pewna czystość dramatyczna i chciał, aby to stanowisko ogólnie przyjęte zostało. Bohaterstwa bohaterów dramatu żąda od członków Sądu Sejmowego i t. d. i t. d.

„Ale nietylko poeta, nietylko publicystą był Mochnacki, był żądnym władzy, bardzo ambitnym, bez właściwego jednak talentu politycznego do politycznego życia wchodził, rozbijało więc ono jego plany, zmuszało do ciągłego cofania się, do ciągłej kapitulacji (?).“

Ile zdań, tyle głośownych twierdzeń, których uzasadnienia szczegółowego będziemy szukali w książce p. Szpotańskiego. Tu tylko przypomnę, że zarzuty, jakoby Mochnacki był żądnym władzy i ambitnym są bardzo stare, bo sięgają czasów, kiedy to Mochnacki na posiedzeniu klubu „zawołał nieroztropnie: Chłopi zdradza rewolucję!“ Już wtedy W. Wołowski nazwał zaraz Mochnackiego „człowiekiem namiętym i ambitnym, który tylko samego siebie wynieść pragnie.“ Mógł tak twierdzić adwokat warszawski w r. 1830, ale nie należało powtarzać tego dzisiaj, po tylu roztrząsaniach historycznych. Godziło się pamiętać, jak zarzut ten odparł Mochnacki w „Powstaniu Narodu Polskiego“ (II, str. 129):

„Zarzut był niesprawiedliwy; ponieważ, gdyby mi tylko szło o wyniesienie się osobiste, nie było urzędu, którego-by mi nie ofiarował Lubecki, gdybym był chciał wejść w jego systema. Mogłem zostać w rządzie, albo zostać ministrem, albo czemkolwiek, jak tylu innych. Wolałem jednak dążyć do ustanowienia czystej rewolucyjnej władzy... Zresztą podług mojego przekonania, chcieć wielkiego we władzy udziału dla przewidzenia swej opinii (jeżeli jesteśmy przekonani, że ta opinia sprawę publiczną podnieść może), nie jest jeszcze grzechem w rewolucyi. Raczej jest grzechem nie mieć żadnej opinii i wchodzić do władzy bez myśli, jedynie dla zrobienia karyery.“

Z tego, jak p. Szpotański rzecz przedstawia, wygląda Mochnacki na maryonetkę polityczną: „Do różnych obozów należąc i różne kokietując(!) rozmaite poglądy wyrażał“ (str. 18). Znowu czekamy na dowody. Wychodzi na to nawet, że Mochnacki „pozostaje pod wpływem A. Gurowskiego.“ „Przedtem ani potem sympatyi dla rewolucyi socyalnej u Mochnackiego nie spotykamy.“ (Por. wyżej „Pismo okólne“ i jak je interpretuje p. Śliwiński).

Znaczenie Mochnackiego schodzi według p. Szpotańskiego do roli świetnego stylisty: „We wszystkich tych artykułach Mochnackiego darmo-byśmy szukali wskazań realnych, rad, nad którymi mogliby się zastanowić kierownicy powstania, ludzie stanu. (Gdzie byli ci ludzie, ci kierownicy?) zawsze tam brzmi słowo trzeba, nigdy, (!?) jak dojść do tego, czego trzeba.

„Wartość tych pism leży w żarze słowa, w ogniu, którym się każda litera pali. Mochnacki świetnie formułował idee, którymi się przejmował i ogółowi je narzucał z bezwzględną siłą przekonania.“

Już w przytoczonym ustępie niema konsekwencji. Jakim sposobem, równocześnie „we wszystkich (!) artykułach Mochnackiego darmo-byśmy szukali wskazań realnych, rad, nad którymi mogliby się zastanowić kierownicy powstania“—pomimo, że jak to przecież zaraz dalej czytamy: „Mochnacki świetnie formułował idee i ogółowi je narzucał z bezwzględną siłą przekonania“—? to na razie pozostaje sekretem książki p. Szpotańskiego. Może w pełnym swym tekście zdoła ona rozwiać wątpliwości, które nasunęło nam jej autentyczne streszczenie. Teraz bowiem trudno przypuścić, aby w „świetnie formułowanych ideach“ Mochnackiego nie było całkiem żadnych „realnych wskazań i rad.“ Miałyby jego „idee“ być tylko pustym dźwiękiem bez wartości? A przecież poznano się na tych ideach—za późno!—na Emigracji. „Zwrócili nań uwagę stronnicy księcia Adama. Stosunki z nimi związał Mochnacki, zbierając materiały do historii powstania; ujęto, pozyskano go łatwo.“ A teraz dosłownie tak: „Nie wiemy, przez jakie ewolucje książka przechodziła, ale należy przypuszczać, że sylweta Ks. Adama stała już w związku z planem króla w Emigracji, że na Lelewelu się zemścił za ostatnie paryskie przykrości.“

Otóż argumentacja wcale nie naukowa: „niewiemy,... ale należy przypuszczać.“ Skoro nie wiemy, to nie mamy prawa bawić się w insynuacje, zwłaszcza jeżeli i pod względem stosunku do stronnictwa Czartoryskiego i w sprawie nieporozumień z Lelewalem mamy sporo wskazówek i informacji Mochnackiego i innych. Najciekawsze w książce p. Szpotańskiego będą listy nieznane Mochnackiego do Wł. Zamoyskiego; tam znajdzie się może wytlómaczenie dążeń i zamiarów Mochnackiego z ostatnich miesięcy jego życia. Póki wszystkich pism Mochnackiego nie poznamy, póty z uznaniem twierdzeń p. Szpotańskiego musimy się wstrzymać. Samo streszczenie jego pracy zapowiada jed-

nak, że do dotychczasowych sądów o Mochnackim, zgodnych w uznaniu jego genialnej indywidualności wejdą nowe, nieprzychylnie mu opinie, których dokładną analizą trzeba się będzie zająć.

*

*

*

Mochnacki nie miał szczęścia za życia, nie miał go i po śmierci. Poczynając od W. Ks. Konstantego, a kończąc na słynnym na Emigracyi Ibusiu (J. B. Ostrowskim), jakież to dziwny zbiór ludzi najrozmaitszych, łączących się w nienawiści Mochnackiego. *Viel' Feind—viel' Ehre*—mówi niemieckie przysłowie—jakoż, gdyby tylko liczbą wrogów Mochnackiego oceniać jego znaczenie, jużby ono było niepospolite.

Mochnacki nie miał daru ujmowania ludzi samą powierzchownością: „chudy, blady, srodze ospowaty, z białemi, biegającymi oczkami“ czyni na starym Niemcewiczu wrażenie „wściekłej postaci.“¹⁾ Porywczosć, nierozwaga młodzieńcza, gwałtowny temperament każą mu wybuchać odrazu słowem namiętnem, zapalnym, którego po chwili zastanowienia się cofnąć już nie może. Nie żywi on zrazu nieufności, nie podejrzewa tajnych dołów, jakie mu spryt ludzki może zastawić. Jest w nim w istocie „prostota ducha,²⁾ którą straszna burza roku 1830 zepsuć i wykrzywić się starała. W tej prostocie ducha i niedoświadczeniu młodzieńczem popełni on niejedyn krok nierozważny i przyzna się do tego na Emigracyi: „Zrobiłem krok nadto prędki, nadto namiętny i to mnie, to klubowi, to nawet rzeczy publicznej bardzo zaszkodziło.“ (Stopniowanie znamienne!). Albo znowu: „Zaawanturowałem się—że tak powiem—nadto daleko, żebym mógł cofnąć kroku. W tych zabiegach było tyle prawie rzetelnego przekonania, iż to, czego chciałem, zbawi sprawę, ile namiętności, w części nawet względu na niebezpieczeństwo osobiste (!)³⁾ Dalej chyba szczerości posunąć nie można.

¹⁾ J. U. Niemcewicza Pamiętniki z 1830—31 r. wyd. M. A. Kurpiel. Nakład Akad. Um. Kraków, 1909, str. 52.

²⁾ Dzieła III, 126.

³⁾ Dzieła III, 131.

Ta bezwzględność wobec siebie samego i doskonała, z latami rosnąca znajomość duszy ludzkiej wogóle, sprawiły przy olbrzymiem czytaniu Mochnackiego i namiętym temperamentie to, że urósł on na pisarza pierwszorzędnego, który powołany był do przewodztwa narodu—powołany—ale nie dopuszczony.

Tylko najbliżsi wiedzieli, jaki skarb duchowy kryje w sobie Mochnacki; ale i ci najbliżsi nie zawsze go rozumieli. Podczaszyński po tyloletniej przyjaźni i zażyłości pisze do p. Mochnackiej, że gdyby mu przyszło wybierać koniecznie jedno z dwojga, to „wolałby Maurycego serce, jak głowę.“¹⁾ Świadcstwo ważne, bo stwierdza, że w tym niepospolitym człowieku dziwna była równowaga wielkiego rozumu z gorącym sercem, a jeden i drugie służyły tylko ojczyźnie.

„Polska niepodległa i potężna była jedynym romansem mojej młodości“—wyznawał z dumą i mógł dodać, że nietylko młodości, ale całego życia. Życie to było tragiczne, bo zatrutowane od pacholącego wieku przez wrogów i przez rodaków.

Warto dokładnie zastanowić się nad słowami M. Podczaszyńskiego, który tylko kilka miesięcy przeżył Mochnackiego: „Przez piętnaście lat uwielbiałem przymioty serca M. Mochnackiego,... byłem świadkiem jego prześladowania i jego nieszczęść; w każdym jego niepowodzeniu widziałem wróżbę dla wszystkiego, co miałem najdroższego na świecie... Nikt nademnie mniemanych jego zbrodni w więzieniu Karmelitów i cenzurze nie widział bliżej i jaśniej. Nikogo też bardziej nademnie nie oburzały zarzuty przewrotnych lub zaślepionych ludzi, z których żaden nie wytrzymałby ani jednej takiej próby, na jakie on przez całe życie był wystawiony, a którzy jedną nic nie znaczącą słabość młodzieńczego wieku, przez tyle lat w najohydniejszej wystawiali barwie, ażeby jasną prawdę, której on tyle razy w stanowczych dla narodu momentach jedynym był organem, zasłoną błędem okryć, a chęć jego służenia poczciwie ojczyźnie za występłą ambycję podać. Wszystkie ich życzenia już się teraz spełniły. Pozostaje im tylko kazać wielbić pamięć proroka, którego za życia kamienowali.“ A skoro dzisiaj, z racji ogłoszonego w tekście autentycznym zeznania więziennego,²⁾ wznawiają się sądy spóźnione nad ośmnastoletnim ich poniewolnym³⁾ autorem, to jako hamulec

¹⁾ I, 166.

²⁾ Sz. Askenazy: *Lukasiński*. Warszawa, 1908. II, 381—385.

³⁾ Odpowiedź Mochnackiego na pytanie indagacyjne jest wprawdzie własnoręczna, ale któż zaręczy, czy nie z podłożonego mu i poprawionego

w zbytich zapędach potępieńczych warto położyć sąd prof. Askenazego, który orzeka, iż Mochnacki chwilę słabości „aż nadto okupił tem wszystkim, co w następstwie dał swemu narodowi.“

Ale inaczej było w owych latach rozpaczy i zgryzot po katastrofie, gdy „zbiegi w czas morowy lękliwe nieśli za granicę głowy“; oddychając powietrzem, „tylu kłátwami ciężarnem,“ utraciwszy rozum w mękach długich, plwali na siebie“ i żarli się wzajemnie.

W takiej atmosferze przyszło spędzać ostatnie lata Mochnackiemu, tworzyć największe swe dzieło z myślą ciągłą o Polsce, bez Polski, a co boleśnieszka: z jasnym przeświadczeniem, że w Polsce życia mu spokojnie nie dano:

„Nam zostać na ustroni i umrzeć na obcej ziemi przystało... prochy i kości nasze nigdy tam (na ojczyznej ziemi) spoczywać nie będą... Tak wielką impresją uczyniła na mnie ostatnia rewolucya, że postanowiłem być wygnańcem do śmierci. Gdybym dzisiaj wrócił do którejkolwiek części Polski, ręczę, żebym się stał za dziesięć dni celem ogólnej potwarzy i powszechnego prześladowania. Za granicą nikt mnie nie stara się szkodzić prócz swoich. Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami.“ (Paryż, 5 kwietnia 1833 r.).

Straszne wyznanie! I czy nie rośnie podziw dla potęgi ducha, który w takich nieludzkich warunkach, o głodzie fizycznym i straszniejszym jeszcze głodzie duchowych podniet, bez krzepiącej siły, z serc bratnich płynącej, snuł z siebie samego, jak jedwabnik, pasmo nieśmiertelnych myśli na wieczny narodu pożytek.

W skarbcu jego puścizny myślny się jeszcze nie rozpatrzyli dokładnie. Ośmdziesiąt lat smutku, bólów przeróżnych, porywów

ad hoc brulionu przepisywana? Wszak pytanie indagacyjne namawia łagodnie do szczerości (!): „oznacz szczerze te wszystkie źródła, skąd tyle złych zasad czerpanych i czem podsycanych było, objaśniając przytem szczerze, co rozumiesz pod słowami i t. d. i t. d.“ Cała odpowiedź wygląda na omówiony już przedtem elaborat. Hankiewicz i Nowosilcow wiedzieli, czego im potrzeba!

Odpowiedź Mochnackiego wygląda na zbyt dokładną i mogła obudzić podejrzliwość W. Ks. Konstantego co do wiarogodności. Stąd zapewnienia, że to jest „własny wyraz uczuć i widzenia młodego człowieka, który sam (!) pracował nad poznaniem i poprawą obłąkań swoich.“ Stąd ponowne twierdzenie, że Mochnacki „dotyka przedmiotów, które ani w pytaniach ani w ustnych uwagach (tu się zdradzili!) napomykać mu nawet nie były.“ (Łuk. II, 386). Jakże to wszystko czuć policyjną robotą!

i upadków oddzieliło nas warstwą pyłu dziejowego od prawd, wydobytych przenikliwym unysłem największego znawcy duszy polskiej. Całości artystycznej, dzieła skończonego nie pozostał po sobie Mochnacki, bo arcydzieła śmierć nie dała dokonać. Ale fragmenty jego tworzą przecież wspaniałą całość organiczną tytanicznego ducha. Fragmentów Mochnackiego nie oddalibyśmy za różne, nawet wielkie rozmiarami „całości.“ Tymi fragmentami bowiem torował on drogi nowe, roztaczał nowe widnokregi.

„Powstanie Narodu Polskiego“ jest utworem wyjątkowym, niemającym nietylko nic równego sobie w całej literaturze naszej XIX wieku, ale nawet nic takiego, coby z nim zestawić można. Szczery to objaw narodowej myśli, samodzielny na wskroś i potężny. Sprawiedliwość oddał mu prof. Askenazy w tych słowach: „arcydzieło rozmachu, ognia, plastyki dziejopisarskiej, a niemniej też przenikliwych rzutów historyczno-politycznych, w którym jeszcze niejedno pokolenie czerpać będzie naukę i zapał. „Orzeł polski—są piękne słowa zacnego Niemca, uczonego Gansa—odlatując, upuścił jedno białe pióro; podniósł je Mochnacki i napisał nim swoją Historią.“

Dzieło to nie z szczegółów należy oceniać, nie z drobnostek, zawsze i wszędzie ulegających pleśni czasu. Trzeba przejąć się bodaj na chwilę tym zapałem, który je stworzył, a wtedy uzna się w nim wyraz płomiennej i pięknej duszy polskiej. Czem w poezji naszej „Pan Tadeusz,“ tem w prozie „Powstanie“ Mochnackiego. To są Soplicowa nasze. „Tam się człowiek napije, nadszy Ojczyznę.“

JÓZEF KALLENBACH.

TEODOR ROOSEVELT.

Teodor Roosevelt, były i zapewne przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, o którym właściwie od jego ustąpienia dotąd bynajmniej nie zapomniano, przypominał się ostatnio światu najpierw przez swe głośne polowania w Afryce, skąd jego strzały, wymierzone do nosorożców i hipopotamów, rozbrzmiewały grzmiałem echem aż w Europie, uprzedzając i zwiastując rychłe przybycie we własnej osobie amerykańskiego, a w danej chwili afrykańskiego tryumfatora.

Podróż jego po Europie była też rodzajem apoteozy, którą zgotowali mu nieprawidłowo, wbrew zwyczajom międzynarodowym, monarchowie, rządy i naczelnicy państw, przyjmując obywatela Stanów Zjednoczonych, nie posiadającego żadnego charakteru oficjalnego, tak, jak gdyby był zawsze conajmniej prezydentem. Widzieliśmy przytem szczególny fenomen, że tenże obywatel traktowanym był w takiż sposób przez ambasadorów amerykańskich, a nadto, iż sam on przyjął najnaturalniej w świecie te honory, jako sobie należne, stawiając się przez to w roli uzurpatora względem praw konstytucyjnych swego kraju.

Jakkolwiekby, „cezar amerykański,“ poprzedzony i otoczony sztuczną aureolą reklamy, która wyda swe owoce po jego powrocie do ojczyzny, stracił nieco w oczach wielu, którzy zaliczali się do szczerych wielbicieli jego doktryny cnót energicznych, popartej żywym przykładem własnej działalności obywatelskiej.

Temu wrażeniu, poniekąd dość uzasadnionemu z punktu widzenia europejskiego, nie można wszakże poddawać się bez kontroli, jeżeli się chce być w swych sądach ścisłym. Nie trzeba zapominać mianowicie, że ma się do czynienia z przedstawicielem typowym umysłowości amerykańskiej, która, pomimo niezaprze-

czonej jego pod tyłu względami wyższości, nie mogła na nim nie odbić swego wyraźnego piętna.

Ale nietylko w sferach rządowych przyjęto Roosevelta z takimi wyjątkowymi honorami, ciała naukowe wyróżniły go także zaszczytnie. Instytut Francuski w Paryżu uczynił go swym członkiem honorowym, zaś uniwersytet paryski w pełnym składzie, ze swym „Wielkim Mistrzem“—ministrem oświaty na czele, przyjął go ceremonialnie w wielkiej sali Sorbonny i wysłuchał jego przygotowanej na ten cel prelekcji.

Czemże zasłużył sobie na tego rodzaju odznaczenie ten człowiek czynu, dzielny administrator i polityk, wcielający mocarstwowe aspiracje Stanów Zjednoczonych? Nie ograniczając się do działalności bezpośredniej w licznych kierunkach, będącej jego sferą właściwą, Teodor Roosevelt pragnął też myśli swe wyrazić piórem. Pomimo absorbujących zajęć, znalazł on dość czasu na wydanie całego szeregu pism oryginalnych, w których te swoje myśli wypowiada i krystalizuje. Poza paroma studjami historycznymi, od których zaczął swą karierę w piśmiennictwie — „Naval War of 1812“ (Wojna morska w r. 1812), „The Winning of the West“ (Zdobycie Zachodu), „Oliver Cromwell“ i monografia historyczna New-Yorku — Roosevelt jest przede wszystkim w swych pismach socjologiem, moralistą i politykiem, a obok tego wybornym obserwatorem natury, życia i ludzi. Z tem wszystkim nie trzeba zapominać, że nie jest on literatem, a przeto nie należy dzieł jego sądzić z punktu literackiego. Jako wyłącznie człowiek czynu, nie uznaje on pisma dla pisma. Piśmiennictwo ma dlań o tyle wartości, o ile służy dla poparcia, wytłómaczenia, określenia lub wskazania czynu i dlatego próżnoby szukać u niego ozdobności stylu lub efektów więcej wyszukanych myśli i uczucia.

Myśli swej nie ubiera w szatę artystyczną, ale stara się ją wyrazić jaknajprościej i jaknajbardziej bezpośrednio, bez żadnych upiększeń ani obsłonek, któreby ją czyniły niejasną lub mniej zrozumiałą. Przeto pism jego, które są li tylko wykwitem jego działalności publicznej lub prywatnej, wynikłym z jej potrzeb i przeznaczonym dla celów realnych, praktycznych i bezpośrednich, nie można odłączać od jego życia, co nie znaczy wszakże, aby nie miały wartości same w sobie. Owszem, pozostaną na przyszłość i są obecnie dla nas, Europejczyków, najautentyczniejszym dokumentem, wskazującym rzeczywisty stan rozwoju społeczeństwa północno-amerykańskiego we wszystkich kierunkach i jego podstawy moralne i materyalne, na których się wspiera i rozrasta z tak zdumiewającą szybkością do nieobliczalnych rozmiarów;

najwierniejszem odbiciem ducha tej rasy pionierów w chwili przełomowej, gdy w przeświadczeniu o swej sile, już wypróbowanej w ściślejszym zakresie, i w przekonaniu o swej wyższości moralnej pragnie ona wystąpić na szerszej widowni i zająć pośród potęg świata stanowisko odpowiedniejsze wartości swych skrzętnie dotąd gromadzonych olbrzymich zasobów. Skończył się już prawie zupełnie długi okres mozolnego zdobywania dzikich obszarów, pracy organicznej, wyłącznie utylitarnej, i wewnętrznej konsolidacji. Amalgamat ras różnolitych przetopił się powoli na nową rasę, przedstawiającą charakter i cechy odrębne, która stworzyła naród jednolity, solidarny, świadomy siebie i swych celów, posiadający już dostateczną siłę atrakcyi, by nie obawiać się ciągle napływających i powiększających go liczebnie elementów obcych, które absorbuje w pierwszym niemal pokoleniu. Teraz już hasło „Ameryka dla Amerykanów“ nie wystarcza ruchliwym, przedsiębiorczym i śmiałym obywatelom Stanów Zjednoczonych. Minęła era partykularyzmu, zrodził się amerykański „imperyalizm.“

Jak młody byk, w którym krew wre nadmiarem siły, ryje z niecierpliwością ziemię potężnym rogiem, szukając oporu, i miazdży wszystko, co napotka, tak też naród amerykański, party potrzebą użycia swych mięśni, rzucił się najpierw na najbliższego sąsiada. Ale hiszpański torreador, jak się okazało, miał tylko czerwoną płachtę. Szpadę, której jednym pchnięciem powalał dawniej rozjuszonego zwierza, zgubił, czy złamał. Zwycięstwo zbyt łatwe podnieciło tylko jeszcze bardziej zaczepne instynkty narodu, spożytkowywane dotąd na polu ekonomicznem. Zbudziły się nowe ambicje. Pragnienie wojennych wawrzynów, stanowiska przewodniczącego wśród narodów wzniosło się ponad ciasniejsze dotychczasowe dążenia utylitarne. Zaostrzyły się apetyty. Po ekspansyi na wewnątrz otworzyły się widoki ekspansyi na zewnątrz.

W takich to chwilach urzeczywistnienia i stwierdzenia potęgi Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się i ciągnęła działalność publiczna Roosevelta. Ta zaś działalność jego dotychczasowa była nader rozmaitą. Był on hodowcą, politykiem, pisarzem, żołnierzem, naczelnikiem policyi, ministrem marynarki wreszcie prezydentem Rzeczypospolitej. W czasach zaś ostatnich, po opuszczeniu prezydentury i w oczekiwaniu ponownego objęcia najwyższego urzędu, oddawał się specjalnie myśliwstwu.

A w każdym z tych kierunków, czy urzędów, pracował usilnie z zapałem i oddaniem się zupełnem, jak gdyby to miało być jedynem zadaniem jego życia. To też nie tylko nabył osobistego

doświadczenia w tych różnych specjalnościach, ale nadto poznał zblizka i miał sposobność ocenić dokładnie charakter ludzi, biorących w nich udział zbiorowo lub pojedynczo. W młodym wieku spędził lat kilka, jako hodowca, w stepach dalekiego Zachodu, pośród Cow-boysów i Rough-Riderów, dzielając w zupełności i narówni ich życie, zajęcia, trudy, niedostatki i niebezpieczeństwa. Ten pobyt na dalekim Zachodzie był też dla niego najlepszą szkołą wytrwałości, przedsiębiorczości i odwagi, w której wykształcił wolę i charakter i zahartował się fizycznie i moralnie na całe życie. Powróciwszy do wschodniej, t. j. zaludnionej, cywilizowanej i przemysłowej części swej wielkiej ojczyzny, skąd jest rodem, odznaczył się na stanowisku naczelnika policji w New-Yorku, gdzie swą energią i zręcznością potrafił wytepić bandytyzm, szerzący się w tem olbrzymim zbiegowisku ludzi z całego świata. Jako polityk, wypowiedział Roosevelt walkę na śmierć i życie wszystkiemu, co przekupstwem, wyzyskiem, fałszem, podstępem i podłem karyerowiczowstwem zachwaszcza życie społeczne, polityczne i państwowe Stanów Zjednoczonych. W wojnie przeciw Hiszpanii brał udział osobisty na czele pułku kawalerji, sformowanego z owych Rough-Riderów, czyli ujeżdżaczy dzikich koni ze stepów dalekiego Zachodu. Dzielność, jaką okazał w tej kampanii, zyskała mu wielką popularność u większej części współziomków, którzy też, pomimo oporu niechętnych mu partyj politycznych, z zajmowanego przezeń wówczas stanowiska wice-prezydenta, wynieśli go, po śmiertelnym zamachu na Mac-Kinleya, do godności prezydenta Unii.

Z pośród wymienionych powyżej prac historycznych Roosevelta zasługuje więcej na uwagę jego szkic o Olivierze Cromwellu, w którym wyraża zdania oryginalne o purytańskim bohaterze i jego epoce, uznając w nim, pomimo fatalnych błędów i nadużyć, twórcę dzisiejszej wielkości Anglii i wogóle rasy anglo-saskiej. „Zdobycie Zachodu“ (The Winning of the West) jest dziełem o wiele poważniejszego znaczenia, a właściwie jedyną pracą źródłową, opartą na ścisłych dokumentach, dotyczącą dziejów powolnego, ale nieustannego posuwania się rasy białej na zachód amerykańskiego kontynentu i zdobywania dla cywilizacji tych olbrzymich, pustych przestrzeni, stanowiących do niedawna wyłączną własność nielicznych, półdzikich plemion czerwonoskórych Indian.

Przy całym swoim demokratyzmie, który, jak zobaczymy dalej, różni się bardzo od demokratyzmu europejskiego, Roosevelt jest patriotą niezmiernie przywiązany do tradycji i przeszłości swej rasy. To też przedmiot ten traktuje on ze szczególnem za-

miłowaniem, bo, jak mówi, „ludzie, którzy brali udział w życiu pogranicznym, śpiesznie dzisiaj znikającym, czują szczególną sympatyę do życia pogranicznego czasów minionych, które znikło już oddawna.“

Dzieje zdobycia Zachodu, to historia tych strzelców i karczowników, którzy w przeciągu paru ostatnich stuleci, zapuszczając się pojedynczo lub drobnymi grupami w niezmierzone puszcze, walcząc z nadludzką energią ze spotykanymi co krok przeszkodami, trudnościami i niebezpieczeństwami, doszli o własnych siłach, bez żadnej znikąd pomocy, aż do oceanu Spokojnego i sami, prowadząc życie pierwotne, blizkie dzikości, podobne ze wszechmiar do życia człowieka zamierzłych epok przedhistorycznych, zgubionego w bezmiarze wrogiej mu przyrody, którą własnym przemysłem, siłą, zręcznością i śmiałością musieli opanować, stali się nieustraszonymi pionierami cywilizacji. Ten zdumiewający pochód awanturniczy dopełniony bez planu, pochód, na który zostały się usiłowania indywidualne jednostek, obdarzonych wyjątkowymi zaletami ducha i ciała, istot prymitywnych, pełnych instynktem zdobyczy—to prawdziwa i wspaniała epopea amerykańska. Roosevelt, pisząc historię tego zamykającego się obecnie bohaterskiego okresu w dziejach swego narodu, odczuwa to doskonale i pomimo trzeźwej, a nawet suchej i bezbarwnej prostoty swego stylu, umie, nie uciekając się do żadnej sztuki, udzielić czytelnikowi zapału, zachwyty i wzruszenia, jakiemi wzbiera serce Amerykanina dla wielkości tego dzieła i jego przeważnie bezwiednych wykonawców.

Wykład doktryny socjalnej i politycznej Roosevelta znajdujemy w trzech jego książkach: „American Ideals and other Essays“ (Ideały amerykańskie i inne szkice), „Administration. Civil-Service“ (Administracja. Służba cywilna) i „The Strenuous Life and other Addresses“ (Życie wyteżone i inne mowy). Książki te nie przedstawiają jedności kompozycji, są to bowiem zbiory mów i artykułów, wypowiedzianych lub napisanych w różnych czasach i przy rozmaitych okolicznościach. Zebrane w tych trzech tomach, dopełniają się one wzajemnie i tworzą całość, dającą dostateczne pojęcie czem są i na czem spoczywają te ideały amerykańskie. Autor nie wysnuwa ich sam z siebie, lecz biorąc je w atmosferze moralnej, wytworzonej przez ducha rasy, układa w system i stawia z nich drogowskaz, mający poprowadzić ziomków jego na górne szlaki wyższych przeznaczeń. W rzeczy samej takim jest przedewszystkiem cel tych jego prawdziwych kazań społecznych, bo gruntem, na którym twardo stoi Roosevelt, jest patriotyzm—

przywiązanie do kraju i rasy i pragnienie jej wywyższenia. Nie spodziewajmy się wszakże napotkać tu idei nowych, oryentacyj dotąd nieznanych. Bynajmniej, wszystko, co on mówi, to rzeczy stare, jak świat, dobrze znane każdemu, który otrzymał jakie takie moralne wychowanie. Są to nauki moralne i społeczne, jakie w Europie starsi—rodzice, nauczyciele i wogóle wychowawcy dają dzieciom, sami ich po większej części w praktyce nie stosując, skąd taki skutek, że owe dzieci, doszedłszy do używania rozumu, czynią to samo, tak, iż w końcu pomiędzy teorią głoszoną a praktyką w czyn wprowadzaną nastąpił rozbrat prawie zupełny. Teoria została teorią, ale pomimo że jest wszystkim znaną i przeważnie jeszcze uznawaną, utraciła niemniej rzeczywisty wpływ na życie, przestała być prawdziwą dyrektywą; przeniosła się do sfery wskazówek idealnych, które rozumieć należy w przenośni i stosować conajwyżej w pewnej modyfikującej je transpozycji, i to jeszcze o tyle, o ile pozwalają na to okoliczności.

Inaczej rzecz się ma w Ameryce, gdzie unysły prostsze nie doszły jeszcze do takiej subtelności. Teoria i praktyka, zasada i czyn, idą tam jeszcze w parze i dlatego, gdyby prawdy, zawarte w naukach Roosevelta, były wypowiedziane w Europie przez Europejczyka, brzmiałyby jak komunał, lecz w Ameryce mają inną doniosłość. I w naszych oczach także przybierają one znaczenie głębsze i realniejsze, ponieważ wychodzą z ust człowieka głęboko przekonanego. Człowiek ten nie mówi, jak nasi wychowawcy po to, aby ukryć prawdę przed dziećmi, dopóki jej same nie zobaczą i nie zrozumieją, że wypada ukrywać ją dalej, ale po to, by siłą własnej wiary w głoszone ideały trafić do przekonania drugich i przykładem własnego życia zachęcić do ich urzeczywistnienia. Na tem polega cała wartość tego zakresu pism Roosevelta i z tego też punktu należy je oceniać.

Myśli, zawarte w pismach powyższych, odnajdujemy także w głównych liniach, w mowie jego, wypowiedzianej 23 kwietnia r. b. w Sorbonnie, a osnutej na temacie: „Obywatel Rzeczypospolitej.“ Kresząc portret obywatela rzeczypospolitej, jakim powinien być i jakim być nie powinien, daje tu Roosevelt zarazem w krótkich słowach sumę rozwiniętych poprzednio poglądów i poniekąd kwintesencję swej doktryny „Życia wytężonego.“

W każdym słowie czy tej jego mowy, czy wymienionych pism odczuwa się silną indywidualność mówcy i autora. Wyraża się on dobitnie, stanowczo, bez troski o drażnienie czyjejkolwiek miłości własnej, niemal brutalnie, ale z zapałem i przekonaniem apostoła—jest zarazem „profesorem energii“ i kaznodzieją.

„Chcę—mówi Roosevelt w jednej ze swych mów amerykańskich (Strenuous Life)—głosić nie doktrynę nikczemnych wygod, lecz doktrynę życia wytężonego, życia trudów i wysiłków, pracy i walki; chcę głosić najwyższy stopień powodzenia, będącego udziałem nie człowieka, który pragnie tylko wygodnego spokoju, lecz tego, który nie uchyla się od niebezpieczeństwa, przeszkód i gorzkiego trudu i dostępuje przez to świetnego i najwyższego tryumfu. Życie w próżniaczych wygodach, życie w tym spokoju, który jest skutkiem braku pragnień i niemożności zdobycia się na wielkie dzieła, jest równie niegodnem narodu, jak i jednostki. Żądam tylko, aby to, co każdy szanujący się Amerykanin wymaga od siebie i swych synów, było wymagane od całości narodu amerykańskiego. Kto z was chciałby uczyć synów, że wygodą, że spokój ma być w ich oczach najpierwszem dobrem i najwyższym celem do osiągnięcia?

Zdrowe państwo może istnieć tylko o tyle, o ile w niem mężczyźni i kobiety prowadzą życie porządne, jędrne, zdrowe; o ile dzieci wychowane są w taki sposób, że starają się nie unikać trudności, ale je przewartościować; nie szukać wygod, ale umieć wydrzeć zwycięstwo wysiłkiem i narażeniem. Mężczyzna powinien być szczęśliwy ze spełnienia swego męskiego zadania: śmieć, wytrwać, pracować, strzedz siebie i swoich. Kobieta powinna być gospodynią, towarzyszką założyciela domowego ogniska, mądrą i nieustraszoną matką dzieci zdrowych i licznych. W jednej ze swych potężnych i melancholijnych książek, Daudet mówi o „obawie macierzyństwa, o strachu, dręczącym młodą małżonkę czasów obecnych.“ Gdy takie słowa mogą być bez fałszu powiedziane o jakimś narodzie, to naród taki musi być spróchniałym aż w sercu swego serca. Gdy mężczyźni boją się pracy lub sprawiedliwej wojny, gdy kobiety boją się macierzyństwa, to chwieją się oni na brzegu potępienia i lepiejby było, gdyby znikli z oblicza ziemi, na której są przedmiotem zasłużonej pogardy ze strony wszystkich mężczyzn i wszystkich kobiet silnych, dzielnych i szlachetnych. Toż samo, co o jednostkach, da się powiedzieć o narodach. Nędzny to fałsz, że ludy szczęśliwe nie mają historii. Po trzykroć szczęśliwy naród, który ma chlubne dzieje, bo lepiej ośmielić się na dokonanie dzieł potężnych, odnieść świetne zwycięstwa, chociażby przeplatane klęskami, aniżeli zająć miejsce w szeregu tych duchów ubogich, które nie doznają ani wielkich radości, ani wiele nie cierpią, bo żyją w szarym zmierzchu, gdzie niema ani zwycięstwa, ani porażki.

Bogu niech będą dzięki za to, że wlał żelazo w krew naszych ojców, tych, którzy poparli mądrość Lincolna i walczyli u boku Granta!

I dlatego, że wierzymy z całego serca i z całej duszy w wielkość tego kraju, że czujemy w naszych żyłach wrzenie śmiałego życia i że z całym zaufaniem przekonani jesteśmy, iż danem nam będzie odegrać pierwszorzędną rolę w wieku, który się rozpoczął, witamy z pożądaną rozkoszą sposobność spełnienia wszelkiego zadania, jakie Opatrzność może nam wyznaczyć.“

„Rząd ludu przez lud i dla ludu („Obywatel Rzeczypospolitej“) przedstawia jedno z najbardziej olbrzymich doświadczeń społecznych, mających widoki doprowadzenia do największego dobra lub do największego zła. Od powodzenia lub niepowodzenia rzeczypospolitych, jak wasza (francuska) i nasza, zależy tryumf albo rozpacz(?) ludzkości, dla was przeto i dla nas kwestya wartości osobistej obywatela przewyższa wszystkie inne. Pod innymi formami rządu, pod panowaniem jednego człowieka lub małej liczby ludzi, wartość rządzących ma znaczenie pierwszorzędne. Jeżeli poziom tych ostatnich jest dość wysoki, kraj może przez szereg pokoleń zaznać świetnych losów i zajmować poważne stanowisko w świecie, bez względu na niewysoki skądinąd poziom przeciętnego obywatela, bo obywatel zwyczajny nie wpływa prawie wcale na wytworzenie wyników, do których prowadzi ten typ narodowej wielkości.

Ale dla nas i dla was rzecz przedstawia się inaczej. W naszym wypadku powodzenie lub klęska zależęć będzie w rezultacie od sposobu, w jaki mężczyzna zwyczajny i kobieta zwyczajna spełnią swój obowiązek, najpierw w sprawach codziennych i pospolitych, a następnie w krytycznych chwilach wielkich przełomów, wymagających użycia cnót bohaterskich. Dla powodzenia rzeczypospolitej trzeba, by obywatel zwyczajny był dobrym obywatelem. Potok nie może, w warunkach normalnych, wznieść się wyżej swego źródła, a najpierwsze źródło potęgi narodowej i narodowej wielkości znajduje się w wartości przeciętnej obywatela. Nie trzeba przeto niczego zaniedbać, by poziom zwyczajnego obywatela utrzymać na wysokości, a poziom ten o tyle tylko może być wysokim, o ile znacznie wyższym jeszcze będzie poziom przywódców.“

Tu niewątpliwie mylnem jest zdanie Roosevelta, co się tyczy narodów, pozostających pod rządami monarchicznymi. Każdy rząd, czy to monarchiczny, czy republikański, o ile nie jest rządem obcej przemocy, nie może być niczem innym, jak tylko wytworem

ducha narodowego. Żaden z narodów, które w historii świata i kultury odegrały znaczniejszą rolę, nie zawdzięczał tego tej lub innej formie rządu i jego wyłącznemu działaniu, lecz usiłowaniom wspólnym, w zupełnej harmonii, jaka go z nim łączyła. Bardzo słusznem jest powiedzenie, że każdy naród ma rząd na jaki zasługuje. Naród niekulturalny lub zwyrodniały nie może mieć dobrego rządu, jakkolwiekby ten rząd przybierał formę, nazwę i atrybuty. Jeżeli zaś nawet przypadkiem, jak to w dziejach ludzkości się trafiało, na czele narodu bezwartościowego znajdują się jednostki, obdarzone wyjątkowymi przymiotami, to powodzenie takiego narodu musi być tylko przypadkowem, czasowem, mniej lub więcej krótkotrwałem i kończy się przeważnie wraz z utratą tych swoich kierowników, których zresztą najczęściej ich własna śmiałość i przedsiębiorczość, nie poparta dzielnością narodu, przyprowadza o upadek. Najgenialniejszy wódz, największy bohater, zdolny własną dzielnością pomnożyć stokrotnie siły swej armii, złożonej z dzielnych żołnierzy i poprowadzić ją do niesłychanych tryumfów, nie dokona nic wielkiego z armią tchórzów, niedołęgów i kalek, lub ze stadem ludzkiego bydła, które gnać trzeba batem, bo nie jest w stanie ani pojąć wysokich dążeń swego wodza, ani odczuć jego szlachetnego zapału.

Jak narody szlachetne i kulturalne mogą, przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, uleść obcej przemocy, tak znowu narody nikkzemne, rządzone nikkzemnie, mogą jednak, w pewnych sprzyjających im warunkach, trwać względnie długo i nawet ludzić pozorami potęgi. Historia czasów minionych i współczesnych daje tego przykłady. Ale niech tylko zmieni się jeden z tych warunków, co niechybnie prędzej czy później nastąpić musi, a natychmiast ta fałszywa, działająca tylko na optykę, potęga w proch się rozleci; trzymające się dotąd siłą inercyi stado pierzchnie w popłochu i stanie się pastwą czyhających drapieżników. Wartość tedy narodu, zależna od cnót zasadniczych jego obywateli, która sama jedna, jak słuszenie powiedział Roosevelt, jest w stanie wytworzyć narodową wielkość, ma, wbrew jego zdaniu, toż samo znaczenie dla monarchii, jak i dla rzeczypospolitej, a zatem o ciągłe utrzymywanie i podnoszenie poziomu swej wartości rzeczywistej, za pomocą nieustannej pieczy o te zasadnicze cnoty pojedynczych obywateli i ich rozwój, dbać powinien zarówno naród monarchiczny, jak i ten, który rządzi się lub zdaje mu się, że się rządzi sam.

W jakiż sposób te cnoty rozwijać i wzmacniać; jak zapobiegać ich osłabieniu i zanikowi; jakie są ich skutki w stosunkach

prywatnych i publicznych obywateli, wziętych pojedynczo—wewnątrz, lub zbiorowo, jako naród i państwo, w stosunkach międzynarodowych — na zewnątrz? To pytania, na które odpowiedź znajdziemy jeszcze w tejże mowie konferencyjnej p. t. „Obywatel Rzeczypospolitej,“ z dodatkiem rysów, uwag i spostrzeżeń nowych, trafnych i oryginalnych.

„W każdej rzeczypospolitej, w każdej demokracji jest stosownem, aby znaczna część przywódców wychodziła, w sposób naturalny, z wyższych klas oświeconych, ale o tyle tylko, o ile te klasy posiadają sympatyczną łączność z ludem i są oddane wyższym ideałom. Tym, którzy otrzymali wyższe wychowanie intelektualne, wiele jest danem, wiele też od nich należy oczekiwać. Są jednak błędy, których ludzie z wykształceniem i kulturą, ludzie, którzy odziedziczyli majątek i stanowisko, sami szczególniej strzedz się powinni, bo mogą być do nich z natury rzeczy więcej skłonni; jeżeli im ulegną, widoki ich zostania pożytecznymi będą sprowadzone do zera. Niech człowiek nauki, pisarz, wystrzega się dziwnej i lichej pokusy przybierania wobec drugich i siebie samego postawy cynika, człowieka, który wznosił się ponad wzruszenia i wierzenia i dla którego zło i dobro jest jednym i tem samym. Najgorszy to sposób przyjmowania życia—patrzeć na nie z szyderstwem na ustach. Są ludzie, pyszniący się swym cynizmem, którzy nie potrafią nic innego, tylko krytykować sposób, w jaki inni dokonywują czynów, na jakie oni sami by się nie odważyli. Niema istoty niezdrowszej, niema człowieka mniej zasługującego na szacunek nad tego, który przybiera lub udaje, że przybiera postawę pogardliwej ironii względem wszystkiego, co wielkie i wzniosłe, czy to przez otrzymane rezultaty, czy przez szlachetne usiłowania, które nawet w razie niepowodzenia powinno być cenione, jako zajmujące drugie miejsce, zaraz po powodzeniu. Cynizm myśli i słowa, stało usposobienie do krytykowania dzieła, którego krytyk nie próbuje nigdy spełnić, odległy intelektualizm, niezdolny do wejścia w styczność z rzeczywistością życia, są to wszystko rysy, dowodzące nie wyższości, jak się zdaje ich posiadaczom, lecz słabości, odznaczające ludzi niezdolnych spełnić po męsku swego obowiązku w surowej walce życiowej i szukających pod pozorami pogardy dla tego, czego dokonali inni, ukrycia swej własnej niemocy. Hańba człowiekowi o smaku przerafinowanym, który dopuszcza, by wzgarda uczyniła go niezdolnym do twardej trudów świata pracującego. Nie krytyka ceni się, lecz człowieka, który we własnej osobie wszedł na bojowisko, którego oblicze jest pokryte kurzem, potem i krwią, który walczy mężnie,

który błądzi i pada i upadnie jeszcze, bo niema wysiłku, które-muby nie towarzyszyły pomyłki i błędy; ale który stara się sumiennie uczynić, co powinien; któremu nie obce są wielkie zapały i wielkie poświęcenia; który, w razie całkowitego powodzenia, cieszy się nakoniec tryumfem z dokonanego dzieła, a w najgorszym razie, jeśli mu się nie uda, to utknie przynajmniej wśród wyczerpujących usiłowań, tak iż nie przypadnie mu nigdy miejsce obok istot nieśmiałych i lodowatych, nie znających ani zwycięstwa, ani przegranej. Szyderca, zarozumialec czy rozpustnik, wszelka jednostka, niezdolna do czynu, odgrywa w historii tę samą nędzną rolę. Niema co robić z chłodnemi duszami, którym nie są znane szlachetne wzruszenia, wyniosła duma, wierzenia surowe, wysokie entuzjazmy ludzi, którzy dosiadają pioruna i poskramiają burzę.

Kto posiada wysoki stopień kultury i wykształcenia, niechaj go zachowa, kto go nie ma, niech stara się go osiągnąć. Ale nie zapominajmy, że w porównaniu do innych dóbr, te mają wartość drugorzędną. Trzeba, aby ciało było zdrowe, a umysł jeszcze zdrowszy. Ale ponad ciałem, ponad umysłem jest charakter, w którym łączą się przymioty, jakie przychodzą nam na myśl, gdy mówimy o sile i męstwie człowieka, o jego prawości i poczuciu honoru. Dobre wychowanie powinno być udziałem całego narodu. Ale wychowanie powinno, prócz wiadomości książkowych, zawierać jeszcze wiele innych pierwiastków, aby było naprawdę dobrem. Nie trzeba nigdy zapominać, że żadna przenikliwość i subtelność inteligencji, żaden polor, żadna zręczność nie mogą zastąpić wielkich, podstawowych przymiotów. Panowanie nad sobą, zdrowy sąd, zdolność przyjmowania odpowiedzialności osobistej i jednocześnie działania wspólnie z drugimi, męstwo i decyzja—oto przymioty, po których poznaje się naród, zdolny do panowania. Bez nich żaden naród nie może sam się rządzić, ani uniknąć, by nim nie rządzono z zewnątrz. Z tem wszystkiem najważniejszymi są przymioty zwykłe, pospolite i cnoty codzienne, a mianowicie chęć i zdolność do pracy, do boju, jeśli trzeba i do posiadania dużej liczby zdrowych dzieci.

Nie wiele jest ludzi wogóle niepotrzebujących pracować na swe utrzymanie. Ci mogą i powinni, jeśli chcą być użytecznymi obywatelami, poświęcić swój czas na pracę najcenniejszą w cywilizacji, wogóle nie wynagradzaną—w nauce, w literaturze, w sztukach. Ale człowiek przeciętny musi na życie zarabiać i w tym celu powinien być tak wychowany, iżby rozumiał, że znajdowałby się w położeniu godnem pogardy, gdyby postępował inaczej; że

próżniak nie może być przedmiotem zazdrości, przy którymkolwiek znajduje się końcu drabiny społecznej, lecz przedmiotem pogardy i pośmiewiska.

Charakter daje się poznać w sposobie, w jaki człowiek spełnia swój obowiązek względem siebie samego i względem państwa. Pierwszy obowiązek, dotyczący jego samego i jego rodziny, spełnia człowiek, zarabiając na życie i dostarczając swoim niezbędnego dobrobytu. Potem dopiero może on na tym silnym fundamencie wznieść wyższy budynek, — potem dopiero może przyczyniać się do dobra ogólnego. Niema żadnego pożytku z wywoływania gorzkiego śmiechu, oznaczającego pogardę, a pogarda jest uczuciem, które odczuwamy dla człowieka tak poświęconego dobru ludzkości, iż sam staje się ciężarem dla drugich; rwącego się do wielkich dzieł dla ludzkości wogóle, a nie będącego w stanie zapewnić bytu żonie i wychowania dzieciom. Jeżeli jednak dobrobyt jest podstawą zasadniczą zarówno dla jednostki, jak i dla narodu, to wszakże pamiętać należy, że dobrobyt materyalny jest tylko fundamentem i że fundament ma o tyle wartość, o ile się na nim wznosi budynek życia wyższego, a przeto milioner, jeżeli niema innych zasług, prócz swego bogactwa, nie może figurować w aktywie jakiegokolwiek kraju. Jeżeli zarobił lub używa swych bogactw w sposób użyteczny, jak to się często trafia, wtedy zalicza się on do aktywów. Ale to ten sposób, w jaki zarobił lub używa majątku, a nie sam majątek, stanowi jego zasługę. Prowadzenie interesów na wielką skalę wymaga wielkiej sumy czynności i inteligencji i zasługi stąd wypływające warte są nagrody. Ale strzeżmy się przenoszenia na nagrodę uznania i zachwytu, należnych nagrodzonemu czynowi, a jeżeli istnieje nagroda bez zasługi, wtedy wzbudzać to może zachwyt u ludzi podłej duszy. Są zalety, które z łatwością wywołują nieumiarkowany zachwyt demokracji dla nich samych, podczas gdy uznanie należy im się w rzeczywistości tylko w miarę zrobionego z nich użytku. Do tych przedewszystkiem zaliczają się: umiejętność robienia pieniędzy i dar wymowy. Co myśleć o pierwszym, powiedziano już wyżej. Co do drugiego, to jest bardzo pożądanem, aby kierownik opinii publicznej potrafił wyrazić swą myśl jasno i przekonująco. Jeżeli jednak swego daru wymowy używa dla fałszowania pojęć słuchaczy, albo jeżeli jest on tylko fabrykantem i handlarzem frazesów, jeżeli jego słowa nie prowadzą do wytworzenia dzielności i zdrowego sądu, wtedy ta jego zdolność staje się szkodliwą i jestto dowodem niepokojącego nastroju publicznego, gdy można w taki sposób wpływ wywierać.

Toż samo najzupełniej da się powiedzieć o dziennikarzu, który, przy wpływach i potędze prasy, jakimi rozporządza, może być albo bardzo pożytecznym, albo bardzo szkodliwym. Kłamstwo, oszczerstwo, poszukiwanie sensacyi, płytkość, głupia trywialność, których dopuszcza się zbyt często prasa, przyczyniają się w najwyższym stopniu do znieprawienia umysłu i sumienia publiczności.

W rezultacie, obywatel rzeczypospolitej powinien mieć dwa główne przymioty, z których żaden, bez drugiego, nie może być pożytecznym. Powinien mieć zalety, które go czynią człowiekiem zdolnym i te, które jego zdolności obracają ku pożytkowi publicznemu. Nie ma żadnej wartości obywatel, o którym można powiedzieć co najwyżej, że jest nieszkodliwy. Dobrym obywatelem może być ten tylko, który jest obywatelem pożytecznym.

Jeżeli zdolności człowieka nie są poddane kierunkowi zmysłu moralnego, wtedy, im bardziej jest on zdolnym, tem większe przedstawia niebezpieczeństwo dla ogółu. Dzielność, inteligencja, wszystkie zasadnicze przymioty służyć mogą tylko do powiększenia niebezpieczeństwa, jeżeli człowiek używa ich wyłącznie na własną korzyść, z brutalną obojętnością dla praw bliźniego.

Nie jest dobrym obywatelem również ten, kto swe zdolności i przymioty zużywa wyłącznie w domu. Są jeszcze obowiązki względem państwa, te zaś, w warunkach wynikających z funkcjonowania wolnego rządu w cywilizacji złożonej, nie są zbyt łatwe.

Jednym z głównych warunków, o których pamiętać powinien w życiu politycznym obywatel zwyczajny, a tem bardziej przywódca zwyczajnych obywateli, jest, że nie należy być ideologiem. Filozof pokojowy, człowiek o kulturze przerafinowanej, który ze swej biblioteki, oświadcza, jak ludzie mają być rządzeni w warunkach idealnych, nie służy do niczego w praktyce rządzenia, zaś fanatyk zaślepiiony, a bardziej jeszcze agitator motłochu i nieszczery, który, by dostąpić władzy, obiecuje, co w żadnym razie spełnionem być nie może, jest nietylko niepotrzebny, ale szkodliwy.

Niema pożytku z aspiracyj tak wygórowanych, że się zbliżają do urojenia i stają się do urzeczywistnienia niemożliwe, a nawet niepożądane. Mglisty wizjoner jest wogóle rzadziej zwiastunem i przewodnikiem, niż raczej niebezpiecznym wrogiem praktycznego reformatora, człowieka, który, pomimo swych błędów i pomyłek, przyczynia się jednakże, w pewnym stopniu, do urzeczywistnienia pragnień i nadziei tych, którzy dążą do poprawy w stosunkach ludzkich. Nie trzeba zapominać, że wartość ideału

zależy bardzo wiele od tego, do jakiego stopnia można zapewnić jego urzeczywistnienie. Miejmy odrazę do tych ludzi niby-praktycznych, dla których zmysł praktyczny polega na nikczemnem odmaiwianiu znaczenia: moralności, przyzwoitości, szlachetnej godności w życiu i postępowaniu. Taki człowiek jest największym wrogiem zdrowej polityki. Ale tuż obok niego postawić należy, w rządzie obywateli niepożądanych, jego teoretycznego przeciwnika a rzeczywistego sprzymierzeńca, jakim jest wizyonerski fantastyk, który doskonałość urojoną przeciwstawia nieustannie rzeczywistemu dobru.

Zarówno niemożliwem jest dążyć z teoretykami krańcowego indywidualizmu, jak poddać się teoryom krańcowego socjalizmu. Inicjatywa indywidualna powinna być zawsze zachęcaną i popieraną, co nie przeszkadza, że wiele zadań, należących dawniej do inicjatywy indywidualnej, dają się dziś, wobec więcej złożonego rozwoju społecznego, z większą korzyścią rozstrzygać zbiorowo. Niepodobna zresztą przeprowadzić ściśle linii rozgraniczającej te dwie sfery pojęć i dążeń. W każdym razie, nie można łudzić się co do zgubnych skutków, któreby były wynikiem zastosowania logicznego systemu socjalizmu, w jego znaczeniu zupełnem i krańcowem. Jego skutkiem mogłoby być tylko zniszczenie i o wiele większa niedola, cięższa niesprawiedliwość, gorsza niemoralność niż w stosunkach obecnych. Jednakże, nie idzie zatem, aby nie można było przyjąć, z wielką korzyścią, niektórych zasad, wyznawanych przez pewne grupy, nadające sobie miano socjalistów — obawiać się tego byłoby dowodem słabości. Przecież, w żadnym razie nie powinniśmy zgadzać się nie tylko na wprowadzanie w czyn kłunstwa, ale i na jego wygłaszanie. Nie możemy oznajmiać ludziom, że są równi, kiedy w rzeczywistości nimi nie są, ani działać, jakgdybyśmy uważali za istniejącą równość, której niema. Natomiast mamy obowiązek starać się wszelkimi siłami zaprowadzić to z równości, co jest możliwem, aby usunąć przynajmniej nierówność, wynikającą z nadużycia siły lub podstępu — nierówność praw, widoków i przywilejów, koniecznie potrzebną jest równość w dawaniu możności oddawania usług, ale póki będzie nierówność usług, dopóty musi być nierówność nagród.

Powiedzieć, że marnotrawca, próżniak, rozpustnik i niedołęga powinni być wynagrodzeni na równi z przewidującym, pracowitym, zdolnym i sprawiedliwym jest fałszem, który nigdy nie będzie prawdą. Starajmy się o równość przez podniesienie, ale unikajmy równości przez obniżenie. Jeżeli kto się chwieje, trzeba go podeprzeć. Niema człowieka, któryby od czasu do czasu

nie potrzebował pomocy. Ale jeżeli się kto kładzie na ziemi, to byłoby to stratą czasu brać go na ramiona. Nikt nie ma prawa być niesionym, a niema nic gorszego, nic więcej demoralizującego, jak dać do zrozumienia ogółowi czy jednostce, że mają równe widoki korzyści ci, którzy odwracają się od swego zadania, jak i ci, którzy je spełniają.

Uznawajmy przeto fakta rzeczywiste i nie dajmy oszukać się ułudnemi obietnicami powrotu do „złotego wieku,“ nie zbadawszy ich przedtem dokładnie. Zapewne, byłoby również nierozsądnem odrzucić jakąś myśl lub wskazówkę dla tego tylko, że wizjonerzy ją zalecają.

Mniejsza o to, kto przedstawia nam plan i w jakim celu. Jeżeli wydaje się dobrym, spróbujmy go i w miarę tego, czy próba okaże się korzystną lub nie, przyjmijmy go lub odrzućmy. Dobry obywatel żądać powinien wolności dla siebie i dołożyć wszelkiego starania, aby drudzy mieli ją w równym stopniu. Jedną z najlepszych prób, do jakiego stopnia posunięta jest miłość wolności w każdym kraju, jest sposób, w jaki traktowane są mniejszości. Zupełna wolność powinna być nie tylko w sprawach wiary i przekonań, ale także w sposobie życia jednostki, który jej się podoba, byle tylko nie czyniła tem krzywdy sąsiadowi. Prześladowanie jest zgubnem dlatego, że jest prześladowaniem, bez względu na to, kto w danej chwili jest prześladowcą lub prześladowanym.

Niemniej zgubną jest nienawiść klas i nikt nie czyni więcej krzywdy swemu krajowi, jak ten, który popycha swych współziomków do podziału wedle linii odgraniczających tych, którzy posiadają od tych, którzy nie posiadają, zapominając, że jedynym prawdziwym probierzem jest wartość osobista człowieka, jako człowieka, bez względu na jego zamożność lub niezamożność, na jego zawód lub stopień towarzyski w życiu.

W rzeczypospolitej, aby nie utknąć, trzeba umieć połączyć siłę przekonań osobistych z szeroką tolerancją dla wszelkich przekonań. Wielkie różnice w przekonaniach religijnych, politycznych i społecznych istnieć muszą z konieczności, jeżeli inteligencya i sumienie nie mają być stłumione, lecz zdrowo się rozwijać. Nieubłagana, bratobójcza nienawiść, wynikająca z takich różnic, nie jest dowodem żarliwości w wierze, lecz fanatyzmu, który czy będzie religijnym lub antireligijnym, demokratycznym lub antidemokratycznym, jest zawsze tylko objawem tej zgubnej bigoteryi (?), która stała się przyczyną upadku tylu i tylu narodów. To też obywatele rzeczypospolitej szczególniej wystrzegać się powinni tych polityków, którzy, by zyskać ich zaufanie i po-

parcie, powołują się na uczucia nienawiści względem jakiejś grupy ludności i wzniesają namiętności, pochodzące czy to z uprzedzeń religijnych lub antireligijnych, czy to z niechęci lub zawiści pomiędzy klasami.

Ktokolwiek rzuca takie hasła, ten podaje się tem samem w podejrzenie, iż działa tylko w interesie własnym. Jeżeli ktoś żąda waszego głosu, obiecując wam, że wzamian za to popełni niesprawiedliwość na waszą korzyść, to możecie być pewni, że tenże, jeśli znajdzie w tem interes dla siebie, popełni ją równie dobrze na waszą niekorzyść.

Co się tyczy obowiązków obywatela i państwa, wychodzących poza obręb ich stosunków wewnętrznych, to najpierwszym z nich, dla obywatela, jest patryotyzm. Aby być dobrym obywatelem świata, trzeba przedewszystkiem być dobrym obywatelem swego kraju. Kosmopolityzm, jako przeciwstawienie patryotyzmu, jest doktryną fałszywą i bezmyślną, bo doświadczenie uczy, iż zwykle człowiek, który utrzymuje, że uczucia międzynarodowe tłumią w nim uczucia narodowe, że troska o ludzkość nie pozwala mu troszczyć się o losy własnego kraju, okazuje się, gdy przyjdzie do rzeczy, iż jest on dla ludzkości szkodliwym. Kto nie może być obywatelem żadnego poszczególnego kraju, bo jest obywatelem świata, ten okaże się zawsze obywatelem niezmiernie niepożądanym, w jakimkolwiek znajdzie się zakątku ziemi. Równie nierozsądnem byłoby pokładać zaufanie w człowieku, darzącym taką samą oziębłą obojętnością kraj własny i wszystkie inne, jak w tym, który nie ma uczuć gorętszych dla swej rodziny, niż dla sąsiadów.

Miłość ojczyzny nie wyłącza bynajmniej uczuć ogólnoludzkich i nie sprzeciwia się obowiązkom czynienia dobrze poza własnym krajem. Przeciwnie, człowiek, kochający swą rodzinę, będzie lepszym sąsiadem, niżeli ten, który jej nie kocha, i toż samo, najpożyteczniejszym członkiem rodziny narodów będzie naród o gorącym patryotyzmie. Patryotyzm nie tylko nie sprzeciwia się poszanowaniu, należnemu prawom innych narodów, lecz owszem, patriota dbały o honor narodowy, jak człowiek z sercem dba o cześć własną, baczyć będzie, aby jego ojczyzna nie czyniła i nie cierpiała krzywdy, tak samo, jak sam dalekim jest od chęci czynienia krzywdy drugim, równie, jak nie pozwoli, aby mu ją czyniono. Niedopuszczalnem jest, aby moralność polityczna różniła się od moralności prywatnej; aby człowiekowi, pełniącemu urząd publiczny wolno było uciekać się do oszustwa w stosunkach międzynarodowych, którego by nie popełnił w stosunkach

osobistych, równie jak nie jest dopuszczalnem, aby naród mógł traktować inny naród inaczej, jak człowiek uczciwy traktuje innych ludzi. Gdy mówimy „o prawie międzynarodowem,“ nie zapominajmy wszakże o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy niem i prawami prywatnemi i narodowemi. Ta różnica polega głównie na tem, że gdy ostatnie posiadają sankcyę, pierwsze jej nie mają; że dla zmuszenia jednoski do posłuszeństwa prawu istnieje siła zewnętrzna, której niema na poparcie prawa międzynarodowego. Dopóki taka siła, w ten lub inny sposób, nie zostanie ustanowioną, dopóty nieporozumienia natury poważniejszej rozstrzygane być muszą bezpośrednio pomiędzy narodami.

Narody cywilizowane, jeśli chcą pozostać wierne samym sobie i sprawie ludzkości i cywilizacyi, nie mogą zapominać, że powinny zachować wolę i siłę niedopuszczania, by im wyrządzono krzywdę. Są filozofowie najlepszych intencji, którzy deklamują o niegodziwości wojny. Mają oni słusność, gdy powstają przeciw niegodziwości. Wojna niesprawiedliwa jest zbrodnią przeciw ludzkości, ale jest zbrodnią o tyle tylko, o ile jest niesprawiedliwą. Wybór paść powinien zawsze na stronę prawa, bez względu na to, czy stąd wyniknie pokój czy wojna. Bo nie o pokój ani o wojnę powinno chodzić, ale o to, czy słuszne prawo ma być uszanowane? Naród silny i męski nie zawaha się odpowiedzieć: „Tak, jakiegokolwiekby to pociągnęło narażenie.“

Ludzie wysokiej moralności i zdrowych wierzeń zalecają prawość, ale nie zalecają słabości zarówno ludziom pojedynczym, jak i narodom. Skądinąd znajdują się i tacy, którzy chwają fantastyczną doktrynę Tołstoja i jego apologię pokoju. Ta sama właściwość, która sprawia, iż pewne rodziny zwyrodniałe wydają na przemian ludzi nabożnych i rozpustników, rozwój histeryczny, który w niezdrowych naturach prowadzi do gwałtownej reakcyi wzruszeniowej, od występnej ułomności do enoty, prowadzi też Tołstoja do stworzenia „Sonaty Kreutzerza“ z jednej strony, i z drugiej, do jego chorobliwego mistycyzmu pokoju. Zdrowy umysł byłby równie niezdolnym do moralnego poniżenia powieści, jak i do zwyrodniałej moralności filozofa. Gdyby ziomkowie Tołstoja byli postępowali według jego teoryi, to oddawna jużby nie istnieli, a po ich kraju harcowałiby Tatarzy. Wojna niesprawiedliwa jest wielkim grzechem, nie sprowadza wszakże na ogół tyle nieszczęścia, co niesprawiedliwość względem bliźniego w dzisiejszych stosunkach społecznych i handlowych. Potępić zatem wojnę samą w sobie byłoby równie słusznem i logicznem, jak potępić wszelkie stosunki i sprawy społeczne, jak potępić miłość i mał-

żeństwo, z powodu strasznych klęsk, które powodują rozkiełznanie i brutalne namiętności. Pokój jest wielkim dobrem. Ale jeżeli pokój i słusność stają przeciw sobie, wtedy na pogardę zasłużyłby człowiek, który nie stanąłby po stronie słusności, chociażby świat cały miał zbrojnie powstać przeciw niemu.“

Jak widzimy, niema prawie czynności prywatnej i publicznej człowieka, którejby Roosevelt nie poruszył w tej mowie, a szczególnie w swych pismach, gdzie zwłaszcza wiele kwestyj społecznych, politycznych, administracyjnych i t. p. dotyczących specjalnie i wyłącznie stosunków amerykańskich, traktuje dość obszernie, zawsze z dokładną znajomością rzeczy, opatrując je trafnymi uwagami i wskazówkami. Z tem wszystkiem powtarza się on trochę, lubi rozwodzić się czasem zbyt obszernie nad rzeczami lub pojęciami, aż nadto dobrze znanymi, czyli wyłamywać drzwi otwarte; lubi też, pomimo całej swej prostoty i realizmu, przybierać czasem ton bohaterski lub kaznodziejski. Ale całość wykładu jego myśli i systemu, jeśli to można systemem nazwać, jasna, pewna siebie, prowadząca prosto do celu, jest niczem innym, tylko szeroko pojętym liberalizmem, z dodatkiem pewnego zabarwienia osobistego o charakterze protestanckim, który, pomimo jego niewątpliwie szczerze wyznawanej tolerancji religijnej, przebija tu czasem bezwiednie, jako skutek atawizmu. Wszystkiemu, co mówi Roosevelt, choćby to były rzeczy znane i oddawna przedyskutowane, dodaje siły i oryginalności ta prawdziwa moc przekonania, ta wiara rzeczywiśta i szczerza w wyznawane zasady, która każe mu nietylko mieć je dla siebie i z nich korzystać, ale wszczepiać je i przypominać swym rodakom, aby nie dali się wywieść na błędne drogi obłąkanych teoryj, grasujących, nieszczęściem, wśród społeczeństw europejskich. Demokracyzm jego jest też bardzo dalekim od dzisiejszego demokracyzmu europejskiego, a zwłaszcza francuskiego, nie opiera się bowiem na sekciarskiej nienawiści, na urojonej równości, w teorii i walce klas, w praktyce, dążącej do uprzywilejowania klas najniższych przez zepchnięcie poniżej ich poziomu klas wyższych; nie ma również nic wspólnego z ateizmem i antyklerykalizmem, tymi prawdziwymi filarami demokracyzmu europejskiego, ani też z wypływającym stąd zaprzeczeniem wszelkiej powagi i władzy, czyli anarchizmem. Demokracyzm Roosevelta mógłby uchodzić we Francyi nieledwie za reakcyonizm, tak jest z wielu względów przeciwny duchowi demokracycznemu w formie, w jakiej się on objawia w tym kraju. Właściwą tu podstawą jest ocena człowieka wedle jego rzeczywistej wartości osobistej, bez względu na klasę, do

której należy, ani na przekonania, które wyznaje, przyczem pierwsze miejsce przypada charakterowi. Cechą główną zasad społecznych Roosevelta jest kult energii zarówno w jednostce, jak i w narodzie, a nutą, brzmiającą nieco, jak pobudka wojenna—patryotyzm wojowniczy.

To też widzimy, iż Roosevelt występuje nader ostro przeciw kosmopolityzmowi, pacyfizmowi, fałszywemu humanitaryzmowi i sceptycyzmowi, jako teoryom prowadzącym do zwyrodnienia i upadku rasy za pomocą pomieszania pojęć, ostudzenia zapалу i wyniszczenia energii w jednostce i narodzie. Jeżeli jest on zwolennikiem pokoju w zasadzie, to jednak uznaje konieczność wojny w dzisiejszem stadyum stosunków międzynarodowych. Ale rozróżnia wojnę słuszną od wojny niesłusznej, którą nazywa zbrodnią, i stawia się przez to na gruncie nieściśłym. Jakże bowiem rozstrzygnąć, czy wojna jest słuszną, kiedy każda ze stron walczących uważa, iż ma słuszość i naprawdę, każda ze swego punktu widzenia może ją mieć? Są zapewne wypadki, w których słuszość jest oczywistą, jak np. w razie najazdu dla grabieży i podboju, ale od tego jest teoria imperyalizmu, aby ten sąd, na pozór prosty, że słuszość znajduje się po stronie napadniętego i pokrzywdzonego, pomieszać i zmylić. A właśnie Roosevelt jest tej teorii wyznawcą, gdy twierdzi, że najazd i podbój krajów zamieszkałych przez ludy barbarzyńskie jest nie tylko usprawiedliwionym, ale nawet obowiązkiem państw cywilizowanych, pożądanym dla samych tych ludów, które pod obcym panowaniem zaznają dobrodziejstw cywilizacyi. Naród bowiem, który nie potrafi lub nie chce wyzyskać bogactw swej ziemi, nie ma prawa jej zajmować, gdyż przynosi stratę całej ludzkości, słusznem więc jest, by ustąpił miejsca sąsiadowi, który go w tem zastąpi. Teoria ta jest niczem innym, tylko sofistycznie ukrytem pod płaszczykiem cywilizacyi prawem silniejszego, nie można się też dziwić, że znalazła zwolenników wśród Amerykanów, którzy wytepiłi prawie doszczętnie i z całym spokojem czystego sumienia przyrodzonych mieszkańców amerykańskiego lądu, czerwonoskórych Indian, aby przywłaszczyć sobie ich ziemię, co im również nie przeszkodziło bynajmniej wypowiedzieć „słusznej“ wojny Hiszpanom, pod pozorem, że uciskają Kubańczyków, i zagarnąć ich kolonie. Takimi wykrętnymi wywodami Roosevelt zadał kłam swej niezłomnej, w innych wypadkach, szczerości i nienawiści do hipokryzyi, co jest dowodem, że szczerość, nawet Roosevelta, ma swoje granice, albo, że gdy wchodzi w grę zasadnicze interesy, osobiste lub narodowe, wtedy człowiek, nawet najszczerzy traci

ściłą jasność i bezstronność sądu. Niemoralność tych teoryj jest tak widoczną, że śmiesznem byłoby chcieć jej dowodzić. Oczyszczona z sofizmatów, tak się ona przedstawia: krzywdzić bliźniego jest zbrodnią, a przeto nie wolno skrzywdzić Iksa, bo jest mądry i silny (a więc skrzywdzić się nie da), ale można, a nawet trzeba skrzywdzić Igreka, bo jest głupi i słaby (a więc obronić się nie może). Kto w życiu prywatnem trzyma się takiej zasady, co niestety zbyt często się trafia, podlega kompetencji kodeksu karnego. A przecież Roosevelt powiedział najwyraźniej, że „nie uznaje różnicy pomiędzy moralnością prywatną, a moralnością polityczną“!

Niemniej ciekawą, a może z pewnych względów ciekawszą, jest część jego pism, w której opowiada ze szczegółową ścisłością życie w puszczech i preryach dalekiego Zachodu. „Hunting Trips of a Ranchman“ (Wycieczki myśliwskie hodowcy), „Ranch Life and the Hunting Trail“ (Życie w Rancho i tropy myśliwskie), „The Wilderness Hunter“ (Strzelec puszczy) — są to opisy i notatki najprostsze w świecie, bez żadnej sztuki, bez starania o formę literacką, rzeczy, ludzi, zwierząt, natury, polowań, wypadków i zjawisk, widzianych i poznanych zblizka. A że Roosevelt widział i umiał widzieć bardzo wiele, przeto te opisy i notatki, przy całej swej nieco suchej prostocie, pociągają prawdą zdarzeń przeżytych do tego stopnia, że niejednokrotnie sprawić mogą silne i nawet bardzo artystyczne wrażenie.

Kto w dzieciństwie lubował się w opowiadaniach Fenimora Coopera, ten niewątpliwie z przyjemnością i zaciekawieniem czytać będzie ściśle prawdziwe opisy Roosevelta tej natury dzikiej, pierwotnej i olbrzymiej, tego nęcącego swym szczególnym urokiem nieograniczonej wolności, prymitywnego życia na krańcach cywilizacji i dzikości, w którym ciągłe narażenie i konieczność zdobycia własnym przemysłem i siłami wszelkich środków istnienia, wymaga nieustannej bacności, zręczności, przedsiębiorczości i odwagi. Nic tak, jak życie w takich warunkach, nie przyczynia się do wydoskonalenia i zaostrzenia czynności wszystkich władz człowieka fizycznych i większej części duchowych, nigdzie jego wartość osobista nie może wykazać się tak bezwzględnie, jak tu, gdzie z nikąd pomocy spodziewać się nie może, gdzie sam zdobyć i zrobić musi wszystko, jeżeli nie chce zginąć. Tutaj też tylko zwierzę ludzkie osiągnąć może całej pełni swego rozwoju, jak to widzimy w skreślonych piórem Roosevelta rysach charakterystycznych, typach cow-boysów, tych nowożytnych hipocentaurów, uganiających się na koniu wokoło pół-dzikich stad bydła

rogatego; Rough-Riderów, poskramiających i ujeżdżających w dwie godziny schwytanego na łąso dzikiego konia; myśliwców, spędzających życie całe w osamotnieniu głuchej puszczy, żywiąc się tem tylko, co sami upolują i mieszkając w szałasach z gałęzi i liści; wreszcie dzikich, a właściwie mówiąc nie wiele więcej dzikich od powyżej wymienionych przedstawicieli rasy białej, czerwonoskórych Indyan, niepojętej zręczności jeźdźców, przebiegłych i okrutnych, ale walecznych, szlachetnych i wiarołomnych i jak zwierzę, zżytych i zrosłych z przyrodą, tak, iż dosłownie o nich powiedzieć można, że słyszą, jak trawa rośnie. Nic tak, jak życie tych mieszkańców bezbrzeżnych, dzikich obszarów, nie może nam dać więcej przybliżonego pojęcia do tego, czem było życie człowieka z epoki kamiennej. I doprawdy, czytając te opowieści prawdziwe i rzeczywiste o tych rzeczach dziś jeszcze istniejących, chwytą człowieka jakaś atawistyczna tęsknota do tej nieograniczonej wolności, gdzie niczem nie krępowany oddychać może pełną pierśią. Nie wszystko jednak w tych opisach jest pociągające. Nic okropniejszego np. jak zima na stepach, gdzie niczem niepowstrzymany wichur niesie mróz straszny, którego żadne żywe stworzenie wytrzymać nie jest w stanie. To też nie spędzone zaważsu do miejscowości porośniętych lasem lub osłoniętych wzgórzami i zaskoczony przez zimę stada bydła padają masami, a nawet w miejscach zabezpieczonych tylko sztuki najsilniejsze mogą zimę przetrwać. Hodowla przeto bydła na stepach, w warunkach prymitywnych, nie jest tak łatwą i pewną, jakby się zdaleka zdawać mogło, tembardziej, że, prócz zimy, zachodzi jeszcze wielka trudność o paszę zimową. Roosevelt podpatrzył też i opowiedział w sposób nader zajmujący obyczaję zwierząt: bydła, koni pół-oswojonych i dzikich i innych zwierząt, spotykanych w puszczy i na stepach, drapieżnych lub nieszkodliwych, przedstawiających niebezpieczeństwo dla człowieka lub dających mu pożywienie. Podśluchał ich głosy dziwne, potężne i imponujące, jak głos łosia podczas bekowiska, lub pewnego rodzaju cietrzewia czy koguta stepowego, albo czarujące i melodyjne, jak śpiew drozda-pustelnika lub cudny śpiew miłosny „ptaka szydery“ wśród ciszy wiosennej nocy. Przy całym swoim realizmie, Roosevelt odczuwa i daje odczuć mimowolnie czytelnikowi niewysłowiony urok tych harmonij natury, jak odczuwa również widoki wspaniałe dziewiczej puszczy, monotonne nieskończonych pustych obszarów preryi, dzikie i poszarpane „złych ziem,“ lub rozpaczliwe, w martwocie śnieżnej białości posępnych dni zimowych, albo dziwnie przygnębiającą uczuciem zupełnego

opuszczenia melancholię samotności i nieruchomej grobowej ciszy, przerywanej tajemniczymi odgłosami, w której zdają się zacierać granice pomiędzy życiem doczesnem a wiecznością, i tak strasznej, że człowieka niezwyčajnego, który zabłąka się w puszczy, przejmuje paniczną trwogą do tego stopnia, iż wpada w szal i trzeba go gonić i chwycić, jak dzikie zwierzę.

Razem wzięwszy Roosevelt, tak w życiu publicznem, jak i prywatnem, tak w pismach swych historycznych, społecznych i politycznych, jak w tych, w których charakteryzuje życie i naturę dalekiego Zachodu, przedstawia się, jako realista potężny, człowiek, może nie zupełnie po europejsku okrzesywany i nie zawsze chwytający subtelniejsze odcienie, ale posiadający zdrowy zmysł moralny, a nadewszystko tęgi charakter i nienaruszoną stęchłymi powiewami nowożytnego sceptycyzmu energię życiową.

Jako taki, jest on niewątpliwie najwyższym typem Amerykanina i obywatela Stanów-Zjednoczonych, uosabiającym i skupiającym w sobie wszystkie cechy dodatnie rasy. Nie można więc dziwić się niezwykłej jego u swych ziomeków popularności i zapewne wysokim przeznaczeniom, które go czekają w ojczyźnie.

Z takich ludzi powstawali niegdyś wodzowie, twórcy narodowej potęgi i założyciele dynastji.

KONRAD OSTROWSKI.

MICKIEWICZ

w świetle nieznanych pism.

V. Romantyzm w życiu i poezji.

O ile omówione dotąd „nieznane“ pisma Mickiewicza pozwalają uzupełnić niejednym rysem obraz najwcześniejszej doby rozwoju jego talentu—o tyle ogłoszona korespondencya z tego okresu zawiera sporo materiału dla ustalenia faktów dotąd niepewnych lub niezupełnie właściwie przedstawianych. Rodzi się tedy dla historyków literatury konieczność zdania sprawy i z tego, co nowego „nieznane“ listy przynoszą; zadanie to pragniemy rozwiązać, wskazując najogólniejsze a zarazem najważniejsze nowe momenty, czeń, oczywiście, nie wyczerpujemy całej obfitości szczegółów, których ogłoszona korespondencya długi czas nie przestanie dostarczać. Chcemy więc na razie zużytkować najważniejsze wiadomości, odnoszące się do utworów, ogłoszonych w dwóch pierwszych tomikach poezyj.

O balladach wspomina Mickiewicz po raz pierwszy w liście do Czeczota, pisanym z Kowna w połowie grudnia 1819 r. Donosi, że pod wpływem wiadomości o chorobie Czeczota przyśniło mu się, że Czeczot umarł; wtedy wstał i napisał „dwie króciutkie balladki dość mizerne; jedna dla mnie tylko zrozumiana, drugą... przeczytam na fecie Zanowej.“

Jest to wiadomość pierwszorzędnej wagi tak dla ustalenia daty, jak i rzeczowego objaśnienia dwóch ballad, któremi są niewątpliwie: pierwsza część „Tukaja“ oraz „Świtez.“ Wiemy bowiem skądinąd, że w tyr. właśnie czasie te tylko oryginalne bal-

lady Mickiewicza czytano na posiedzeniach filomackich ¹⁾ — poza-tem zaś nie mniej ważne względy rzeczowe te jedynie ballady wskazują. Względy te wynikają niedwuznacznie ze słów listu. Poeta pisze pod wpływem snu o śmierci przyjaciela—cóż innego, jeśli nie „Tukaja albo próby przyjaźni“? Zasadniczy pomysł: motyw śmierci w połączeniu z motywem przyjaźni—wyrasta z realnego gruntu osobistego przeżycia. Cytowany list dostarcza wszechstronnego i wyczerpującego pod tym względem komentarza: poeta odpowiada na list „pełen i wyrazów przyjacielskich i gorącej imaginacji“—odpowiada dyskursem o przyjaźni, bezpośrednio po doniesieniu o owym śnie złowróżbnym, wyrzuca przyjacielowi, że nie o wszystkim pisze otwarcie, że niezupełnie jest z nim szczerzy, uważając go raczej za sędzięgo, aniżeli przyjaciela — a tymczasem on sam nie czuje się zgoła wyższym czy lepszym od Czeczota etc. Na tle skombinowanych wrażeń: listu przyjaciela, snu o jego śmierci, rozważań nad istotą przyjaźni—powstaje „Tukaj“; oczywiście przeprowadzenie idei: „próby przyjaźni“—dokonywa się na podstawie reminiscencyi literackiej, najprawdopodobniej przemian Owidyusza, którego poeta właśnie w tym czasie studjuje i przekłada, z czem łączy się — być może — podanie o Twardowskim, krążące pomiędzy ludem.

Powstaje więc w połowie grudnia 1819 r. „Tukaj“, którego geneza jest nam obecnie całkiem jasna, choć nazwa sama pozostaje nadal niewytłómaczoną ²⁾; powstaje mianowicie część jego pierwsza, poważnym, tragicznym tonem odbijająca od drugiej, żartobliwej, która musiała powstać później, wśród zmienionych okoliczności — jak słusznie przypuszcza prof. Treściak ³⁾. Zresztą protokoły posiedzeń filomackich podają wyraźnie, że 8 czerwca 1820 r. czytano „początek ballady Tukaj.“

Drugą, w ową noc grudniową 1819 r. powstałą balladą—zapewne w pierwszym rzucie, podobnie jak „Tukaj“, którego poeta obiecuje przed wysłaniem „poprawić i podmieniać“ — jest, jak sądzę, „Świtez.“

Nie zamierzał jednak poeta zrazu posyłać tego wiersza przyjacielom, zważając, że jest on dla niego tylko zrozumiany. Upły-

¹⁾ Pietraszkiewiczówna, l. c. W tymże roku czytano również, prócz przekładu Horacego, Owidyusza i „Rękawiczki“ Schillera, tłumaczenie piątej pieśni „Dziewicy Orleańskiej.“

²⁾ tu—*χαί?* et tu Brutus? dziwaczne skojarzenie w zwrocie do Czeczota?

³⁾ L. c., I, str. 356.

nęło pół roku z górą, zanim, wiele zapewne zmieniwszy i rozszerzwszy, wysłał lub raczej osobiście zawiózł (skoro brak o tem wzmianki w listach) wiersz do Wilna; odczytano balladę prawdopodobnie 1 listopada 1820 r., jak podaje Odyniec.

Trudno dzisiaj objaśnić, co w „Świtezi“ uważał poeta za sobie jedynie zrozumiałe. W każdym razie musiał nim być moment allegoryczny, odnoszący się do stosunku poety z rodziną Wereszczaków i w tym kierunku, jak sądzę, wiersz musiał uleść największym zmianom, zanim dostał się w ręce przyjaciół. Można tutaj operować tylko mniej lub więcej prawdopodobnemi przypuszczeniami. Za najwłaściwsze wydaje mi się przypomnienie, że trzy utwory łączy pokrewny motyw ideowy: Żywileć, Świtez i Grażynę — trzy typy niewieście, w jednym kowane marmurze, choć nie z jednakowym rozmachem dłuta.

W „Żywili“, ogłoszonej 28 lutego 1819 r., do motywu naczelnego miłości ojczyzny przyłącza się miłość osobista, stanowiąca dla tamtej „próbę ognia“; w „Świtezi“, powstałej z końcem tegoż roku—jeśli zgodzimy się na to przypuszczenie—już erotyki osobistej niema—choć może była, może silniej jeszcze i wyraziściej odbijała stan sercowy poety, wzmożoną jego z wpływem czasu miłość ku Maryli. Stąd pierwszy rzut wiersza mógł być poecie tylko całkiem zrozumiały, mógł, choćby ze względu na tło wiersza, wydać mu się za zbyt osobistą rewelacją, ażeby ją można było podawać na publiczne posiedzenie Filomatów.

Dodać wreszcie należy, że istnieje pokrewieństwo tła w „Świtezi“ i pierwszej części „Tukaja“: umierającego Tukaja porywa z łoża „jakowyś starzec“ i wiedzie za sobą:

Idą... ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca,
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinnie,
Hniliicy ciemnej ostępy,
Koldyczewa nurty sinie.
Gdzie puszcza zarosła w koło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa,
Tam szli...

Na takim tle odbywa się dyalog pomiędzy starcem a Tukajem, wypełniający pierwszą część ballady.

O dalszej pracy nad „Tukajem“ czytamy w liście do Jeżowskiego z Kowna 8 kwietnia 1820 r.: „bliziućki końca *Tukaj* (dziś skończyłem).“ W tymże liście pierwsza wiadomość o lekturze Byrona (śpiewy flisaków na Wilii „przywodzą mi na pamięć śpiew korsarzów w Baironie“). 8 więc kwietnia 1820 r. skończył poeta zapewne drugą część „Tukaja.“ Podziału tego jednak na dwie części nie był jeszcze, jak się zdaje, wprowadził, skoro z końcem tegoż miesiąca donosi (do Jeżowskiego): „Ranek zajęty... niekiedy balladkami... *Tukaj* rozdzielił się na dwie (sc. ballady). Ballada pierwsza już gotowa, bardzo krótka, druga może się jeszcze znowu podzieli.“ To rozpadanie się wiersza, pisanego częściami w różnych czasach, stąd niejednolitego w tonie i charakterze, zniechęca poetę; to też w dalszym ciągu listu wyznaje: „ta ballada nie udała mi się wcale, i boję się samej przystać; mam w sukurs inną pod tyt. *Lilia*, ale tej końca brakuje.“

Mamy więc pierwszą konkretną wiadomość o czasie powstania ballady „Lilie“ ¹⁾. 8 kwietnia 1820 r. gotowy wiersz p. t. *Lilia* jednakże bez zakończenia. Sądząc ze zmiany w nagłówku „*Lilia*“ (5 w.: „Grób *lilij* zasiewa“) na „*Lilie*“ (304 w.: „Oto w wieńcu *lilije*“), urywała się w tym czasie ballada na 256 wierszu: dwaj bracia starają się o rękę „pani“—ta biegnie do pustelnika z prośbą o radę, odpycha jednak propozycję wskrzeszenia „pana.“ Starzec doradza jej iść za mąż „póki pora, nie lękać się upiora. Martwy się nie ocuci, Twarda wieczności brama, I mąż twój nie powróci, Chyba zawołasz sama.“ Poeta jednak czuje, że tu „końca brakuje.“ „Lecz jak pogodzić braci?“—zapytuje „pani“; i poeta wprowadza nowy motyw: zerwanie lilij na grobie zamordowanego. Widoczny jest tu rys, wskazujący, że zakończenie to było później dorobione.

Jest to pewnego rodzaju niekonsekwencya. Tok opowiadania, które uważam za wcześniejsze, kończą słowa pustelnika: *chyba zawołasz sama*. Jest w tych słowach jakby wskazówka, w jaki sposób ma się rozwiązać akcyę wiersza. Tymczasem w zakończeniu „pani“ wcale nie wzywa ducha wyraźnie i bezpośrednio; czynią to za nią lilie, posiane przez nią na grobie męża a wplecione do wieńców swadziebnych.

¹⁾ Dotąd jedna z kwestyj spornych: Odyniec uważa „Lilie“ za jedną z najwcześniejszych ballad Mickiewicza („Listy z podróży“ I, 357), z czem godzi się Chmielowski (w biografii). Natomiast prof. Tretiak nie chce na to przystać, przesuwając jednakże czas powstania „Lilij“ na zbyt późną datę (l. c., I, str. 369).

Nic pewnego nie umiemy powiedzieć o elegii, którą napisał Mickiewicz w kwietniu 1820 r. (do Jeżowskiego: „dla was napisałem Elegię, ale „*miserere flens*“ prawdziwie stosuje się do niej i po polsku wytłumaczy się przez *mizernie*“)—jak również o balladzie p. t. „Rozstanie,“ o której donosi w liście do Czeczota i Zana w maju 1820 r. („Balladę mam jedną gotową: *Rozstanie*“). Nie myślę, ażeby ta ostatnia mogła się odnosić — ze względu na czas, w którym była napisana — do Maryli. Raczej odnosiła się do pani Kowalskiej. Rola pani Kowalskiej w życiu i twórczości młodzieńczej Mickiewicza nie została dotąd należycie doceniona: wydana korespondencya poety przynosi pod tym względem wiele szczegółów, które co do charakteru stosunku, łączącego poetę z żoną d-ra Kowalskiego, nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Pora wreszcie odebrać owemu stosunkowi iluzję sielankowej przyjaźni ze strony poety, zaś opieki „macierzyńskiej“ ze strony pani Kowalskiej—w jaką stroiły ten stosunek wszystkie przedstawienia biografów, od wspomnień Odyńca począwszy. Idzie tu o najwyższy imperatyw w nauce: prawdę — tem bardziej, że przedstawienie tego epizodu z życia Mickiewicza w świetle właściwem odślania w jego twórczości młodzieńczej nowe rysy.

Jesienią 1819 roku przenosi się poeta z Wilna do Kowna, gdzie zawiera bliższą znajomość z domem p.p. Kowalskich. Pani domu liczyła podówczas — wedle Odyńca—lat 28. „Postać, rysy, spojrzenie, uśmiech mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tem bardziej, że sama nawet jej toaleta zdawała się naśladować raczej artystyczne draperye greckie, niż wzory modnych żurnalów. W świecie albowiem nie bywała prawie, a w domu ubierała się podług swego gustu. W ogólności sąd obcych i świata nie zdawał się mieć dla niej znaczenia; ale zatoż czuwała pilnie, aby sąd tych, o których dbała, nie w niej istotnie do zarzucenia nie znalazł.“ Taką charakterystykę podaje Odyniec. ¹⁾

Mickiewicz poznał w wakacye 1818 r. Marylę, która zawładnęła jego sercem, choć nie sędzę, ażeby to się stało „od pierwszego wejrzenia“; zmysły zaś 20-letniego młodzieńca na inną poszły służbę. I jeżeli nie można się zgodzić, że serce poety przed poznaniem panny Wereszczakówny było „swobodne jak ptak“ — nie mniej trudno również, zwłaszcza po wydaniu nieznanich listów, przyłączyć się do sądu, jakoby serce to było „czyste jak strumień, niezamącone jeszcze wzruszeniami zmysłowej rozkoszy.“ ²⁾

¹⁾ „Wspomnienia z przeszłości,“ str. 232.

²⁾ Tretiak, l. c., I, 174.

Jest to niewątpliwie jedno z ciekawszych pod względem psychologicznym przeżyć w życiu poety: uczuciowość jego niejako rozdwa się. Czysta, platoniczna, „Zanowska“ jej strona kieruje się w stronę Tuhanowicz—przyziemna, zmysłowa zostaje w Kownie. Oba prądy działają równocześnie, oba są, choć nie w równej mierze, silne. Nie znamy wstępnego przebiegu znajomości z panią Kowalską. List do Czeczota z 15 stycznia 1820 r. okazuje nam ten stosunek w fazie dość już naprzód posuniętej. Opisuje w nim poeta wycieczkę z Kowna do folwarczku Charewicza w liczniejszem towarzystwie: „Ja siedziałem z piękną Kow.“ — pisze — „i powoziłem ją przez pół drogi; prawda, żem nie wiele mówił, ale oczkiem często pod przekłety kapelusz zazierałem.“ Przybywszy na miejsce przygotowano herbatę; poeta „dla niedostatku szklanek pił z jednej z Kow. filiżanki“ i czuł się „w humorze prawdziwie romansowym.“ „Powróciłem o 1/27“ — pisze dalej. — „P.p. Kow(alscy) prosili na wieczerzę; nie poszedłem, bo (mam na jutro pisanie)“ Jednakże w miejscu słów, ujętych w nawias, były w autografie inne, mocno zamazane, pozwalające odczytać luźne wyrazy: *nie z tej przyczyny i boję się długiego działania... przyczyny, aby Zańskich...* Nie trudno tutaj domyśleć się treści przekreślonego miejsca: poeta broni się jeszcze, chce zapanować nad rozigranymi zmysłami, uchyla się od zaproszenia, by nie przekroczyć Zańskich teoryj o miłości — „promionkowej.“ Niedługo zapewne musiał trwać ten opór: z nachylonej czary wypito jednym haustem napój rozkoszy i rychło okazały się — męty. Być może, że już w maju tegoż roku odczuł poeta fałszywe położenie, kiedy pisał niedochowaną balladę „Rozstanie.“ Wybrał się był wtedy do ulubionej doliny Kowieńskiej, nie wiemy, czy sam, czy w towarzystwie; wiemy jednak, że kiedyindziej spotykał się tam z uroczą Cyrce i że spotkania te kończyły się „melancholicznie“ (list do Czeczota z końca maja 1821 roku). W każdym razie musiała szybko obudzić się refleksya, że w stosunku do Maryli popełnia wiarołomstwo, nie zrywając z Kowalską. Ten motyw wiarołomstwa, przeżywany w życiu, znajduje, mojem zdaniem, odbicie w poezyi: w „Rybce,“ być może w tym czasie napisanej (w tymże liście czytamy: „wlażem w ballady“) — a przedewszystkiem w „Świteziance“ pisanej, jak wiadomo, 12 sierpnia 1821 r. w Płużynach, która to ballada dopiero na tle stosunku poety do Maryli i pani Kowalskiej tłómaczy się jasno.

Stosunek z Kowalską musiał ciążyć poecie coraz więcej w miarę, jak rosło uczucie ku Maryli. W liście z Miłaszewa 2 sierpnia 1820 r. donosi poeta Czeczotowi, że czas spędza „bawiąc się a na-

wet kochając się po Zanowsku,“ czem określa zgoła różny charakter uczucia ku Maryli. W wakacye te tworzy wiele. „Co większa“ — pisze w tymże liście — „iż teraz pracuję nad poezją ważniejszą. Pewnie nad *Demostenesem* powiesz? Bynajmniej; to nad *Kartoflą*? nie zgadłeś! nad czemże? oto nad sonecieczkami, piosneczkami i triolecieczkami, różnego nazwiska *ami*, a za to wszystko odbieram zapłatę lepszą, niż ty od twojej Antosi.“ Określenie „poezya ważniejsza“ trudno odnieść do „sonecieczków, piosneczek i triolecieczków,“ co do których zresztą bawienie się w domyśle, któreby z dochowanych wierszy drobnych oznaczały, byłoby zbyt ryzykowne. Określenie to raczejby zastosować do pracy nad owemi „różnego nazwiska *ami*“; nie bez prawdopodobieństwa można by odnieść to do pracy nad „*Warcab-ami*,“ jakkolwiek pierwsze ślady pomysłu tego poematu sięgają daty wcześniejszej, mianowicie drugiej połowy maja tegoż roku. Mianowicie w liście do Zana z tego czasu proponuje założenie towarzystwa pod nazwą „Świat i miłość“: „w „miłości“ (drugiej części Tow.) będzie nauka i maxymy o grach... Wszystko będzie oparte na teoryi. I tak: *warcaby etc., że między dwiema osobami, zwłaszcza płci różnej, leżą jak między miodem i wodą w promionkach. (Bo miodem jest granie w oczach miłości i przyjaźni, rozmowa, uściśnienie etc...)*“ Jakby poetycką ilustracją słów tych są wiersze:

Alé warcabę czułe ulubiły serca

.....

Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek,

Przyjaciel z przyjacielem, z kochanką kochanek.

W każdym razie zakończenie wiersza, różne tonem, musiało powstać później, po ostatecznem rozwianiu wszelkich nadziei.

Nastąpiło to pod koniec wakacyj 1820 r., kiedy Maryla zdecydowała się poślubić Puttkamera. Od tej chwili zmienia się ton listów. List z końca września tegoż roku do Jeżowskiego jest tej zmiany najlepszem odbiciem. „Nie wiesz“ — czytamy — „jak życie drogo kosztuje! rodzić się trzeba w bólu, umierać także smutno... Ideały, mój Jeżu! Sny i dymy, a po nich czczość! Takie prawo natury: po każdej rozkoszy musi być niesmak. Pochodzi on stąd, że ze stanu słodkiego trudno razem przyjść do zwyczajnego, aby nie uczuć przykrości... Przechodząc od ideałów do czczości, cóż tam będzie? gorzej, niż piekło... Napiszę później list do Wereszczaków... Jest to naturalny koniec listu mojego.“

Wobec takiej depresji osłabła i twórczość. „Moje prace literackie ustały”—pisze do Pietraszkiewicza 1 listopada 1820 r.— „oprócz kilku drobnutkich szpargalików nic niema.“

Jednak po przeminięciu pierwszego wrażenia czuje się poeta spokojniejszy; z końcem listopada tegoż roku pisze Jeżowskiemu, że czuje się „nieskończenie zdrowszy — mniej pracy, ostrożność, a może i stan umysłu wiele się do tego przyłożył“ — „miłość własna, sięgająca wysoko i stąd drażniąca, potłumioną trochę została niepodobieństwem nadziei.“ „...Teraz jestem bardzo fizycznym: znak przywiązania oddaję za znak przywiązania, ale bardzo spokojnie, i wdzięki tylko mię głaszczą, bynajmniej do serca nie dochodzą. Z rozmowy romansowej powracam i śpię spokojnie. ...Jest to tylko zabawa.“ „...myślałem, że pracą literacką zwrócę na siebie bacność; ale to jeśli się uda (wątpię), będzie trudno. Bo mi coraz trudniej. Żadnych zachęceń!... Jestem mieszaniną. Mogę skakać daleko, ale krokiem nierównym i tam, gdzie okoliczności popędzają. Zostawiony sam sobie bardzo jestem mały.“ „...nic zrobić nie mogę, oprócz małych szpargałów (odki, sielanki!), którem posłał do Wilna.“ W zakończeniu listu radzi Pietraszkiewiczowi wybrać się do Wereszczaków. „Ale weź z sobą lorynetkę”—pisze— „jaką masz najlepszą, i bądź ścisłym obserwatorem *qua* filozof moralny i Kunstrichter. A potem napisz do mnie o każdym przedmiocie. Niegodziwy, zapomniałeś rysowania! Jeślibyś umiał zdjąć rys!“ Ostatnie słowa przywodzą na myśl wiersz „Do Malarza“, który jednak mógł powstać najwcześniej w drugiej połowie 1821 roku. ¹⁾

Tymczasem dochodzi poetę długo ukrywana wiadomość o śmierci matki.

„Dowiaduję się o śmierci mojej matki—pisze do Pietraszkiewicza 6 grudnia 1820 r.— Wypadek ten nie mało ma wpływu na moje przyszłe życie. Matka było to moje i udręczenie największe, i cała osłoda, cała pociecha! Nie mogłem jej nic pomódz, alem się nadzieją cieszył, że kiedyś może pomyślny los mój i jej będzie ulgą, będzie szczęściem. Sny te uleciały z dymem! Zostałem jeden. Nic mię już tak bardzo nie wiąże. Braciom cokolwiek pomocy, zresztą sam jeden.“

Smutną wiadomość przyjmuje poeta stosunkowo spokojnie i z rezygnacją; w tymże liście wspomina o projekcie wydania

¹⁾ „Dzieła Ad. Mickiewicza“, 1, str. 289. Obok nagłówka znajduje się przekreślony wyraz, rozpoczynający się dużą literą K.; mogłoby to być: *Kunstrichtera*.

zbiorowej księgi poezyj „moich, Zańskich i Jana (Czeczota)“ p. t. „Heba,“ a zarazem poraz pierwszy objawia zamiar publikacji własnych utworów na wypadek, gdyby tamten projekt nie przyszedł do skutku. Obumarły jakby pod wpływem zawodu miłośnego popęd twórczy budzi się do nowego, pełnego i wspaniałego życia, egotyczna troska ustępuje miejsca filomackiej idei: w połowie grudnia 1820 r. spieszy do Malewskiego list, a w nim — „Oda do młodości.“ Nagromadzone w tece utwory czas wydać — trzeba je jednak poprzedzić poetycką przemową, w którejby wyraźnie i energicznie zaznaczono hasło, pod którym pierwszy tomik poezyi w świat ma być puszczony: i w miesiąc później, w połowie stycznia 1821 r., pod wezwaniem „czarnolaskiego słowika,“ „ale wždy pieśni moje mnie nie opuszczajcie!“ — imaginacja „rozkołysana odrecytowaniem ukochanego Szyllera“ wydaje „Romantyczność.“

Poeta doskonale rozumie proklamacyjny charakter wiersza, który wysyła w dwóch odpisach: w liście do Jeżowskiego, oraz w liście wspólnym do Zana i Jeżowskiego (z Kowna, w styczniu 1821 r.). Do wiersza „Duchy karczemney tworzą gawiedzi“ dodaje notkę: ob. Rozpr. w *Dzien. wileń.* (t. j. Śniadeckiego „O pismach klasycznych i romantycznych,“ *Dzien. wileń.*, styczeń 1819 r.).

„Romantyczność“ ma być wyzwaniem na ostre obozu, na którego czele stoi w Wilnie Jan Śniadecki, rzecz bądź co bądź krępująca dla niedawnego studenta uniwersytetu i kandydata do stopnia magistra, więc też oba teksty w autografie podpisane: A. Poray.

Poecie chodzi o jak najdobitniejsze sformułowanie idei wiersza; widać to w licznych kreśleniach, odmiankach słów i dłuższych wariantach tekstu pierwszego, bo tekst drugi jest odpisem „na czysto,“ choć wcale nie identycznym z ostateczną redakcją. Ta idea naczelna skupia się w odpowiedzi starcowi, w dwóch więc ostatnich zwrotkach: i tutaj też wiersz ulegał licznym, rzeczowym zmianom. Natomiast zmiany tekstu, poprzedzającego to zakończenie, są drobne i formalne. Co dziwniejsza, zmiany te zachodzą pomiędzy tekstem drugim a redakcją ostateczną, która jest niemal równobrzmiącą z pierwszym, kreślonym i opatrzonym wariantami, rękopisem. Możnaaby stąd wnosić, że chronologicznie pierwszą redakcją „Romantyczności“ zawiera tekst w liście wspólnym — autograf zaś w liście do Jeżowskiego stanowi następną, przejściową fazę tworzenia, w którą wprowadzono już drobne zmiany w opowiadaniu o dziewczynie obłąkanej, a gruntownym rozrząsaniem poddano obie zwrotki końcowe.

Zestawiamy poniżej odmianki tekstu w 13-tu pierwszych strofach:

	Brzmienie ostateczne:	Tekst pierwotny:
w. 8—9	To jak martwa opoka Nie zwróci w stronę oka	<i>Stoi zbladła jak trup Oczy przewraca w słup</i>
„ 15	Ach! i po śmierci kocha	<i>Jasio mnie jeszcze kocha</i>
„ 19	Już	<i>Wszak</i>
„ 22	Ach to on!	<i>Ach to ty!</i>
„ 24	I sam ty	<i>I ty sam</i>
„ 36	To może	<i>Może to</i>
„ 37	Nie, nie	<i>Ach nie</i>
„ 39	Jeszcze nie, jeszcze nie	<i>Jeszcze nie (bez powtórzenia)</i>
„ 41	Zorza błyska	<i>Zorze błyska</i>
„ 42	Gdzie znikłeś! ach! stój	<i>Jeszcze słowko, ach</i>
„ 44	dziewczyzna	<i>dzieweczka</i>
„ 46	na krzyk	<i>na głos</i>
„ 47	Skupia się	<i>Kupi się</i>
„ 50	Karusi	<i>Elżusi (w obu autografach)</i>
„ 54	Krzyknie	<i>Krzyczy</i>
„ 59	wywarzone	<i>wyczwarzone (?)</i>
„ 60	duby smalone	<i>duby smolane (w obu autografach)</i>
„ 61	A gmin rozumowi	<i>rozumowi, prawdzi.</i>

Jako ciekawszą odmiankę podkreślić trzeba zmianę pierwotnego, w obu autografach istniejącego, imienia dziewczyny: *Elżusia* na *Karusia*, co jednak nie stoi w żadnym związku z Karylą, gdyż utwór pod tem imieniem, jak to dziś stanowczo stwierdzić można, nie jest utworem Mickiewicza. Równie ważniejszą jest odmiana w 61 w.: pierwotnie zarzut starca „błuźnienie rozumowi“ odnosił się jedynie do obłąkanej dziewczyny, potem rozszerzył go poeta na cały „gmin,“ a skutkiem tego i obrona przed zarzutem musiała i „gmin“ objąć.

Istotnie, jeden z wariantów zwrotki przedostatniej, która najliczniejszym zmianom podlegała, broni przed zarzutem starca tylko dziewczynę:

Dziewczyzna czuje, o mądrości synu!
Rzekłem, westchnąwszy głęboko.
Ty iey kochanka nie szukay wśród gminu,
Na kochankę obróć oko.

W ten sposób poeta przeciwstawił mądrości—czucie, zaś kochanka szukać kazał nie fizycznym spojrzeniem, lecz okiem duszy—czyli to samo wyraził, co pod koniec silniej i dobitniej jako

najwალniejszy atut we wszystkich redakcyach się ostało: „Miej serce i patrzaj w serce. Chodziło o jak najsilniejsze podkreślenie przeciwieństwa, które wyklucza porozumienie, bo kął widzenia jest zgoła różny. Zjawisko, jakie przedstawia obłąkanie dziewczyny na tle erotycznym, należy zrozumieć przez odczucie—nie można go zaś zrozumieć przez szkło rozumu. O jak najdobitniejsze uchwycenie tego kontrastu starają się wszystkie warianty. Więc inna strofa brzmi:

Dziewczyna czuje, ty nauczasz (uczysz) dumnie
Rzekłem, westchnąwszy głęboko,
A wiara gminna wiecey znaczy u mnie,
Niżli (twoje) mędra szkło i oko.

Jednakże trudno czynić z obłąkanej dziewczyny rzeczniczki przeciwnej starca idei—odgrywa ona tutaj raczej rolę bierną, „duby smolane bredzi“—wedle starca, lecz czuje i kocha—wedle „gminu.“ To też zarzut starca kieruje się przeciw tej „karczemnej gawiedzi,“ a i obrona musi oddzielić obłąkanie dziewczyny od „wiary gminnej.“ Więc jeden z wariantów podkreśla obojętność starca wobec nieszczęścia dziewczyny, zaś szczere współczucie tłumy:

Łzy ludu więcej mają wiary u mnie,
Niżli mędra szkło i oko.

Ten tłum ma serce, którego nie wyziębiła cywilizacya, ten tłum to „natury dzieci.“ Więc też pod wyraźnym wpływem reminiscencyi nauk twórcy „Emila“ powstaje wariant:

Tyś syn mądrości, my *natury dzieci*—
Rzekłem, westchnąwszy głęboko,
Tobie jest ciemno, to co nam świeci,
U ciebie szkło, u nas oko.

Pomiędzy „gminem“ a dziewczyną istnieje związek serca, którego nie pojmie „syn mądrości,“ więc też gmin i dziewczyna rozumiają się nawzajem:

Dziewczyna kocha; ty mądrości synu
Napróžno patrzysz w tej gminie:
Dziewczyna tylko widzi pośród gminu,
Gmin tylko widzi w dziewczynie.

Zarysowuje się wyraźny związek, a zarazem rozdział problemu: „dziewczyna czuje,“ zaś „gawiedź wierzy,“ więc też po

tych wszystkich zmianach i przekształceniach myśli, wyłania się i utrzymuje ostatecznie:

„Dziewczyna *czuje* — odpowiadam skromnie,
A gawiedź *wierzy* głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca *szkiełko i oko*.

Trzy wiersze ostatniej zwrotki (ostatni powtarza się wszędzie), ulegały raczej zmianom formalnym, aniżeli rzeczowym. Rzecz bowiem rozstrzygała przedostatnia strofa—końcowa stanowi jedynie uzupełnienie tamtej.

Jednakże i w tych formalnych odmianach widać, że chodziło o podniesienie nacisku. Co uzyskać można przez *czucie i wiarę*—do czego zaś posłuży skutecznie *szkiełko i oko*? Więc naprzód przeciwstawienie najłagodniejsze, jakby koncesywne:

Gdy martwą prawdą chcesz objaśniać ludy,
Miey szkło, patrz w ziemi, w każdej gwiazd iskerce,
Lecz gdy chcesz widzieć upiory i cudy:
Miej serce i patrzaj w serce.

lub podobnie:

Na martwe prawdy, nieznane dla ludu,
Miey szkło...

Następnie znacznie silniej, z akcentem wykluczającym, w wariantcie, ręką Czeczota napisanym:

Kto martwą prawdę, nieznaną dla ludu,
Dostrzega w proszku, w każdej gwiazd iskerce;
Często nie widzi upiora i cudu.
Miej serce i patrzaj w serce.

A wreszcie najsilniej, z dobitnem przeciwstawieniem „martwej prawdzie“ „prawdy żywej,“ w redakcyi ostatecznej:

Martwe znasz *prawdy*, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskerce,
Nie znasz *prawd żywych*, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

Poeta, jak sam wyznaje, stworzył „Romantyczność,“ rozgrzany „odrecytowaniem *Szyllera*“; przed pół rokiem napisał twórca „Toastów,“ że Schiller jest jego „jedyną i najmiłą lekturą.“ Trudno jednak wskazać, który z wierszy autora „Ideałów“ stał

się bezpośrednią podniętą do napisania „Romantyczności.“ Można by wskazać kilka utworów Schillera o wyraźnym pokrewieństwie idei. Np. wierszyk p. t. „An die Astronomen“:

Schwazet mir nicht so viel von Nebelflecken und Sonnen!
Ist die Natur nur gross, weil sie zu zählen euch gibt?
 Euer Gegenstand ist der erhabenste freilich im Raume;
 Aber, Freunde, im Raum wohnt das Erhabene nicht.

Podobnie: „Der Genius,“ „Genialität,“ „Die Forscher,“ „Menschliches Wissen,“ „An die Mystiker,“ wszystko w tomie I. Säkular-Ausgabe (Stuttgart u. Berlin).

Posyłając wiersz przyjaciołom, dodaje poeta komentarz; zwracając się do Zana, pisze: „Od czasów Mieszka podobnoś nic mego nie czytał; posyłam tobie ten urywek; wiele on zależeć będzie na deklamacyi. Zdaje się, że ty najwłaściwiej wydać ją potrafisz. Od tego wiersza *Tyżes to w nocy* aż do końca mowy deklamuj tonem drzemiącym, jako owo prorocstwo u Jeża. Napisz także krytykę i spytaj się, co inni o tem myśleli. Tę krytykę i myśli i sam wierszyk przyszliz mnie.“

Uważa więc poeta „Romantyczność“ za wydarzenie niezwykle ważne w swojej działalności literackiej—rozumie, czem stanie się wiersz ten po ogłoszeniu. Lecz oprócz literackiej rewolucyi, jaką sprawić musi, jest w nim wszakże i osobisty wyraz uczuć poety właśnie od owych słów *Tyżes to w nocy*, które poleca deklamować *tonem drzemiącym*. Nie sądzę bowiem, ażeby roznowa dziewczyny z upiorem miała dla poety osobiście jedynie znaczenie akcesoryjne. Jest to wszakże idea „Dziadów“ w komórce załążkowej, idea, która wypływa z najgłębszej rany serdecznej, a która pod koniec splata się z ogólniejszą sprawą. A ta odpowiedź starcowi jest nie tylko proklamacją nowego prądu w literaturze, lecz wogóle obroną serca przed trzeźwym rozumem, który porywów tego serca uznać nie chce. Jest więc i w tej odpowiedzi moment osobisty, wyrażający się w obronie własnych uniesień i zapałów miłosnych przed trzeźwością, z którą tak często szyderstwo idzie w parze, kiedy potępicz wypadnie zbyt „werterowskie“ kochanie, a w tym wypadku odpowiedź kieruje się nie tylko przeciw Śniadeckiemu, lecz przeciw wszystkim, którzy Gustawowych porywów pojąć nie są w stanie; a wszakże i w gronie Filomatów nie brakło takich, choćby wymienić właśnie Zana, surowo oceniającego zbyt wyłączone oddanie się własnym uczuciom.

Mimo bowiem pozornego uspokojenia, nie przestaje poety nękać miłosna udręka. *W końcu maja 1821 r. posyła Czeczotowi*

„*Kurhanek Maryli*“ (w liście). Pomiędzy obu wierszami, „*Kurhankiem*“ i „*Romantycznością*“, jest — poza zbliżeniem formalnem (8-zgłoskowe wiersze)—i widoczne ideowe pokrewieństwo. W „*Kurhanku*“ następuje tylko zmiana ról: tenże sam Jasio zastępuje dziewczynę obłąkaną z „*Romantyczności*“, kiedy, na pół przytomnie, rozmawia z uśpioną na wieki w mogile kochanką. Jest tu jeszcze jedno wspomnienie osobiste, które obecnie objaśnić możemy—mianowicie we wierszach:

Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty,
Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty,
Niemasz, niemasz Maryli!
Swaty nie namówili.
Nie mogę—nie—nie mogę.

Wiersze te odnoszą się do wspomnienia z przed roku. W maju 1820 r. pisze Mickiewicz do Czeczota i Zana: „Poznałem pannę W. dwa dni temu; ma lat około 18, ale zdaje się mniej, nieszpეტna, roztropna, mówi po francusku i niemiecku, gra i śpiewa nieosobliwie — *i posagu 20,000.*“ („Daje mi ojciec chaty, daje mi sprzęt bogaty.“) „*Już swatają mnie seryo.*“ („Namawiali mię swaty.“)

Równocześnie w liście, z którego dowiadujemy się o ukończeniu „*Kurhanka Maryli*“, opisuje poeta scenę, jaka zaszła pomiędzy nim a panią Kowalską w dolinie Kowieńskiej: „Byłem w dolinie wczora (wtorek) o godzinie drugiej w wielki upał z damą, która potem nadeszła, zostawiwszy drążki na gościńcu. Nie wiele dostawało do zwaryowania, a częste przechodzenie chłopów, wycimających chróst, może tylko obroniło od pokus nieestetycznych. List twój czytano. Ale na końcu trochę mnie i nie trochę zmieszało bardzo mocno i nieco straszne z drugiej strony oświadczenie, że bez naszego widywania się obejść się nie można będzie, i że ja temu winien, że tak przyzwyczaiał; uczyniono pytanie względem wakacyi i scena zakończyła się melancholicznie. Bredulionowi zabroniono formalnie bywania; wyzywał mię znowu, odpowiedziałem, że teraz jużbym się wstydział, kiedy raz na niczem się skończyło. Wszakże, dla uniknienia hałasów, wyprosiłem mu znowu wstęp, za co jest mnie bardzo wdzięczny.“ Słowa te odnoszą się do zajścia z Nartowskim na Wielkanoc 1821 r., opisanego szczegółowo w liście Czeczota do Pietraszkiewicza z 25 kwietnia 1821 r. Odbiciem poetyckiem tego zajścia ma być „*Zeglarz*“, napisany 17 kwietnia 1821 r.

Zbliżających się wakacyj oczekiwał poeta po raz pierwszy bez upragnienia; mimowoli nasuwało się przypomnienie letnich miesięcy roku ubiegłego, spędzonych u boku Maryli, dziś już pani Wawrzyńcowej. „Czekajmy zatem wakacyi — pisze do Czeczota pod koniec maja. — Nigdy tak jej obojętnie nie czekałem, myślę nawet rzadko o wakacyi i bardzo krótko.“

Kwestya wakacyjna, z którą wiązał się odjazd z Kowna, była sprawą drażliwą, jak widać, wobec pani Kowalskiej; stosunki z nią coraz bardziej się zacieśniały, być może właśnie skutkiem zerwania z Marylą, które uwalniało, przynajmniej pozornie, od zbytich skrupułów. Inaczej jednakże zapatrywali się na to przyjaciele; ci wyjątkowi młodzi ludzie nie uznawali żadnych z moralnością kompromisów i nie omieszkali dać tego do zrozumienia Mickiewiczowi.

Poeta tłumaczy się, choć w głębi ducha czuje fałszywość swojej pozycyi; radby przestać widywania się, lecz ma za mało energii na radykalne rozcięcie węzła. „Gdzie mam jechać? Co zrobić? o czem myśleć? — pyta rozpaczliwie Pietraszkiewicza w liście z końca czerwca tegoż roku. — Nie zrzucaj mi wszeteczeństwo... teraz, teraz niestety, wyobraź, jeśli możesz, bóstwo z igrającem na barkach włosom, wśród białych muślinów, na wspianiem łożu, w pięknym pokoju. Na to bóstwo codziennie patrzę, już estetyka uleciała. Na hańbę moję słucham lekcyj promienistych z ust cudzych. Jeszcze słucham, ale i to zapewne nie długo potrwa.“

Walka była nierówna, ogromnie podobna do tej walki, jaką miał przebyć poeta w czasie pobytu w Odesie: z jednej strony doświadczona, starsza o lat ośm mężatka, z drugiej młodzieniec, niezahartowany życiem, nieodporny na czar muślinów i rozwianego włosom, z zawiedzioną miłością „platonyczną“, ufający każdemu słowu i miłosnemu zakłęciu. Ratunku więc upatruje w zbliżających się wakacyach, które go wyrwą na jakiś czas z objęć święteżianki, pozwolą odetchnąć czystsza atmosferą, aniżeli ta, w której tkwił w Kownie. „Chwała Bogu, że Ś-ty Piotr tuż“ — pisze z ulgą w tymże liście.

Istotnie, wakacye przyniosły zmianę wrażeń. Wybrał się naprzód poeta do Wilna, stąd zaś do Nowogródka, gdzie odwiedził opustoszały dom rodzicielski. Wrażenie, jakiego doznał, odbite z taką siłą w IV cz. „Dziadów“, opisuje w liście do Czeczota (z Nowogródka w lipcu 1821 r.): „Przebyłem drogę nudnie, zajechałem do cudzego domu; pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było w koło mnie; oficynkę, w której mieszkaliśmy, znalazłem otwartą,

ale ciemną. Postaw się w mojem miejscu. Nikt mnie nie spotkał, nie słyszałem owego: *Adam, Adam!* Tak mnie żal ścisnął, że długo nie mogłem odetchnąć. Chodziłem po wszystkich kątach, odemknąłem drzwi spiżarni, wtem z góry schodzi nasza stara służąca, którą po ciemnie ledwie poznałem i tak trudna do poznania: wybladła i nosząca znaki długiej nędzy. Po wrzasku zobopólnego poznania się, płakaliśmy razem. Biedna ta służka u nas strawiła wiek, teraz bez sposobu do życia; mieszkała długo w tym domku, żyjąc z pracy; teraz jeszcze błąka się po pustkach... Uciekłem do Ruty, tu ani dnia wytrzymać; w Nowogrodku był przynajmniej nasz dawny dziedziniec do szpacyeru i bliskie mogiłki. Widziałem się z kobitami, z ową Johasią, niegdyś dosyć lubianą, lubo pospolitą istotą; postrzegłem ze smutkiem, że wszystkie obudzają wstręt we mnie i że już o kobitach dla mnie nie myśleć, a zwłaszcza tak blisko Tuhanowicz. . . O miłą tylko! chodząc na szpacyer pytałem o każdą drożkę do M(aryli) i w tę stronę choć popatrzeć!... Z Ruty jadę do Tuhanowicz; w bramie samej spotkałem karytę i zaraz poznałem, a raczej uczułem, że tam była M. Nie wiem, co się ze mną działo. Mijaliśmy się; mignęło coś w bieli. Nie śmiałem odezwać się, nie wiem zgoła, jak zajechałem, dowiaduję się, że się spotykał z M., o czem w duszy wiedziałem. Dom mieszkalny tu inny, dawny przestawują, nie mogłem poznać, gdzie był kominek, gdzie stało fortepiano. Jest optymizm w tym świecie. Gdybym ją w tych miejscach widział, o tem strach pomyśleć!“

Pozwoliłem sobie przytoczyć ten przydługi ustęp, gdyż w całości, coprawda rozszerzony i ubarwiony, znalazł się w IV części „Dziadów.“

Wrażenie rodzicielskiego domu i wrażenie dworu w Tuhanowiczach, w którym już nie zastał poeta—na szczęście — poślubionej komu innemu Maryli, rozdzieliło się w poemacie na dwa ustępy: pierwszy to wiersze 772—816, drugi, wiersze 806—888.

Pierwszy ustęp jest dosłownem niemal powtórzeniem słów listu: pustka i zniszczenie, przykrość, że nikt nie wita i nie woła po imieniu („Gustaw! Gustaw!“), epizod ze starą służką—wszystko, co przeszło w życiu, odżyło w poezyi, z dodaniem wierszy o starym psie-przyjacielu, który utworzył „pendant“ do jedynej, mieszkanki domu, starej służki. Odżyło to wszystko z taką dokładnością i plastyką, że ustęp ten powstać musiał, kiedy wrażenie trwało jeszcze w całej świeżości, stosownie zresztą do wyraźnego określenia poety: „*Niedawno odwiedzałem dom nieboszki matki.*“

Drugi ustęp uległ w poemacie znacznym odmianom i rozszerzeniu. Pozostał z listu moment spotkania, nie w bramie jednak, tylko u wejścia do altany; pozatem jest to spotkanie w poemacie tylko złudzeniem, które rzeczywistość rychło rozprasza. Ostatnie słowa listu: „gdybym ją w tych miejscaach widział, o tem strach pomyśleć“ — znajdują pełne uwzględnienie w poemacie. Straszliwe dla zranionego serca kochanka wyobrażenie uroczystości weselnych, łączących ukochaną z innym — znajdują silny wyraz w opowiadaniu Gustawa (920—37).

Rodzą się więc te ustępy IV cz. „Dziadów“ w wakacye 1821 roku; rodzi się ta część poematu pod wpływem bezpośredniego zetknięcia się z miejscami, pełnemi wspomnień i pamiątek, z raniącym głęboko wspomnieniem chwil błogich, które już bezpowrotnie należą do przeszłości. Niemal z pewnością wskazać dziś możemy miejsce, na którym się ta bolesna restytucya wspomnień odbywa. Oto co pisze dalej w tymże liście poeta: „Tuhanowicze mają zawsze wiele rajów, Michał (sc. Wereszczaka) świątły, czytany, najzagorzalszy romantyk. Unosi się nad wiekami rycerskimi, wrywany sobie z ust słowa... *lada dzień mamy według projektu Michała pojechać w puszcę nad Świteź do małego folwarczku na dni kilka; będziemy jeździć po lesie i dumać...* Ale to w porównaniu do przeszłego roku jest jak nasz pusty dziedziniec, tak wiele ubyło! *Muszę raz jeszcze widzieć i więcej nigdy nie będę w tych stronach.*“

Tam, „w małym domu,“ w którym Gustaw był, jak wyrażnie mówi, przed trzema laty („O tak, tak, byłem tutaj... o dawno! za młodu! Przed śmiercią!... *będzie trzy lata!*“), kiedy tworzył opowieść o „Świtezi“ (1819 r.), wśród jakże jednak odmiennych warunków! — tam, na leśniczówce, przy wtórze szumu stuletnich drzew, powstaje silna pieśń „pustelnika“ o miłości, która mocna jest, jako śmierć, bo zabija ducha, bo czyni człowieka „umarłym dla świata.“

A obok tego tam, nad Świtezią, powstaje 12 sierpnia „Świtezianka,“ która jest jakby allegorycznym obrachunkiem sumienia z samym sobą. Czy godzien był Gustaw związku z „niebianką,“ czy wolno mu wyrzucać jej niestałość uczucia, jemu, który sam nie był czysty i godny takiego związku, bo wszak sam dał się uwieść zmysłowym ponętom kowieńskiej Świtezianki? Więc słuszna to kara, że tamta, „anielska dziewica,“ nie oddała Gustawowi obok serca i dziewiczej kraszy swojego ciała, skazując go na śmierć, na zatracenie w chłodnych nurtach leśnego jeziora.

Tak wyobrażam sobie genezę i pokrewieństwo idei IV części „Dziadów“ i „Świtezianki.“ Co więcej—genezę całego poematu o nieszczęśliwej miłości byłbym skłonny odnieść dopiero do drugiej połowy 1821 roku. Wiemy, że poeta poznał „Wertera“, „Walerię“ i „Fausta“ dopiero późną jesienią 1820 (list do Jeżowskiego, październik, 1820), o śmierci matki dowiedział się dopiero w grudniu tegoż roku, „Romantyczność“, której echo słyhać wyraźnie we fragmentach I części „Dziadów“, napisał w styczniu 1821, zaś „Kurhanek“, śpiewany przez Gustawa w części IV, dopiero w końcu maja tegoż roku. Przedewszystkiem zaś dyspozycja wewnętrzna poety w Kownie była jaknajbardziej sprzeczną szczerym wybuchom zawiedzionej miłości skutkiem stosunku z panią Kowalską. Stosunek ten rozpraszał i obniżał polot myśli, „zniżał lot“ twórczy, krępował wybuchy szczerzego uczucia w stronę tej, która mimo poślubienia innego—pozostała czysta i wierna. Wakacje 1821 r., odnowa wrażeń, jaką przynoszą, sprowadza wybuch lawy, okrytej popiołem zmysłowych oszołomień. Więc myślę, że jeżeli przed temi wakacjami co powstało, to chyba kilka nieznaczących szkiców, „kilka szpargalików“, wcielonych do „widowiska“ pierwszej części.

Sądzę natomiast, że inne części są w całym tego słowa znaczeniu „wileńskie“, t. j., że powstały w Wilnie 1821 — 2, w czasie urlopu poety: część IV w pierwszych szkicach nad Świteznią w miesiącach letnich—część II później, być może pod wrażeniem grobu matki, który poeta niewątpliwie musiał odwiedzić w pierwsze święto zmarłych, nasuwające reminiscencye „niegdyś“ widzianej uroczystości „Dziadów.“ Nie zdaje mi się, ażeby w pierwotnym pomysle obie te części miały stanowić jedną całość: myślę, że jest to rzecz późniejszych przetworzeń, które, wraz z rozciągnięciem nazwy drugiej części na cały poemat, wprowadziły również konieczne pomiędzy poszczególnymi częściami spojenia. Trudno dziś stwierdzić, czy samo przypuszczenie jest słuszne, a w tym wypadku, jak ten proces rozrastania pomysłu się rozwijał: z pierwszej części mamy tylko fragmenty, czy pierwotna część trzecia była napisana — wogóle nie wiemy. A i w korespondencji wydanej jest niepowetowana luka, spowodowana urlopem poety, pomiędzy 13 września 1821, a 15 sierpnia 1822 r. Ostatni list przed urlopem pisany jest z Kowna, dokąd poeta „może dla obaczenia się jeszcze raz z Ko(walską)“ wyjechał i „sam jeden, naprzeciw jej okien“ zamieszkał. Poeta wtrąca słowa z wiersza „Do przyjaciół“, poprzedzającego „To lubię“ („wiatr tylko szuni po murach klasztoru“). Wiersz ten pochodzi więc z 27 grudnia

(taka data widnieje w wydaniu petersburskiem 1829) 1820 r., jak to słusznie prof. Tretiak przypuszcza.¹⁾ Poeta charakteryzuje w tymże liście stan swojej duszy, pisząc: „Spokojny dosyć, ale nudny, za największe mam szczęście ciągać się po drogach i drzemać, albo w stanie osłupienia słuchać turkotu kałamaszki”—i dodaje to znamienne, jakby w dalekiem przeczuciu Konradowego odrodzenia uczynione wyznanie: „*może mi Bóg pozwoli jakkolwiek wynagrodzić te niepotrzebne w życiu moralnem parentezy. Tymczasem żyjmy, jak można.*“

Poeta powraca do Wilna; tu „żyje prawdziwie po literacku, dyszy tylko rymami i karmi się“ (znany list do Malewskiego, prawdopodobnie z końca 1822 roku). Po „germanomanii“ następuje „brytanomania“, której początki, z drugiej coprawda ręki, odnaleźliśmy już w czasach studyów uniwersyteckich. Odbywa się lektura Szekspira i Byrona, powstaje myśl przekładu „Giaura“ i „nowe Dziady“—jak myślę część druga, w przeciwieństwie do fragmentów części pierwszej (do Malewskiego, tamże). Tem dotkliwszą też jest luka w korespondencji, że przypada na czas niezwykle wyteżonej czynności twórczej, na czas, w którym „bania poezyi“ rozbija się nad głową poety.

Powrót do Kowna, do niemiłych obowiązków i stosunków, tych ostatnich tem przykrzejszych po uczynionej „spowiedzi“ Gustawa—powrót ten oddziałał ujemnie na twórczość. W liście do Zana z września 1822 r. wyznaje poeta: „co mi niegdyś tutejszy pobyt osładzało, a co przy *zmienionem położeniu mojem* tylko mnie sinuci, a często przeraża.“ Zdaje mi się, że w tej wyraźnej aluzji do pani Kowalskiej jest mowa o moralnej zmianie położenia — bo wszakże w fizycznym stanie twórcy „Dziadów“ nie zaszła żadna odmiana po objęciu z powrotem obowiązków nauczycielskich w Kownie. Poeta, po napisaniu „Dziadów“, zdobył się nareszcie na surową samokrytykę stosunku swojego do Świtezianki kowieńskiej — i donosi o tem *Arcypromienistemu*, który najbardziej mógł tej przemianie przyklasnąć.

A jednak, mimo tej wewnętrznej *katarsis* — dusza poety w owym czasie przedstawia smutny obraz wypalonego ogniska. Bo też strawił ją ogień „Dziadów“, wyżarł na niej ślady bolesnej oparzeliny, do której zabliznienia potrzeba silnego przeciwśrodku w postaci miłości i cierpienia „za miliony.“

Więc też skarży się poeta w tymże liście: „Dusza moja zdaje się, że umarła i dotąd ma się tylko *passive*.“ Poeta bierze się

¹⁾ L. c. II, 57—58.

do przerabiania „Grażyny,“ gdyż do nowych pomysłów nie czuje się na siłach: „umysł odrętwiał“ — pisze w tymże czasie do Czeczota — „powieści (sc. Grażyny) skończyć nie mogę, wiersze wyciągam jak druty żelazne.“

Myśl rozbudzona i rozpalona „Dziadami,“ kołuje nad Boliennikami, jak ptak zraniony ponad gniazdem, do którego wdarł się jastrząb. We wszystkich niemal listach z tego czasu powtarza się pytanie o Maryłę. „Ona jest nakształt czarodziejskiego obwodu“ — pisze do Czeczota 25 października 1822 r. — „który wszystkie moje myśli i czucia ogradza.“ Obwód ten umacnia praca nad wykończeniem i korektą „Dziadów.“ Poemat ten, pisany w Wilnie w gronie przyjaciół, był im dobrze znany. W liście do Czeczota z listopada 1822 r., donosząc o przepisaniu „Grażyny,“ wtrąca poeta, jako o rzeczy dobrze wiadomej „nim nadejdą *Dziady*“; donosi dalej, że zajmuje się poprawianiem części I „wedle uwag Borowskiego, niegdyś mnie czynionych.“ Zamierza również poprawić „*Dziady* dłuższe“ (t. j. cz. IV), choć „nie wiele będzie poprawy, ledwo w kilku miejscach“ (do Czeczota z grudnia 1822). Lecz poprawki te nie idą: forma, w jaką wylała się lawa natchnienia w Wilnie, opiera się zmianom „na zimno“ po powrocie do Kowna. „*Dziadów* część większą odeszłą, nic nie uniałem poprawić“—donosi Czeczotowi w styczniu 1823. Jednak czuje, że całość nie jest wykończona, że brak jej zaokrąglenia. Więc zniechęca się do dzieła, które potem chciał uczynić „jedynem, godnem czytania.“ „Gdyby nie oplakane obowiązanie się do druków“—pisze w tymże liście—„poszłyby one pod czerwone sukno. W samej rzeczy lepsze o nich miałem wyobrażenie, nim teraz czytać zacząłem. Ale cóż robić, nie bierz tego za przesadę lub fanfaronadę, ale jestem przekonany, iż oprócz ballad reszta jest zawczesna i jeśli dłużej pożyję będą mi kłuć w oczy te szpargały... Do części drugiej niestaje kilku wierszy w dorobionym kilkunastowerszowym przejściu, a i te trudno mi dorobić, tak muza daleko uciekła, a Zosi żadnej do natchnienia nie mam. Ów obrazek Karusi w *Dziadach* jest zrobiony podług tego, co o niej Tomasz powiadał. Zmieniłem imię tylko dla rymu, bo wiesz, że ideał Karusi jest całę inny i zachowuję go na inne miejsce; jeśli więc jesteś w poetyckim humorze, daję ci pozwolenie, owszem proszę *restituere textum*, odmień imię, i stosownie do tego przyjdzie podobno jeden czy dwa wiersze przerobić, Tobie udać się teraz powinno“! Jednocześnie ciekaw, „co Leleweł powie o *Grażynie*.“

Zdaje się, że Czeczot nie zastosował się do woli poety i w obrazku dziewczyny z „wiankiem i barankiem“ w II cz. „Dziadów“ pozostała Zosia, w miejsce tragicznej bohaterki „Romantyczności“ — Karusi.

Rozpoczęte a nigdy nieskończone dzieło życia wysyła poeta z Kowna 30 stycznia 1823 r. pod tytułem: *Ułamki z poematu Dziady* (list do Zana). Wysyła część II i IV, jednak bez „Upióra.“ Część pierwszą zamierza wykończyć i nadesłać później. Lecz wewnętrzny stan poety nie usposabia zgoła do tworzenia. Ilekroć pragnie się skupić, wnet czuje, że „roskopuje przywalony w piersiach Wezuwiusz, a wtedy dobywa się „lawą, kamieniem, dym a w końcu *difficulté d'être*.“ Ten werterowski bólów ból: niemoc życia — odbiera wszelką chęć i zapał twórczy tak dalece, że zdaje się poecie, jakoby talent poetycki całkiem go opuścił; a choć „wiele materyi układa i kombinuje“... „że są na większą skalę, dzwonek szkolny, herbata wieczorna niszczy je i psuje.“ W dodatku przyłączają się do tego ciągle trwające „powikłane i fatalne stosunki z Kleopatram“ (wszystko w liście do Jeżowskiego z 1 lutego 1823 r.).

Przewidując, że rękopis poematu doszedł już Wilna, pisze w lutym do Czeczota: „Zdziwisz się, nie znajdując żadnych popraw. Chciałem szczerze uczynić je znośniejszemi, ale *mi niepodobna przenieść się duszą w one czasy, kiedy je pisał*. Stąd przewiduję, jak tak poczwarna kompozycya wyda się innym. Tymczasem napisałem kilkanaście strof niby to prologu p. t. *Upiór... Dziady*, jak są, przepisz i oddaj Lelewelowi; obaczmy, co każe koniecznie poprawić. Już zdecydowano, że część I do tego tomiku wygotowana być nie może.“ Na ten „niby prolog“ zapatruje się jeszcze pesymistyczniej, aniżeli na cały poemat. „Ja, ponieważ wydałem wyrok o dawniejszych płodach“—pisze do Czeczota 15 lutego 1823, posyłając skończonego „Upióra“—„o tym ogonie nic nie powiem, nie masz tu ani piersi, ogniem buchających, ani oczu zapalonych, bo tylko ogon... jest to ostatnia podobna robota w tym rodzaju—przynajmniej na długo.“

Przyjaciołom, którzy o „Dziadach“ inaczej się wyrażali, aniżeli sam ich twórca, odpowiada w tymże liście: „Co się tycze waszej protestacyi przeciw zdaniu o *Dziadach*, jesteście dobrzy przyjaciele ojca, który ledwie nie wierzy pochwałom, tak hojnie dla dzieci sypanym. I, prawdziwie, jeden monolog w *Dziadach* dawniej zrobiony i całe drugie mniejsze *Dziady* nie są szpargałem.“

Nie wiemy, który monolog miał na myśli poeta; prawdopodobnie słynny ustęp „Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!“

(960 — 87) — który poeta sam nazywa „długim monologiem“ (do Czeczota 16 marca 1823).

Pozwolenie cenzury z podpisem Lelewela na druk drugiego tomika poezyj uzyskano bardzo szybko, bo już 21 lutego 1823 roku. Choć jednak poeta wysłał z Kowna „Dziady“ niezinienione, zanim pojawiły się w kwietniu na półkach księgarskich, uległy w międzyczasie drobiazgowemu przedyskutowaniu i korekcie szczegółów.

Zmudnego obowiązku korektora podjął się Jan Czeczot: listy poety do przyjaciela pomiędzy lutym a kwietniem mają—wedle określenia samego autora—charakter „opętanej korekciarskiej pracy“ (do Czeczota 23 kwietnia). Nie wszystkie warianty dadzą się dziś zużytkować: poeta określa czasem zbyt niewyraźnie lub podaje brzmienie ostateczne, nie wspominając o pierwotnem. Podajemy poniżej, o ile to możliwe, te najważniejsze zmiany, któremi należy uzupełnić „odmiany tekstu.“

Upiór: pierwotnie był dłuższy. W liście z 19 lutego poleca poeta, nie określając bliżej, „wyrzucić strofę z Upiora“; nadto po 88 w. „Obecne szczęście zakłócić“ zmienia poeta dwie ostatnie strofy, których pierwotnego brzmienia jednak nie podaje (list z 5 marca).

Dziady II cz.: W pierwotnym tekście występuje „w miejsce guślarza ksiądz, odmawiający wraz z ludem Zdrowaś Marya — zmianę spowodowała cenzura (list z lutego). Nadto skrócono tekst. Po słowach guślarza: *Tylko żwawo, tylko śmiało* (9 w.) następował pierwotnie wiersz: *tak róbcie jak guślarz radzi*, oraz nieokreślony bliżej ustęp, pomiędzy dzisiejszym 9—10 wierszem, wyrzucony na życzenie poety (list 23 marca).

Dziady IV cz.: Wiersz 205 *Jakto? tego kija?* — brzmiał pierwotnie, jak przypuszczam, *szmat kija* (list 16 marca). W. 417—8

Czy widzisz, księżo, pierścienie?

— *Smutna pamiątka została* —

pierwotnie: *Na pamiątkę mi oddała*. Wiersz 932: Wtem (o, gdy mię wspomnienia same nie zabiją!)—ma dwie odmianki: *Ach, na samo wspomnienie poty zimne biją* | *Ach, jeśli mię wspomnienia same nie zabiją* (list 5 marca).

Wiersz 960: *Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!* — brzmiał pierwotnie: *Kobieto, boski diable, dziwaczna istoto*.

Pozatem o ciekawych ewolucyach, jakim podlegał wierszyk Schillera „Amalia,“ mówiliśmy powyżej.

*

*

*

Ostatni akord pieśni miłosnej, która z taką mocą wybuchła w IV cz. „Dziadów“, rozbrzmiewa w końcowych listach ogłoszonej korespondencji. Skończyło się pisanie krwią własnego serca, skończyła się praca korektorska, przeszkadzająca zabliznieniu rany; książka poszła w świat i utworzyła się pomiędzy nią a jej twórcą pewna perspektywa, z jakiej patrzy się na rzeczy, które minęły w życiu i powtórnie odżyły już w pieśni. Choć wedle relacji Czeczota z 30 maja 1823 r. poeta był jeszcze „zawsze w stanie nienaturalnym“ — to jednak z wydanych listów widać, że po ogłoszeniu „Dziadów“ następuje już trwały okres rekonwalescencji.

W kwietniu, zapewne w czasie świąt Wielkanocnych, żegna Adam Marylą — na zawsze. Rozstanie jest smutne — lecz pozbawione cech tragicznej rozpaczki. „Jeśliś korespondował z Bolcienikami“ — pisze poeta do Czeczota 1 maja 1823 — „donieś mnie tylko, czy zdrowa i donieś tylko, że zdrow jestem. Wyjechałem od was smutny, ale nie gwałtownie cierpiący. Ostatnie pożegnanie wszelkich nadziei ma w sobie coś spokojnego i melancholijnego.“

W końcu zaś tego miesiąca pisze Maryla, również w świeżo ogłoszonym liście, do Zana niiby, choć właściwie do Gustawa: „Wyrzekłam się największej przyjemności w życiu, jaką miałam: widzenia Jego (iuz się bowiem na zawsze s Im rozłączyłam). Słuchając głosu powinności, straciłam prawo do Jego serca. Możnaż s siebie zrobić większą ofiarę?“

Po szarpiącym zmaganiu się z głosem sumienia i obowiązku — spełniono ofiarę; a z chwilą tą spada spoczynek i ukojenie na skołatanę serce Gustawa. „Życzę jej wszelkiego szczęścia najszczerzej“ — wyznaje Czeczotowi w liście z połowy czerwca 1823—„ale nie wszelkie może mnie tyle, ile ją pocieszać i dlatego nie o wszystkim chcę wiedzieć. Chciałbym nawet, żeby o mnie więcej nie słyszała... Ten list spalisz; niech to będzie ostatnią rozmową w tej materii... Jeśli ona cierpi, miała wiele i słodkich chwil, nigdy jej nie chciałem dręczyć i nie będę.“ Tak pisze się o stracie, którą niemal się już przeboleło.

Również stosunek do drugiej, której miłość równie mogła być szczerą i silną, choć nieodpłaconą sercem wzajemnością, przybiera cechę dobrej wyrozumiałości i spokoju. „Mam tu jeszcze przyjaciółkę“ — czytamy w liście z końca czerwca 1823 do Czeczota — „która mnie osładzała pobyt, skądinąd nieznośny; przywykliśmy do rozmów, do uwag, do zabaw wspólnych. Mój odjazd bardzo ją zasmuci.“

Oto dwa pożegnania—na zawsze: dla przyjaciółki i kochanki, choć tę ostatnią właśnie tak nazwano, jakby dla odwdzięczenia dobrem i czystym słowem za kochanie, które nieraz ciążyło, lecz niosło w ofierze wszystko, co dać mogło, a wzajemnie nie żądało Gustawowego serca zakrwawienia.

Myśl gotuje się na nowy czyn, na nową pracę: poeta donosi o zamiarze skończenia trzeciego tomiku, choć czuje wyczerpanie twórcze (w tymże liście). W liście do Czeczota, wyprzedzającym o tydzień wyjazd z Kowna, pisze: „Owóż ostatni tegoroczny list z Kowna. Za tydzień wyjeżdżam. Jest to czwarty wyjazd z Kowna. Z równą, jak niegdyś niepewnością, co się ze mną stanie i gdzie się obrócę — *ale z większą niż kiedyś spokojnością.*“

*

*

*

Nie przypuszczał autor obu tomików poezyi, że w księdze przeznaczeń odwrócił anioł kartę i zatrzymał palec na pierwszym etapie *nowego życia*. Etapem tym — cela bazylikańska, w której uspokojony i pogodzony z losem Gustaw miał się przerodzić w Konrada i rozpocząć olbrzymią pracę Budowniczego narodowej Arki Przymierza.

D-R MARYAN SZYJKOWSKI.

TECHNIKA

wypraw podbiegunowych.

W rozwoju t. zw. kwestyi polarnej rozróżnić należy dwie ściśle odgraniczone epoki. Pierwsza z nich, wywołana przez znaczne ogólnie wielkie odkrycia geograficzne XV wieku, rozpoczyna się już w wieku następnym, obejmuje okres czasu aż do początku XIX stulecia i odnosi się wyłącznie do okolic, leżących wewnątrz koła biegunowego północnego. Myślą przewodnią wszystkich wypraw, podjętych w tej epoce, jest cel wyłącznie praktyczny: poszukiwanie krótszej drogi morskiej do Indyj i Chin, rybołówstwo albo polowanie na zwierzęta, dostarczające futer, tłuszczu i tranu. Korzyści z wypraw tych dla wiedzy są bardzo nieznaczne, dość wspomnieć, że o okolicach podbiegunowych obiegały aż do końca XVIII w. najpotworniejsze wieści, rozsiewane niekiedy rozmyślnie przez poławiaczy wielorybów, aby odstraszyć współzawodników.

Wiek XVIII, wiek oświecenia, ze swoim zapalem dla wiedzy ściślej, budzi i dla krain podbiegunowych zainteresowanie i tylko wielkim przewrotem politycznym w ostatnich dziesiątkach XVIII i pierwszych XIX wieku należy przypisać, że kwestya polarna dopiero w r. 1818 występuje w nowej postaci na widownię dziejową. Ta druga epoka różni się od dawniejszej tem, że cele praktyczne usuwają się teraz na miejsce drugie, a wiedza jest wyłączną prawie pobudką wypraw, nadto w obręb badań naukowych wstępuje teraz i biegun południowy. Odkrycia postępują coraz szybszem tempem; w ostatnich 60 latach dokonano ich więcej, niż w poprzedzających 4-ch wiekach.

Przyczyna tego zjawiska leży głównie w niezmiernej ewolucji wiedzy przyrodniczej w w. XIX. Nietylko interes czysto geograficzny, t. j. chęć dokładnego poznania rozmieszczenia lądu i wody na ziemi, ale tysiące innych pytań z zakresu nowych gałęzi przyrodnictwa, jak geologii, paleontologii, oceanografii, meteorologii, biologii, lub nauk ścisłych, jak astronomii, geofizyki i t. p., do których rozwiązania klucz leży jedynie w krainach podbiegunowych, pobudzają wciąż do nowych wysiłków, aby wydrzeć przyrodzie tak zazdrośnie strzeżone zagadki.

Kwestya polarna staje się przez to udziałem całej ludzkości, budzi ogólne zaciekawienie, a z niem także niebywałą ofiarność tak ze strony społeczeństw i jednostek, jak rządów. Już w r. 1818 ofiarowuje Feliks Booth 408,000 koron (austr.: 1 rubel = 2,5 k., 1 marka = 1,2 k.) na wyprawę Johna Rossa. Za odkrycie przeprawy północno-zachodniej wyznacza rząd angielski premię 480,000 k., a 120,000 k. za dotarcie do 110° zach. długości. Poszukiwania zaginionej wyprawy Franklina pochłaniają około 30 milionów koron (12 milionów rubli), wyprawa Nansena kosztuje 586,000 k. (z których rząd pokrywa tylko 370,000 k.), Amundsen zbiera drogą składek na swoją ekspedycję 176,000 k. Jedyną w swoim rodzaju była wyprawa Shackletona na południe w r. 1908—09. Kwotę 1,110,000 k., jakiej potrzeba było na pokrycie kosztów, poręczyli przyjaciele Shackletona, a jedyną poręką, jaką on mógł ofiarować, był spodziewany dochód z odczytów i wydania książki po powrocie z wyprawy! Czyż potrzeba lepszej ilustracyi dla niezmiernego zajęcia się ogółu kwestyą polarną?

Wprost zdumiewającą jest ofiarność jednostek. Alfred Harmsworth wydaje na wyprawę Jacksona (1894—97) przeszło milion koron. Amerykanin Ziegler uzbraja wyprawy Baldwina (1901) i Fiali (1904) kosztem 3 milionów, ks. Abruzzów wydaje na swą podróż (1899—900) 885,000 k., a Gordon Bennet uzbraja wyprawę Jeannetty (1879). Najcharakterystyczniejszym jest jednak zapał, jaki obudziły podróże R. Peary'ego w Stanach Zjednoczonych. Powstaje tam osobne stowarzyszenie „Peary Arctic Club,” którego celem jest umożliwienie badań i odkryć podbiegunowych przez Peary'ego. Klub ten dostarcza statku „Roosevelt,” zbudowanego kosztem 50,000 dolarów podług wskazówek Peary'ego, uposaża i uzbraja kilka pomocniczych wypraw i t. p.

W równej mierze, jak zapał naukowy i ofiarność, przyczynił się też do olbrzymich postępów w odkryciach podbiegunowych niezmierny rozwój środków technicznych, jakimi posługiwać się musi wyprawa.

Wyprawa podbiegunowa dojść może do skutku jedynie pod ściśle dającymi się ująć warunkami i z pomocą pewnych środków technicznych. Pomędzy warunkami a środkami zachodzą też ściśle związki. I tak: porą do wypraw może być tylko cieplejsza połowa roku, bo półroczna noc i niezmiernie niska temperatura uniemożliwiają podróż w zimie. Obydwa główne środki techniczne, t. j. okręt i sanki z zaprzęgiem dadzą się użyć tylko w cieplejszej porze z tą jednak różnicą, że dla żeglugi odpowiedniejszym jest późne lato, bo znaczna część oceanu Lodowatego uwalnia się wtedy od lodu, dla jazdy zaś sankami najodpowiedniejszą bywa wiosna i początek lata, nim sieć otwartych rynien i kanałów nie pokryje lodu.

Dopóki niezdawano sobie sprawy z trudności, oczekujących wyprawy polarne, sądzono, że można będzie albo okrętem dotrzeć aż do samego bieguna (hipoteza o otwartem morzu), albo sankami po lodzie nieruchomym wokoło bieguna (teoria wieczystego lodu polarnego). I w jednym i w drugim wypadku spodziewano się już w przeciągu jednego roku dotrzeć do bieguna północnego. Ale smutny los, jaki spotkał statki Tegetthof (1872—1874) i Jeanette (1879—81), wyruszające do bieguna pod znakiem teorii o otwartem morzu, obalił ją bezpowrotnie, a niedługo potem podał prof. Mohn, a za nim dr. F. Nansen i teorię wieczystego lodu podbiegunowego w uzasadnioną wątpliwość. Zamiast nieruchomego, odwiecznego płaszcza lodu przypuszcza Nansen, że lód ten składa się z pojedynczych płyt, które pod wpływem różnych czynników (wiatr, prąd, przyływ i odpływ) mogą zmienić swoje położenie. W szczególności sądzi on, że od cieśniny Berynga płynie ku półn.-zachodowi silny prąd, który jest w stanie statek, wmarznięty w odpowiednio wielkie i grube pole lodowe, przeprowadzić przez sam biegun albo blisko niego w taki sposób, w jaki prądy morskie unoszą pasy ruchomej wody wśród bezwładnych mas oceanów.

Rezultat wyprawy, dokonanej w latach 1893—96, stwierdził to przypuszczenie w całości.

Nie wchodząc w doniosłość podróży pod względem czysto naukowym, stwierdzimy tylko to, że stała się ona pod względem technicznym wzorem dla wszystkich późniejszych wypraw do bieguna półn., a nawet i południowego. Wykazała mianowicie, że dotarcie do bieguna w jednym roku jest wprost niemożliwe i że każda wyprawa musi być kombinacją dwu głównych środków podróży, t. j. okrętu i saneczek. Nansen sądził wprawdzie, że unoszony prądem dotrze, jako mimowolny podróżny, statkiem

aż do samego bieguna, ale przekonawszy się po upływie roku, że prąd płynie prawdopodobnie o 4—5° na południe od bieguna, postanawia tę przestrzeń przebyć sankami po lodach.

Podobnie postępują najnowsze wyprawy. W jednym roku docierają statkiem do miejsca, które ma być podstawą do przyszłej ekspedycji saneczkowej, przezimowują tu, zużytkowując zimę do zahartowania załogi na trudy i niedostatek, do ćwiczenia jej w jeździe sankami i pochodzie na nartach, a z wiosną następnego roku wyruszają na właściwą wyprawę. Nowoczesna wyprawa składa się zatem z dwóch faz: a) podróży statkiem i przezimowania, b) wyprawy saneczkowej.

Zdawałoby się, że konieczną jest rzeczą, aby statek polarny, jedyny punkt oparcia dla załogi, wiozący zapasy żywności, paliwa, oświetlenia—często na lat kilka—psy, sanki, narzędzia i t. p., odznaczał się wielką pojemnością i rozmiarami; tak jednak nie jest. Doświadczenie żeglugi polarnej przekonało o niemożności użycia wielkiego statku, bo wśród ruchomych płyt i gór lodowych okręt musi być bardzo obrotnym, musi umieć wśliznąć się w wązkie częstokroć kanały i rynny, błyskawicznie się cofać, roztrącać przodem słabsze kry, a większe szybko omijać. Takim statkiem może być tylko niewielki, smukły parowiec o ubezpieczonej śrubie, opancerzonym dziobie i odpowiednio silnym motorze. Ale statek taki nasuwa przecież pewne wątpliwości. Mała pojemność nie pozwala na zabranie wielkich zapasów, smukłość budowy nadaje statkowi przekrój bardzo wązki, o bokach słabo tylko zaokrąglonych i może stać się dlań przyczyną katastrofy, t. j. zgniecenia przez t. zw. piętrzenie (spieranie) się lodów.

Zjawisko to znano już oddawna. Aż do wyprawy Nansena przypisywano je uderzaniu płyt lodowych o brzegi wiecznego lodu. Dziś wiemy, że cały obszar lodów pod biegunem półn., pod wpływem prądów, wiatru, przypływu i odpływu morza, w ustawicznym jest ruchu. Posuwane jedną z tych przyczyn, naciskają się płyty lodowe nawzajem, brzegi ich podnoszą i piętrzą się, jakoby bardzo stromy dach, dopóki nie przewalą się na wewnątrz, tworząc wał lodowy. Jeżeli nacisk trwa dłużej, to wał lodowy piętrzy się coraz wyżej, przyczem kra grubsza i większa posuwa go wolniej lub szybciej ku tej stronie, gdzie lód jest cieńszy, zatem opór słabszy. Łatwo zrozumieć, że wał taki, spotkawszy w drodze wmarznięty okręt, opiera się o jego bok, przenosi nań cały nacisk kry lodowej (niekiedy miliony kg.) i załamuje go, poczem okręt zwykle tonie. Podobnego losu doznało już wiele statków.

Znacznie mniejszem jest niebezpieczeństwo, jeżeli okręt ma boki silnie zaokrąglone. Wał lodowy ślizga się po nich w dół i podnosi statek do góry. Zachodzi wprawdzie obawa, że okręt może się przewrócić, ale właśnie wypukłość budowy i szerokość przekroju paraliżuje w znacznej mierze niebezpieczeństwo. Statek Nansena „Fram,“ zbudowany na tej zasadzie, opiera się zwycięsko lodom w czasie trzykrotnego przezimowania (1893—1896), podczas późniejszej wyprawy Sverdrupa (1898—1902) i oprze się prawdopodobnie i na najnowszej i największej (Amundsen 1910). Statek R. Peary'ego „Roosevelt,“ zbudowany w r. 1904 z uwzględnieniem doświadczeń Nansena, wychodzi z nieznacznem uszkodzeniem z niebezpieczeństwa zgniecenia w r. 1905—6, chociaż położenie jego koło przylądka Sheridan było daleko gorszem od położenia okrętów ks. Abruzzów (1899—1900) i Baldwina (1904), zgniecionych w zatoce Cieplickiej na wyspie arcyksięcia Rudolfa.

Nie ulega wątpliwości, że wypukły kształt statku ujemnie wpływa na jego chyżość, ale przy wyprawach do bieguna północnego szybkość jazdy nie gra wielkiej roli, bo wobec nieznacznej odległości ostatnich składów węgla (Norwegia, Szpicberg) od granicy żeglugi, spotrzebowanie paliwa nawet przy wolnej jeździe nie jest zbyt wielkie, a krótkie lato wystarczy na doprowadzenie statku do zamierzonej szerokości geograficznej.

Trudniejszą do pogodzenia była pozorna sprzeczność, zachodząca między postulatem małego statku a koniecznością obfitych zapasów. Nansen rozwiązuje ją, zmniejszając załogę statku. I tu przykład jego działa epokowo. I tak, kiedy jeszcze J. Franklin wyruszał na wyprawę z 2 statkami i 134 ludźmi, załoga Framy liczy tylko 13 ludzi, ks. Abruzzów ma 20, Sverdrup 16, a stateczek „Gjøa,“ na którym R. Amundsen dokonał przeprawy północno-zachodniej (1903—1907), ma tylko 7-iu ludzi. Ale ubytek ilości wynagradza sownością jakością. Między 13 ludźmi Nansena niema ani jednego, któryby nie był albo uczonym, albo nie posiadał jakiejś specjalnej technicznej zręczności. Podobnym jest skład innych wypraw, a ostatnim wyrazem na tem polu jest wyprawa antarktyczna Shackletona (1908—9). Z 15 uczestników, zimujących koło Cap Royds, jest 6 uczonych, 5 posiada wykształcenie uniwersyteckie, 3 wyższe fachowe, a tylko jeden (kucharz) ludowe. Korzyści, jakie nastęrcza mała załoga, są bardzo znaczne. Załogę, złożoną z niewielu ludzi, można łatwo zatrudnić w czasie długiej nocy zimowej, gdyż „jednym z warunków powodzenia wyprawy jest to, aby załoga zawsze była zajęta; próżnowanie bowiem sprowadza demoralizację“ (Amundsen). Załoga inteligentna

potrafi się skutecznie oprzeć najgroźniejszemu sprzymierzeńcowi nocy polarnej—nudom; znajdzie ona zawsze w braku fizycznego odpowiednie zajęcie umysłowe. Dlatego najnowsze wyprawy wiozą z sobą całe laboratoria naukowe i fotograficzne, biblioteki, prasy drukarskie dla wydawnictw polarnych, gramofony i t. p.; Shackleton zabiera nawet maszyny do szycia, piłkę nożną i grę huckley. Do podobnych zajęć potrzeba należytego oświetlenia, Fram wiezie lampy elektryczne, w chacie ks. Abruzzów płoną światła gazolinowe, Shackleton używa lamp acetylenowych.

Wyższy poziom umysłowy, gorący zapał dla wiedzy, której służy, przejmując załogę bezgranicznym poświęceniem i poddaniem się nie tylko w chwilach groźnego niebezpieczeństwa, ale, co trudniejsza, pozwala jej znosić bez szemrania długotrwałe ograniczenia i niedostatek. Jakże inne doświadczenia zebrały dawniejsze wyprawy, gdzie niejednokrotnie musiano najskrajniejszymi środkami grozy utrzymywać rozluźnioną karność (rozstrzelanie żołnierza Henry'ego na rozkaz komendanta Greely'ego w r. 1883).

Nieliczna załoga potrafi także w razie niebezpieczeństwa lub zagłady statku łatwiej go opuścić, ocalić zapasy, łatwiej wykonać odwrót po lodach, a dotarwszy do jakiegoś lądu stałego, łatwiej wyżywić się, choćby tylko środkami, jakie nastrecza ów ląd. Dowiodły tego liczne przykłady przezimowania małej garstki wśród najtrudniejszych warunków, przedewszystkiem sam Nansen, który w r. 1895 przepędził całą zimę na wyspie Fredericka Jacksona (archip. Franciszka Józefa) z jednym tylko towarzyszem, Johansenem, w chacie, zbudowanej z kamieni i skór morsa, nieposiadając prawie żadnych innych zapasów oprócz mięsa upolowanych niedźwiedzi i fok. Podobnie przezimowuje 20 ludzi załogi szwedzkiej wyprawy antarktycznej (1902—1904) po zgnieceniu okrętu „Antarctic“ na wysepce Paulet, zbudowawszy tu chatę z głązów i żywiąc się mięsem fok i pingwinów. Natomiast 107 ludzi wyprawy Franklina pada ofiarą głodu w okolicach, o których późniejszy ich badacz, Amundsen, twierdzi, że należą do „najbogatszych i najpiękniejszych całego północnego wybrzeża Ameryki.“

Doświadczenie Nansena nader cenne, bo zadało kłam przesądowi utrzymującemu się aż do jego czasów, jakoby Europejczyk nie był w stanie żyć na sposób Eskimosów wyłącznie mięsem (Mc. Clintock), powtarza od szeregu lat na wielką skalę R. Peary, utrzymując całe wyprawy prawie wyłącznie zwierzyną upolowaną w Grenlandyi lub w kraju Granta.

Nieco odmiennym warunkom muszą odpowiadać statki przeznaczone do wypraw antarktycznych. Olbrzymi pas niezmiernie burzliwego morza, dzielący kontynent antarktyczny od innych części świata, wymaga statków o wielkiej pojemności i bardzo silnych maszynach, aby mogły zabrać dostateczną ilość węgla na drogę tam i z powrotem i oprzeć się burzom południowym. Wyprawy takie, zimując na lądzie, odsyłają zazwyczaj statek do któregoś z portów, leżących na północy, skąd w lecie następnego roku (zwykle w styczniu) powraca on z nowymi zapasami lub zabiera podróżników. Odsyła się statek dlatego, że wyprawa do bieguna południowego, której statek zostałby zgnieciony przez lody, znalazłaby się w rozpaczliwym położeniu, ocalenie jej bowiem drogą odwrotu po lodach byłoby wobec izolowanego położenia Antarktydy wprost niemożliwym, a nadzieja przypadkowego przybycia jakiegoś okrętu niezmiernie mała.

Mieszkanianem załogi podczas przezinowania jest okręt albo też chata, jeżeli okręt powraca na zimę do cieplejszych okolic. Niekiedy mieszka część załogi na statku, część w chacie na lądzie. Dzieje się to zawsze, jeżeli okręt, wiozący wyprawę naukową, zimuje w pobliżu lądu stałego. Przyrządy, służące do spostrzeżeń magnetycznych lub do oznaczania ciężkości, muszą stać na niewzruszonych podstawach, a okręt, wmarznięty w lód, narażony jest na ustawiczne wstrząśnienia. Dlatego ta część załogi, której zadaniem są spostrzeżenia lub odczytywanie instrumentów, zimuje na lądzie w pobliżu przyrządów, reszta zaś pozostaje na statku, aby go strzedz przed uniesieniem przez lody. W ten sposób przezimowuje kilku uczestników wyprawy Amundsena, wyprawa ks. Abruzzów, której uszkodzony statek „Stella polare“ naprawiono dopiero z wiosną, oraz wyprawa Discovery (1901—04).

Wszystkie dawniejsze wyprawy, zimując czy to na okręcie, czy w chatkach, cierpiały niesłychanie wskutek zimna, wilgoci i najstraszniejszego ich następstwa—skorbutu. Nowoczesna technika usunęła braki te, składając ściany okrętu lub chaty z kilku warstw izolacyjnych. Boki Framy, statku Nansena, składają się: z belek o grubości 70—80 cm., potem ku wnętrzu: 1) z warstwy pilśni napojonej smołą, 2) z warstwy rozdrobnionego korka, 3) ściany z desek, 4) z warstwy grubej pilśni, 5) z drugiej ściany z desek, 6) z warstwy nieprzepuszczalnego linoleum, 7) z trzeciej ściany z desek. Z podobnych warstw składa się powała i podłoga. Chata Jacksona zbudowana była w ten sam sposób, a Amundsen buduje dla obserwatorów na lądzie domek z próżnych pak, które napełnia piaskiem i obrzuca śniegiem. Shackleton zabiera

(1908—9) gotową chatę z Anglii, którą ma tylko złożyć. Chata ta składa się z belek, obitych na zewnątrz ogniotrwałą papą i wklinowanymi deskami, na wewnątrz zaś znajduje się o 10 cm. druga ściana z desek; przestrzeń między nimi wypełniono pilśnią, kauczukiem, rozdrobnionym korkiem i t. p. Z zewnątrz obstawiono chatę pakami z żywnością i paliwem, a nadto z tobołów z paszą dla kucyków zbudowano po jednej stronie chaty stajnię, nakrywając ją płótnem żaglowem i sankami. We wnętrzu ułożono podłogę z mocnych desek. Znakomitym okazał się piec patentowy, ogrzewający chatę tak, że temperatura była zawsze wyższą o 12—17° R. od temperatury zewnętrznej; piec służył nadto do trzykrotnego gotowania, pieczenia chleba i topienia takiej ilości śniegu, aby otrzymana woda starczyła na cały dzień do picia i dwukrotnego pojenia kucyków. Ks. Abruzzów buduje z konieczności chatę z trzech ścian płóciennych. Wewnątrz stoją dwa namioty, służące za mieszkanie; w odległości 75 cm. od ścian tych namiotów rozpięto drugi wielki namiot z żaglowca, a ponad tym trzeci z zeszytych żagli w oddaleniu 150 cm. Pustą przestrzeń między ścianami wypełniono pakami z żywnością i paliwem. Tak stworzono trzy warstwy niejednostajnie ogrzanego powietrza, wskutek czego przy opuszczaniu namiotu nie narażano się na nagłe przejście z bardzo niskiej do znacznie wyższej temperatury. W podobny sposób buduje R. Peary, zagrożony w roku 1905 zgnieceniem statku, prowizoryczną chatę z dwu ścian złożonych z pak, które z zewnątrz obrzuca śniegiem. Sprawozdania wymienionych wypraw donoszą zgodnie, że w mieszkaniach ich nie było śladu wilgoci (nb. w zimie), a w następstwie ani jednego wypadku skorbutu. Natomiast chata wyprawy Discovery zbudowana źle, nie tylko że była bardzo niemiłym schronieniem, ale spowodowała także liczne choroby, a nawet skorbut.

Ta ostatnia choroba uchodziła za najgroźniejszego wroga wypraw polarnych. Spostrzeżenia lekarzy, towarzyszących ekspedycjom, zaliczyły zgodnie skorbut do chorób zakaźnych, wywołanych przez mikroby, i skonstatowały także okoliczności wywołujące w organizmie usposobienie chorobowe. Są nimi: wilgotne i zimne pomieszkanie i wadliwe odżywianie się. Zdanie to potwierdziły w zupełności zdobycze nowoczesnej techniki, zajmującej się sporządzaniem środków spożywczych. Z chwilą, kiedy środki żywności odpowiedziały wszelkim wymaganiom higienicznym, zniknął skorbut, a z nim zastarzały przesąd, że powodem jego jest brak świeżego mięsa. Załoga Framy żyje prawie przez dwa lata 1904—1906 jedynie konserwami, z wyłączeniem

mięsa solonego i wędzonego, jako łatwo podlegającego zepsuciu, a stan jej zdrowia przez cały czas jest wyborny. Zawdzięcza to postępom techniki, która za pomocą sterylizacji i hermetycznego zamknięcia umie sporządzić doskonałe środki żywności dla wypraw polarnych, mimo iż środki te łączyć w sobie muszą własności napozór sprzeczne. I tak: muszą one w jaknajmniejszej objętości zawierać jaknajwięcej cząstek pożywnych, a zwłaszcza tłuszczu, muszą być łatwo strawne, zawierać jaknajmniej wody, aby nie powiększać martwego ciężaru, muszą dopuszczać odpowiednią zmianę pokarmu a być tak przyrządzone, aby gotowanie ich zabierało jaknajmniej czasu; nawet spożywanie ich na surowo ma być możliwe, w końcu opakowanie ich ma być lekkie, trwałe i zupełnie izolujące. Nowoczesne konserwy, sporządzone sposobem Apperta, t. j. sterylizowane przez gotowanie i zamykane na gorąco, odpowiadają zadaniu swemu znakomicie, czy to w postaci konserw mięsnych czy rybnych, mącznych czy mlecznych, jarzynowych czy owocowych i t. p. Za najpożywniejszą konserwę uważają wszyscy podróżnicy pemmikan, t. j. suszone, tarte mięso końskie i wołowe, ściskane z dodatkiem 50—60% tłuszczu w tabliczkach. Można go spożywać nawet na surowo, a rozgotowany w wodzie daje z chlebem lub sucharami wyborny i nadzwyczaj pożywny posiłek. Tylko Cagni, nie zaprzeczając zresztą wartości tej konserwy, twierdzi, że jest dość trudno strawna. Z innych środków należy wymienić jeszcze surrogaty chleba, np. suchary zawierające 25% plasmonu, używane z najlepszymi rezultatami przez wyprawę Shackletona, i pastę (makaron), zastępującą zdaniami d-ra Cavallego (wypr. ks. Abruzzów) całkowicie chleb.

Wszyscy podróżnicy doby najnowszej wypowiadają zdanie, że używanie alkoholu w czasie wypraw musi ograniczyć się albo do roli lekarstwa, albo do dawek bardzo małych. Niektórzy uważają działanie alkoholu w małych ilościach za dodatnie, jak dr. Cavalli, który przypisuje czerwonemu winu własności podniecające trawienie, a nawet uważa je za dzielny środek przeciw skorbutowi, Hansen zaś, porucznik Amundsen, powiada: „Wprost zdumiewającym jest ożywcze działanie alkoholu na wyczerpanego, zgłodniałego człowieka. Rozbicie namiotu, nakarmienie psów, nastawienie jedzenia na ogień, wydają się drobnostkami, których dokonuje się w połowie czasu, jakiego potrzebaby było innym razem. ... Z chwilą, kiedy nadejdzie reakcja, leży się już w worku do spania, a wtedy reakcja ta oddziałuje tylko dodatnio, bo często właśnie znużenie jest powodem, że usypia się z trudnością.“

Szczegóły techniczne, dotyczące ubioru, oparte są bądź na spostrzeżeniach wybitnych podróżników, bądź przejęte są wprost od Lapończyków i Eskimosów. O kwestyi tej da się powiedzieć, że ubiory futrzane zalecają się tam, gdzie zachodzi możność zmiany odzieży. Nosi się je więc na statku, na krótkich wycieczkach w pobliżu statku, albo podczas dalszych podróży po równych płaszczynach łądu stałego, jeżeli pod ręką są ciężkie sanki, na których leży i schnie drugi ubiór. Podczas dalekich wypraw saneczkowych, gdzie każdy niemal gram wagi wchodzi w rachubę, gdzie o zmianie sukien nie może być mowy, nosi się ubrania wełniane. Ułatwiają one transpiracyę, przepuszczają wylizwy ciała, które dopiero na zewnętrznej powierzchni tkaniny osadzają się w postaci szronu; futrzany ubiór jest nieprzemakalny, szron gromadzi się na wewnątrz, a nie oddalany troskliwie, tworzy coraz grubszą powłokę, tak, że cały ubiór sztywnieje, jak pancierz, i wskutek tarcia spowodować może głębokie rany, tak niebezpieczne podczas wyprawy. Najnowsze wyprawy używają też wyłącznie ubiorów wełnianych. Shackleton, narażony w swym pochodzie na południe całymi tygodniami na mróz 35° R. i to na wyżynie, sięgającej miejscami 3,500 m., zaleca mimo to ubiór, złożony z wełnianej bielizny, wełnianego kaftanika, bluzy z grubego i gładkiego sukna (z gładkiego łatwiej oddalić śnieg niż z włosistego), spodni z wielbłądziej wełny, kamaszy sukiennych, dwóch par rękawic (jedne wełniane, drugie futrzane), czapki futrzanej, kapuzy i 2 par pończoch wełnianych.

Zestawienie to dowodzi, jak starannie musi podróżnik chronić ręce, nogi i uszy od mrozu. Zwłaszcza obuwie jest niesłychanie ważnym czynnikiem, bo odmrożenie nóg uniemożliwia dalszy współdziałanie w pracach wyprawy. Eskimosi noszą zimą po 4 pary skarpetek ze skóry rena, zwróconych naprzemian sierścią na zewnątrz i wewnątrz, i buty ze skóry reniej. Europejczycy używają na wyprawach w wilgotnej porze roku (w lecie) nieprzemakalnych butów ze skóry fokii (t. zw. komager), w suchej zaś trzewików ze skóry rena włosiem na zewnątrz (finsko). Do trzewików wkłada się w dłuższych podróżach pęczki trawy morskiej (Senes), która ma tę własność, że wsiąka wilgoć i chroni nogę bardzo skutecznie od odmrożenia.

Doprowadziwszy okręt do miejsca przezimowania i przebywszy zimę, spełniła wyprawa dopiero pierwszą i to mniejszą część zadania. Z powrotem światła (pod 82° półn. szer. ukazuje się słońce poraz pierwszy nad horyzontem w ostatnich dniach lutego, jednak już od 21 stycznia panuje półmrok, który z każdym dniem

staje się jaśniejszy) rozpoczyna się druga, trudniejsza i zazwyczaj ważniejsza część ekspedycji: podróże saneczkowe, celem zbadania już-to bliższej, już-to dalszej okolicy. Największą trudność przedstawiają one wtedy, jeżeli celem ich ma być sam biegun północny.

Gdyby lód wokoło niego był stałym, to dla wyprawy sowieckiej wyposażonej na lat kilka byłoby łatwym urządzić w jednym lub dwóch po sobie następujących latach składy z żywnością w kierunku bieguna, a następnie dotrzeć do samego bieguna. Ale ponieważ lód w ustawicznym jest ruchu, przeto partya saneczkowa, opuszczając statek, musi mieć tyle zapasów, aby opędzić nimi drogę tam i z powrotem. Oprócz tego nie może ona nigdy liczyć z pewnością na powrót do statku, bo i ten może zmienić z konieczności miejsce i ona sama uleść prądowi i zboczyć z nim na wschód lub zachód. Stąd konieczność jakiejś szerszej podstawy operacyjnej, jaką może być tylko ląd stały, położony, o ile możliwości, jak najdalej na północ, a koniecznie tak daleko, aby wyprawa saneczkowa, powracając, nie natrafiła na otwarte morze. Takim punktem może być albo archipelag Franciszka Józefa albo Grenlandya, albo w końcu Szpicbergen. Ostatni archipelag jest najnieodgodniejszy, bo sięga tylko do 80° 30' półn. szer., to też podróż saneczkowa stąd najdalsza, a morze na północy często otwarte. Grenlandya dosięga 83° 39' półn. szer. i przedstawia z ziemią Granta i wyspami Sverdrupa podstawę 1700 klm. szeroka; archipelag Franciszka Józefa sięga do 82° półn. szer., ale rozciągłość jego od wschodu ku zachodowi wynosi wraz z kanałami tylko 420 klm. Ponadto ma arch. Franciszka Józefa tę nieodgodność, że najszersza część jego leży pod 80° 30' półn. szer., ku północy zwęża się i wybiega w końcu tylko 20 klm. szerokiem północnem wybrzeżem wyspy arcyksięcia Rudolfa. Wyprawa saneczkowa, wracając do kraju Franciszka Józefa, potrzebuje tylko zboczyć o kilka stopni na wschód lub zachód, co zwłaszcza wobec skonstatowanego prądu z Pd. W. ku Pn. Z. jest bardzo łatwym, a już przejdzie w pobliżu wyspy arc. Rudolfa nie widząc jej wcale. Doświadczył tego na sobie w sposób bardzo przykry Cagni (1900).

Przewaga Grenlandyi, jako podstawy, jest aż nadto widoczna i stąd wyszło też zdobycie bieguna północnego. Mimo to z uporem, graniczącym z zaciętością, uważano aż do najnowszych czasów drogę przez arch. Franciszka Józefa za dogodniejszą.

Warunki zdobycia bieguna południowego przedstawiają się inaczej. Badania antarktyczne zaniedbane były aż do ostatnich

dziesiątków lat XIX w., bo z całej poprzedniej historii odkryć można nazwać doniosłą jedynie podróż J. C. Rossa (1839—1842).

Materyał, zebrany przez grupę wypraw międzynarodowych (1901—1904) i podróż Shackletona (1908—9), jest wystarczającym, aby orzec, że „czasza“ (kalota) antarktyczna, t. j. odcinek kuli ziemskiej, objęty kołem biegunowym południowym, składa się przeważnie z bardzo wyniosłego lądu, którego wybrzeża dotknęły wyprawy na wielu punktach i którego średnią wysokość oblicza prof. Meinardus na 2000 m. Najlepiej zbadanym został dotychczas półwysep Grahama, pas wybrzeża między 163° wschod. i 150° zach. długości, a w części płaskowyż, leżący na zachód od t. zw. Wielkiej baryery, kraj Wiktoryi.

Między krajem Wiktoryi a ziemią króla Edwarda VII, t. j. między 165° wschodniej a 158° zachodniej długości, wrzyna się w ląd stały potężna zatoka morza Rossa, sięgając podług spostrzeżeń Shackletona najmniej do 86° poł. szer. Zatoka ta pokryta jest grubym lodem i warstwą śniegu (podług Shackletona składa się przeważnie ze śniegu). Jest to tak zwana Wielka baryera. Baryerę okalają (o ile to się dziś da powiedzieć, bo Shackleton poznał tylko zachodnie jej ograniczenie; na wschodzie wybiega z rąbka wybrzeża, odkrytego przez Scotta, t. j. ziemi króla Edwarda VII, pasmo górskie ku południowi i stanowi prawdopodobnie brzeg wschodni baryery) góry nakrawędne o wysokości około 4500 m., ciągnące się ku południowi. Ze stoków ich spływają liczne i potężne lodowce, a uchodząc do baryery, powodują tam, gdzie łączą się z jej lodem, spiętrzenia i sparcia lodowe niekiedy na przestrzeni wynoszącej 40 km. Zresztą nie przedstawia powierzchnia baryery znaczniejszych trudności dla pochodu, wyjąwszy głęboki śnieg i liczne rozpadliny, które potrzeba niekiedy daleko obchodzić. Dowiedziona jest rzeczą, że lód baryery posuwa się wolno ku północo-wschodowi, prawdopodobnie party przez uchodzące lodowce, które dostarczają mu wciąż nowego materyału. Wyprawa Shackletona obliczyła współczynnik tego ruchu na 450 m. rocznie. Lód baryery obłamuje się stromą ścianą ku morzu Rossa mniej więcej pod 78° połudn. szerokości.

Wobec wolnego ruchu baryery i jej dogodnej powierzchni możliwym jest zatem dla wyprawy, wyposażonej na lat kilka, założyć na baryerze wzdłuż pasma górskiego składy z żywnością przynajmniej do 84° półn. szerokości, t. j. do miejsca, gdzie podług doświadczenia Shackletona góry zmieniają swój dotychczasowy południkowy kierunek i zwracają się ku południo-wschodowi. W następnym roku możnaby stąd przez lodowiec Beardmo-

re'a przedsięwziąć wyprawę wprost do bieguna, podczas gdy pozostała część załogi mogłaby najpotrzebniejsze zapasy przeciągnąć aż do nasady lodowca (86°). Shackleton, którego wyprawa nie była tak bogato wyposażoną, byłby mimo to datarł już w pierwszym lecie (1909) do samego bieguna (dotarł tylko do 88° 23' połud. szer.), gdyby nie był stracił częścią już podczas przeprawy statkiem, częścią po wylądowaniu, sześciu ze swych 10-ciu mandżurskich kucyków. Ale nawet z pozostałymi 4-ma byłby osiągnął cel, gdyby nieszczęśliwe załamanie się i upadek w przepaść ostatniego kuczka na lodowcu Beardmore'a nie było pozbawiło wyprawy nietylko cennej siły pociągowej, ale co ważniejsza, zapasu mięsa na blisko 3 tygodnie. A Shackleton potrzebował z najdalszego swego punktu, t. j. 88° 23', tylko 7—9 dni, aby stanąć na biegunie, co razem z powrotem do 88° 23' wynosi najwyżej 15 dni (z powrotem posuwała się wyprawa bardzo szybko, bo droga wiodła w dół, a silny wiatr południowy pędził sanki formalnie naprzód, to też uszła dnia 19 stycznia 1909 r. blisko 47 klm.). Biorąc doświadczenie Shackletona w rachubę możemy śmiało powiedzieć, że dotarcie do bieguna południowego jest już tylko rzeczą kilkunastu miesięcy (Peary i Scott).

Ale wróćmy do bieguna północnego. Zanim rozważymy wszelkie prawdopodobieństwa dotarcia do bieguna w przeciągu lata z jednej z podstaw, t. j. Grenlandyi lub arch. Franciszka Józefa, wypada najsamprzód poznać środki, jakimi rozporządza wyprawa saneczkowa. Należą do nich sanki, psy, żywność, przyrząd do gotowania, urządzenia chroniące od zimna, przyrządy naukowe, broń, amunicja i t. p. Inne środki (kajaki, balony) bierze ekspedycja tylko okolicznościowo.

Prototypem sanek są sanki Eskimosów i Lapończyków. O ile technika nowoczesna wyprzedziła prototyp, świadczą słowa R. Amundsena, wypowiedziane przy spotkaniu z eskimoskim szczepem Neczilli w marcu 1904 r.: „Między naszymi sankami a ich leży przedział tysiącletniego rozwoju. Nasze sanki z XX wieku były w porównaniu z ich sankami — malutkie. Myśmy mieli na nich żywność i potrzeby na trzy miesiące, oni tylko na jeden dzień.“

Stąd też możemy dziś mówić o dwóch typach: grenlandzkim i nansenowskim. Sanki grenlandzie składają się z łyżew bardzo silnych i szerokich, lekko wygiętych ku przodowi, zaopatrzonych z tyłu prostopadłą rama, służącą do popychania i kierowania sanek i do przywiązywania ładunku. Łyżwy spojone są poprzecznymi szczeblami, na których umieszcza się ładunek. Pierwszy szczebel z przodu jest bardzo silny, do niego przytwierdza się

zaprząg. Tego typu używa R. Peary w podróżach po lądzie stałym, albo po gładkim lodzie. Są to jego „ciężkie sanki“

Na lodach morza podbiegunowego, spiętrzonych wałami w różnych kierunkach, używa się „lekkich“ sanek, typu Nansena. Jest to niskie, bo tylko 17 cm. wysokie rusztowanie, złożone z dwóch łyżew drewnianych o szerokości 10 cm. i dwóch równie długich na drewnianych podpórkach nad niemi umieszczonych listew. Listwy te spojone są między sobą lekkimi, ale silnymi szczęblami. Przód sanek zakończony silnym, drewnianym kabłąkiem, przez który przechodzi pociągowa lina. Kabłąk ma chronić sanki przed uszkodzeniem podczas uderzania o wystające bryły lodu; ześlizguje się on na nich, gdy tymczasem proste spojenie musiałoby się wkrótce złamać. Do wiązania części składowych sanek nie używa się wcale żelaza, lecz tylko kołków drewnianych albo rzemieni, aby po pierwsze nadać im pewien stopień elastyczności przy uderzaniu o przeszkody, a powtóre, aby zapobiedz wypadaniu gwoździ przy silnym mrozie. Najważniejszą częścią sanek są łyżwy. Drzewo, użyte na nie, musi się odznaczać mocą i elastycznością. Najlepszym materiałem jest drzewo orzecha amerykańskiego (Hickory-juglans alba). Przed użyciem poi się łyżwy mieszaniną ze stearyny, łoju i smoły. Na miękkim śniegu używa się łyżew, okutych nowem srebrem, na twardym bez okucia. Największą trudność sprawia młody lód niepokryty śniegiem, bo kryształki soli, które wydzielają się z wody podczas marznięcia, czynią powierzchnię chropowatą i powstrzymują tarcie ślizganie się łyżew. Długość sanek stosuje się do celów wyprawy. W dalekich wyprawach oddają najlepsze usługi sanki 3 metrowe. Ładunek umieszcza się na listwach i szczęblach tak, aby spoczywał jaknajniżej, bo w przeciwnym razie sanki łatwo się wywracają i przywiązuje się go rzemieniami przytwierdzonymi do listew. Do sanek przyczepia się z tyłu koło dystansowe (hodometr), podające przebytą odległość. Cała szerokość sanek wynosi około 50 cm., waga około 20 kg.

Do zaprzęgu używa się zwykle psów. Najlepsze pochodzą z Grenlandyi, prawie równie dobre są wschodnio- znacznie gorsze zachodnio-syberyjskie. Są wprawdzie bardzo nieposłuszne i samowolne, boją się tylko bata i wody, a nadto podlegają ślepcie śniegowej i liczny chorobom, jak zagadkowemu porażeniu członków (Nansen, Sverdrup) lub zarazom (Scott 1904, Peary 1905), ale znoszą doskonale trud, niewygody i zimno, żywią się wszystkim, nawet mięsem innych psów (Nansen, Cagni, Peary); znoszą wytrwale głód i dobrze odżywione, potrafią nawet wytrzymać

8 dni bez pokarmu, są lekkie, nie obciążają więc zbyt znacznie ani statku, ani czółna, ani unoszącej je kry lodowej, w końcu strata jednego nie oznacza zaledwie wielkiego ubytku siły pociągowej. Karmi się je w drodze albo pemmikanem, specjalnie dla nich przyrządzonym, suszonymi rybami lub, gdzie to jest możliwym, a więc na lądzie stałym, mięsem niedźwiedzi, fok, wołów piżmowych i t. p. (Peary, Sverdrup). Oczywiście żywienie świeżym mięsem jest na lodach podbiegunowego morza wprost niepodobnem; racya dzienna pokarmu, wynosząca 400—500 gr., wystarcza zupełnie do utrzymania psa przy pełnych siłach.

Do sanek zaprzęga się psy, albo każdego z osobna na długiej linie do obłaka, albo przeciąga się jedną długą i silną linę, do której przypina się je parami na krótkich uprzężach. Drugi sposób ma tę niedogodność, że trudniej skontrolować, który pies niechce ciągnąć, przy pierwszym przeskakują psy często przez linki pociągowe, gmatwają je i, zmuszając kierującego do odpłatywania ich gołemi rękami, narażają go na odmrożenie palców.

Siła pociągowa psa jest dość znaczna, podług Sverdrupa potrafi sześć psów dokonać tej samej pracy, co jeden koń. Zwykle liczy się na jednego psa 30—40 kg. ciężaru, a ponieważ sanki unoszą najwyżej 300 kg. ciężaru, przeto do uciągnięcia ich potrzeba 6—8 psów. Zazwyczaj ładuje się na sanki tylko 250—280 kg.

Ujemna strona psiego zaprzęgu leży w łatwości, z jaką pies kaleczy sobie łapy. Zwłaszcza w lecie może się to stać powodem okulażenia całej sfory, bo słona woda, drażniąc rany, powoduje ich ropienie. Aby psy ustrzedz od tej kłębki, daje im Peary w lecie, za przykładem Jakutów, obuwie ze skóry rena.

W ostatnich czasach poczęto używać do pociągu na lądzie stałym zamiast psów, kucyków mandżurskich. Wyprawy Jacksona (1894—97), Baldwina (1901) i Fiali (1904) miały już ze sobą kucyki, nie mogły ich jednak należycie wypróbować. Dopiero znakomite usługi, jakie oddały one armii rosyjskiej w czasie wojny japońskiej zwróciły na nie baczniejszą uwagę. Shackleton zabiera w 1908 r. 10 kucyków. Próby, robione z nimi, wykazały, że każdy z nich jest w stanie uciągnąć 295 kg. ładunku w głębokim śniegu, a więc tyle co 8—9 psów. Są posłuszniejsze i łagodniejsze od psów, nie sprawiają tyle kłopotu z odpłatywaniem linek pociagowych i cierpią mniej na ślepotę śniegową. O ile praca ich jest wydatniejszą, niż psów, stwierdza Shackleton, który, jak wiadomo, uczestniczył także w r. 1901—3 w wyprawie kapitana Scotta (Discovery). Kiedy w r. 1903 posuwano się z psa-

mi po baryerze przeciętnie 8 km. dziennie, to w r. 1909 robi Shackleton na tem samym miejscu kucykami po 24 km.

Złudzony pomysłą powierzchnią baryery zabiera Shackleton w r. 1908 także automobil o specjalnie skonstruowanych kołach. Ale nadzieja dobrych rezultatów zawiodła — automobil grzęznął w głębokim śniegu, a użycie jego ograniczało się prawie wyłącznie do jazd po lodzie zatoki Mc. Murdo.

Zawód, jaki spotkał Shackletona, zwrócił znowu uwagę na projekt naszego zastężonego rodaka, d-ra Henryka Arctowskiego, t. j. na sanki motorowe, które zdaniem jego dałyby się znakomicie użyć na baryerze. Już przedtem zbudował podług planu Arctowskiego markiz de Dion takie sanki, a wyprawa francuska do Antarktydy, pod wodzą d-ra Charcot'a, zabrała je celem wypróbowania. I wyprawa szkocka d-ra Bruce'a, mająca wyruszyć 1911 r. na południe, zabiera, obok psów i kucyków, także sanki motorowe nowej konstrukcyi.

Niezwykłym środkiem były dwa małe balony o pojemności 440 m³ zabrane przez wyprawę ks. Abruzzów w r. 1899 nie w celu wzlotu, ale w celu unieszczenia ich nad sankami, przez co chciało ulżyć ciężarowi. Balonów tych nie wypróbowano, bo przy ciężkiem uszkodzeniu statku paki z materyałami do wytwarzania wodoru dostały się pod wodę. Natomiast balon captif, jaki zabrała niemiecka wyprawa antarktyczna w latach 1901—1903 pod prof. v. Drygalskim (statek „Gauss“), okazał się wcale praktycznym, bo z łódki jego zbadano w promieniu kilkumilowym powierzchnię kraju ces. Wilhelma II.

Po dniu spędzonym na ciężkiej pracy wśród wielkiego mrozu koniecznym jest dobry nocleg, bo on jedynie może zrównoważyć ubytek sił. Dlatego bierze każda wyprawa futrzane worki do spania dla jednej, 2 lub 3 osób. Worki na więcej osób są o tyle praktyczniejsze, że śpiący w nich ogrzewają się nawzajem, jednoosobowe natomiast czynią nocleg swobodniejszym. Worek do spania składa się ze skóry rena włosem na wewnątrz, w górnej części ma klapę, dającą się zapiąć za pomocą guzików lub sprzążek i waży około 22 kg. Z czasem zbiera się wewnątrz wskutek oddechu wilgoć i zamarza na sierści, trzeba przeto przy pierwszej sposobności worek odwrócić, oczyścić włos od lodu i wysuszyć. By uczynić worek cieplejszym, daje ks. Abruzzów do środka wkładki z pierza w postaci piernatów, ale te zamarzają w drodze tak silnie, że z trudnością tylko dadzą się rozciągnąć.

Worki same nie są w stanie do tego stopnia powstrzymać wypromieniowanie ciepła, aby leżący w nich mogli zachować temperaturę znośną do zaśnięcia. Należy stworzyć jeszcze jedną war-

stwę powietrza cieplejszego przez rozbicie namiotu. Przy tem zważać należy, aby nie rozbijać go na młodym lodzie, bo, wskutek wypocin soli, bywa bardzo zimny, brak też na nim zwykle śniegu, a więc ani ludzie, ani psy pragnienia ukoić nie mogą; ponadto może młoda płyta łatwo pęknąć i pochłonąć albo całą wyprawę, albo przynajmniej zapasy. Do rozbicia namiotów nadaje się najlepiej stara gruba kra, o ile możliwości położona u stóp wału lodowego, który chroni przed wiatrem. Namioty używane przez nowoczesne wyprawy są zwykle jedwabne, bo są lżejsze od futrzanych lub piłśniowych i nie wciągają tyle wilgoci. Ściany namiotu bywają dla odpoczynku oczu, zmęczonych jednostajną białością, zabarwione na zielono. Wchód do nich da się albo zapiąć na guziki, albo ma postać worka do wiązania (wynalazek Amundsena). Namiot służy nie tylko jako ochrona przeciw zimnu, ale także przeciw strasznym burzom podbiegunowym.

R. Peary nie używa zwykle na lodach namiotu, ale, podróżując zawsze z Eskimosami, zużytkowuje wprawę ich w budowaniu domków śniegowych (igłu). Budowa takiej okrągłej chaty śniegowej wymaga wprawdzie dwa razy dłuższego czasu (u Europejczyków znacznie więcej), niż rozbicie namiotu, jest jednak nie tylko cieplejszem i zaciszniejszym schronieniem, ale może nadto służyć w powrocie, jako wyborny drogowskaz.

Równie, jak znośny nocleg, pożądanym jest gorący posiłek. Niekiedy jest on jedynym sposobem do rozgrzania skostniałych członków. Nansen zastosował po raz pierwszy na swej wyprawie aparat do gotowania „Primus,” a ten okazał się tak praktycznym, że staje się odtąd niezbędną częścią każdej wyprawy. Spotrzebuje on przy 3-krotnem sporządzeniu gorącego posiłku dziennie dla trojga ludzi tylko $4\frac{1}{2}$ lt. nafty w 10 dniach, absorbuje 92% ciepła wytworzonego przez palenisko, daje w pół godziny gorący pokarm i dostateczną ilość wody do picia (składa się bowiem z 3 naczyń), a przytem waży tylko 7—8 kg. Peary wspomina wprawdzie o wynalezionym i zastosowanym przez siebie aparacie spirytusowym, który ma jeszcze szybciej i łatwiej funkcjonować, ale konstrukcję jego zachowuje w tajemnicy.

Instrumenta naukowe, jakie zabiera ze sobą wyprawa, ograniczają się zazwyczaj do przyrządów, służących do oznaczenia położenia, temperatury, ciśnienia powietrza, prowizorycznych oznaczeń kartograficznych i zdjęć fotograficznych. Zaleca się nie brać teodolitu, bo ustawienie poziome przyrządu wymaga długiego przykręcania śrubek mikrometrycznych, co przy silnym mrozie nie zawsze łatwym jest do uskuteczenia, natomiast powinna każda

wyprawa obok kilku chronometrów (każdy członek wyprawy powinien mieć przynajmniej jeden) zabrać wszystkie przyrządy co najmniej w dwóch egzemplarzach. Wyprawa powinna mieć także około 100 m. sznurka do sondowania, bo mierzenie głębokości może zarówno oddać usługi oceanografii, jak dostarczyć wyprawie cennych wskazówek o bliskości lądu.

Niezbędną jest również mała apteczka, zawierająca najważniejsze środki lecznicze i odpowiedni zapas opatrunków i narzędzi chirurgicznych. (Cagni dokonywuje np. w r. 1900 sam dwukrotnej operacji wskazującego palca u prawej ręki; amputacja kości ostatniego członka zapomocą nożyczek (!) zabiera mu dwie godziny czasu).

Zapomnienie zabarwionych okularów może narazić ekspedycję na jedną z najprzykrzejszych chorób ocznych, ślepotę śniegową. Powstaje ona, podług Shackletona, przy mdłym oświetleniu lub mrocznem niebie. Brak słońca spowodowuje brak cieniów tak, że oko nie dostrzega nierówności na białym śniegu. Idący potyka się i pada; natęża więc oczy, aby uniknąć dalszych upadków, a przemęczenie spowodowuje chorobę. Rozpoczyna się ona silnem wydzielaniem śluzu z nosa, potem chory widzi wszystko podwójnie. Za chwilę nie widzi nic, oczy łzawią, żyłki nabrzmiwiają, ma się wrażenie piasku pod powiekami, w końcu powieki puchną tak silnie, że oczu otworzyć niepodobna. W tem stadium pomagają tylko zapuszczanie kokainy lub siarczanu cynku. Sverdrup twierdzi, że ślepotą śniegową łatwo spowodować może całkowitą utratę wzroku.

Głęboki śnieg lub gładki lód utrudniają niezmiernie pochód. Za przykładem Lapończyków i Eskimosów posługują się członkowie wypraw polarnych łyżwami śniegowymi (nartami). Sverdrup uważa narty za równie niezbędny środek do podróży, jak psy. Używane narty należą do dwóch typów: lapońskiego (norweskiego) i grenlandzkiego. Łyżwy pierwszego typu składają się z dwóch deszczutek długich na $1\frac{1}{2}$ m., a około 15 cm. szerokich, które przytwierdza się do nóg za pomocą rzemieni. Najlepszym materiałem na narty jest drzewo jesionowe, gruszkowe lub hickory; przed użyciem poi się je, podobnie jak sanki, mieszaniną z łożu, stearyny i smoły. Drugi typ nart składa się z eliptycznego obłoka drewnianego, którego oś większa wynosi około 75 cm.; mniejsza 30—40 cm. Wnętrze wyplecione jest albo drzewem, albo grubymi ścięgniami, z tyłu znajduje się przedłużenie w postaci rączki. Wskutek tego mają narty grenlandzkie wygląd wielkiej rakiety do gry w tenisa. Mają one w głębokim śniegu posiadać znaczną

wyższosc nad lapońskimi, natomiast nie dadzą się prawie użyć na lodzie.

W końcu wypadła jeszcze wspomnieć o broni i amunicji. Wyprawy w Antarktydzie skierowane w głąb lądu mogą się zupełnie obejść bez broni, bo życie zwierzęce ogranicza się tylko do pasa przybrzeżnego. (Ślady 2 pingwinów, które Shackleton widział 1909 r. na baryerze i przelatująca nad „Wielkim lodowcem“ mewa są tylko zjawiskiem sporadycznym, jak u Nansena ślady lisów pod 85° półn. szer.) Natomiast wyprawa arktyczna zabiera zwykle karabiny lub sztucce o lufach na kule i śrut. Do położenia niedźwiedzia wystarczy celny strzał nabojem ekspresowym, do zabicia morsa potrzebny jest pocisk wybuchający lub dum-dum.

Do środków, używanych tylko okolicznościowo, należą kajaki i żagle saneczkowe. Ponieważ lód arktyczny w nieustannym jest ruchu, przeto brzegi płyt jużto zrastają się, już oddalają od siebie, tworząc mniej lub więcej szerokie rynny otwartej wody. Rynny tworzą się przez cały rok, ale najliczniej powstają w cieplejszej porze, t. j. podczas właściwych podróży saneczkami. Są one prawdziwym piekłem dla podróżnych, bo tamują dalszy pochód. Często musi się czekać całymi dniami na zbliżenie się brzegów płyt lub nawet na zamrożenie otwartej rynny (Peary 1905 i 1909), aby potem przejść po młodziutkim lodzie, gnącym się pod ciężarem sanek i ludzi. Niekiedy udaje się zbudować z drobnych kawałków kry pomost, ale to możliwe tylko wtenczas, gdy rynna jest wąską, przez szeroką można dokonać przeprawy jedynie na czółnach lub kajakach. Dlatego wyprawy Nansena i ks. Abruzzów zabierają lekkie kajaki z żaglowca napojonego stearyną i łojem, rozpięte na lekkim bambusowym rusztowaniu. Oddają one Nansenowi nieocenione usługi, bo przenoszą go z Johansenem w powrocie przez otwarte morze na archipelag Franciszka Józefa. Jedna z grup wyprawy ks. Abruzzów (d-r Cavalli) używa również kajaku do przewiezienia wieści o swym powrocie z brzegu kry, na której obozuje na wyspę arcyks. Rudolfa. Cagni niema ani czasu, ani sposobności do rozpinania kajaku, ale stosuje równie oryginalny jak niebezpieczny środek do przepraw przez rynny. Oddział jego (razem 4 ludzi) uniesiony został prądem tak daleko na zachód, że zamiast z końcem maja dobił się dopiero 23 czerwca 1909 r. do wyspy arcyks. Rudolfa. Rzecz prosta, że powracając w czerwcu musiał napotykać bardzo liczne rynny, czasami nie widziano w promieniu kilkukilometrowym nic innego, jak tylko większe lub mniejsze kry. Mając się

przeprowadzić przez szerszą rynnę, przeskakiwał Cagni na jakąś małą krę, ciągnąc za sobą linę. Za pomocą bambusowej tyki, służącej zwykle za podpórkę do namiotu, wiosłował lub odpychał swą krę od innych tak długo, dopóki nie przeprowił się na drugą stronę rynny. Tam wbijał oskard w lód i okręcał on linę, a towarzysze na drugim brzegu, ciągnąc za nią, holowali swoją krę. Cagni twierdzi, że udawało mu się przeciągać w ten sposób kry o powierzchni 200 m² i o ciężarze 1,000 beczek.

Na tem zamykamy opis środków, jakimi rozporządza najnowsza technika podróży podbiegunowych, a postaramy się odpowiedzieć na pytanie, postawione na str. 522, jakie widoki posiada wyprawa saneczkowa, zamierzająca po przezimowaniu dotrzeć do bieguna północnego.

Przyjmijmy, że podstawą operacyjną będzie Grenlandya lub kraj Franciszka Józefa.

W pierwszym wypadku ma ekspedycja do przebycia 1,450 km., w drugim 1,780 km. Różnica drogi 330 km. przemawiałaby na korzyść Grenlandyi, ale korzyść tę osłabia znacznie wielka trudność dotarcia okrętem do północnych jej wybrzeży.

Prąd zatokowy, płynący wzdłuż zachodnich wybrzeży wysp Nowaja Zemlja, dociera, jakkolwiek bardzo oziębiony, aż do archipelagu Franciszka Józefa i powoduje, że morze po zachodniej stronie archipelagu prawie każdego roku w lecie jest otwarte, a tylko niezwykle okoliczności nie pozwalają dobrze zbudowanemu statkowi dotrzeć aż do wyspy arcyks. Rudolfa.

Do północnego wybrzeża Grenlandyi prowadzi kilka dróg morskich, ale wszystkie są dla żeglugi albo zupełnie niezdatne, albo bardzo wątpliwe. Ze strony zachodniej, t. j. przez morze Beauforta — najmniej znane ze wszystkich mórz polarnych — lub przez kanały między wyspami Sverdrupa, nie przepłynął dotąd żaden statek, podobnie ma się rzecz ze wschodniem wybrzeżem Grenlandyi, wzdłuż którego płynie ku południowi silny i szeroki prąd, niosąc tak gęste kry i góry lodowe, że najdalszym punktem na północy jest dotąd 78° 17' półn. szer., osiągnięty w r. 1905 przez wyprawę ks. Filipa Orleańskiego na okręcie „Belgica.“ Pozostawałaby droga przez kanał Smitha, morze Kanego i kanały Kennedy'ego i Robesona. Ale tutaj płynie prąd jeszcze silniejszy, niż wzdłuż wschodniego wybrzeża Grenlandyi, pędząc ku południowi taką masę lodów i blokując nimi tak często wązkie kanały, że dotychczas, mimo licznych prób, powiodło się tylko 3 statkom przepłynąć przez kanał Robesona („Roosevelt“ 1905, „Alert“ i „Discovery“ w r. 1875). Dość nadmienić, że Peary'emu, który przez

lat 20 ponawia swoje wyprawy wzdłuż tej linii, udało się zaledwie raz, t. j. w r. 1905, przeprowadzić swój okręt „Roosevelt“ przez kanał Robesona i to tylko dlatego, że „Roosevelt“ zbudowany został specjalnie dla tej drogi, a więc zaopatrzonego w maszyny o sile 1,000 koni i odpowiednie opancerzenie do walki z lodem. Nawet i „Fram“, jeden z najlepszych statków polarnych, nie zdołał tu dalej dotrzeć, jak do 78° 50' półn. szer. (1898), a powodzenie statków „Alert“ i „Discovery“ (82° 27' półn. szer.) tłumaczy się jedynie niezwykle pomyślnymi warunkami w r. 1875.

Mimo to przedstawia „ruta amerykańska“ w porównaniu z drogą wiodącą przez archipeląg Franciszka Józefa znaczną korzyść nie tylko dlatego, że postawa tu jest szerszą, ale i dlatego, że chociażby statek dotarł nawet tylko do 82° półn. szer. i wyprawa musiała stąd wyruszyć, to powrót jej przez lody jest pewniejszy, bo dostawszy się raz na ląd stały, może bardzo łatwo i niechybnie przybyć wzdłuż wybrzeża do okrętu, tem więcej, że pozostała część załogi mogłaby w czasie nieobecności wyprawy saneczkowej urządzić składy z żywnością aż do 83° 39' półn. szer. Peary wyrusza trzykrotnie z pod 83° półn. szer. (1902, 1906, 1909), raz z pod 83° 39' (1910) ku biegunowi. Ma do przebycia drogę krótszą o 2° geogr., niż z kraju Franciszka Józefa, czyli o 222 km.

Wyprawa, wyruszająca z wyspy arcyks. Rudolfa, ma do przebycia 1,780 km. W jakim czasie będzie musiała odbyć tę drogę?

Doświadczenie dotychczasowych wypraw dowiodło, że ekspedycja saneczkowa nie powinna wcześniej wyruszyć w drogę, jak z początkiem marca. Wszelkie wyprawy, które wyruszyły wcześniej, ucierpiały tyle od mrozu, że po kilku dniach wracały do okrętu (Nansen, Cagni). W miarę jak słońce coraz wyżej się wznosi, taje i obłamuje się lód na południu, morze otwarte posuwa się coraz bardziej ku północy, a tafla lodu podbiegunowego pokrywa się w lecie (czerwiec, lipiec, sierpień) taką siecią rynien i kanałów, że pochód staje się już w czerwcu bardzo trudnym, a w lipcu mogłaby powracająca ekspedycja znaleźć już na północy archipelagu Franciszka Józefa otwarte morze, jak Nansen w r. 1895.

Z powyższych uwag wynika więc, że do podróży saneczkowej pozostaje jedynie okres 3 miesięcy (marzec, kwiecień, maj), a w najlepszym razie 100 dni. Nasuwa się zatem pytanie, czy ekspedycja będzie w stanie odbyć w tym czasie drogę 1,800 km., t. j. robić dziennie po 18 km. i czy będzie mogła zabrać tyle zapasów, aby żywić się przez cały czas.

Gdyby lód podbiegunowy był równym i niespękanym, to przebycie 1,800 km. nawet w połowie tego czasu byłoby możliwem; ale grzbiety lodowe, rynny, młody lód, zawieje śnieżne, w czasie których o kilka kroków nic dojrzeć, a tem więcej podróżować niepodobna, w końcu prąd, unoszący lód na zachód, spowodowują tyle zwłok, że wielkość dziennej drogi jest wogóle nieobliczalną. Nansen robi niekiedy tylko po 2—3 km. dziennie, przeciętny marsz dzienny wynosi tylko 10 km. Cagni robi w roku 1900 przeciętnie tylko 13 km. na dzień, mimo, iż w niektórych dniach odbywał 46 km. marsze. Ale też żaden podróżnik nie wykonywał takiej Syzyfowej pracy, jak Cagni; od 1 do 7 czerwca dąży on ustawicznie na wschód, a po upływie tego czasu przekonuje się, że znajduje się na tem samym miejscu, co 1-go czerwca; prąd bowiem unosił go w przeciagu 24 godzin o tyle na zachód, o ile on się posunął przez dzień na wschód.

Wyprawa Cagniego i marsz Nansena dowodzą tedy, że trzymając się ściśle terminu, oznaczonego przez przyrodę, t. j. owych 100 dni, wyprawa może tylko przy nadzwyczaj pomyślnych warunkach (gładkie, wielkie płyty starego lodu, mało grzbietów, brak wielkich rynien, pogoda) liczyć na dotarcie do celu, czyli na przeciętne marsze dzienne po 18 km.

Termin 100-dniowy jest zarazem granicą możliwości ze względu na zapasy żywności, obciążenie sanek i siłę pociagową psów. A dodać musimy, że granicę tę osiągnąć można tylko przez zastosowanie nadzwyczajnych zarządzeń. Przypuśćmy, że grupa, złożona z 3 uczestników, chce odbyć podróż 100-dniową i że musi zabrać wszelkie zapasy dla ludzi i psów na przeciag tego czasu. Stan wyprawy wynosi: 3 ludzi, 3 sanki i 24 psy.

Gdybyśmy przyjęli, że racya dzienna żywności dla ludzi wynosi po 1,200 gr. wraz z opakowaniem, a dla psów po 400 gr., to wyprawa musi zabrać:

Dla 3 ludzi	300 racyj à 1,200 gr.	. 360 kg.
„ 24 psów	2,400 „ à 400 „	. 960 „
Worek do spania na 3 osoby	22 „
Namiot	15 „
„Primus“ z naczyniami do gotowania	8 „
Broń i amunicya	10 „
Instrumenta, apteka	10 „
Zapas nafty	45 „
Rezerwowe ubrania, bielizna etc.	36 „
Ciążar sanek po 20 kg.	60 „

Razem ciężar ładunku 1,626 kg.

czyli na każde sanki wypadłby ciężar 542 kg., co przenosi ciężar normalny o jakie 300 kg. Można by spróbować rozłożyć ciężar tych 3 sanek na 6, tak, że na każdego członka wyprawy wypadłoby do prowadzenia dwoje sanek, ale wtedy przybyłyby znowu 24 psy, dla których żywność wynosiłaby znów 960 kg., a więc otrzymalibyśmy w tym razie $\frac{1626 + 960 + 60}{6} = 441$ kg. na każde

ze 6-iu sanek. Pominąwszy już, że kierowanie dwoma sankami i 16-u psami przez jednego człowieka jest niesłychanie trudnem i opóźnia niezmiernie pochód, to ciężar 441 kg. na sanki jest niedopuszczalnym, a dalsze spekulacye z sankami i psami powiększyłyby tylko i tak już błędne koło.

Wyjście z tego labiryntu zawdzięczamy znów Nansenowi. Postanawia on, wyruszając w 100-dniową podróż, zabrać dla ludzi prowiant na 100 dni, dla psów zaś tylko na 30 dni, potem zaś zabijać je kolejno i mięsem ich żywić inne. Liczy, że tym sposobem będzie mógł podróżować dalszych 50 dni, czyli przez 80 dni z zaprzęgiem, a w ostatnich 20 dniach będzie ładunek tak lekki, że ludzie, t. j. on i Johansen, sami go uciągną. Nie wiedział tylko, czy psy będą chciały żreć mięso towarzyszy. Praktyka pokazała, że z początku wzdrygały się przed tego rodzaju pokarmem, potem żarły mięso w stanie zmarzniętym, w końcu pożerały je jeszcze ciepłe i ze sierścią.

Pomysł Nansena, jakkolwiek niezbyt ludzki, zastosowało później wielu podróżników, najobszerniej wyprawa ks. Abruzzów, która pod względem przygotowania i obmyślenia może każdej innej posłużyć za wzór. Doniosłą nowością, wprowadzoną przez ks. Abruzzów, było posuwanie się eszelonami. Nie mogąc, z powodu odmrożenia palców u lewej ręki, sam wziąć udziału w wyprawie saneczkowej do bieguna, wysłał on z przyłądka Fligely na wyspie arc. Rudolfa ekspedycję pod wodzą kapitana fregaty, U. Cagniego, złożoną z 9 ludzi, 12 sanek i 100 psów (pierwsza ekspedycja). Dzieliła się ona na 3 partye po 3 ludzi, 4 sanki i 32 psy (tylko 3 partya miała 36 psów). Pierwsze dwie partye miały być tylko pomocniczymi, trzecia właściwą wyprawą do bieguna. I tak:

Pierwsza partya miała iść 15 dni naprzód i żywić przez ten czas dwie inne ze swych zapasów. Miała więc zabrać

dla 9 ludzi na 15 dni	135 racyj
„ 3 „ z powrotem na 15 dni	45 „
razem	180 racyj.

Druga partya miała iść znowu 15 dni dalej i żywić siebie i trzecią. Po 30 dniach od wymarszu z wyspy arcyks. Rudolfa miała się wrócić. Zabrała więc

dla 6 ludzi na 15 dni	90 racyj
„ 3 „ z powrotem na 30 dni	90 „
razem	180 racyj.

Trzecia grupa miała dopiero 31 dnia zacząć spożywać swoje własne zapasy i posuwać się jeszcze przez 15 dni ku północy. Zabrała więc

dla 3 ludzi na 15 dni	45 racyj
„ 3 „ z powrotem na 45 dni	135 „
razem	180 racyj.

Sanki wszystkich grup były tak obciążone, że ciężar ich wynosił przeciętnie 280 kg. Podajemy ładunek trzeciej partyi:

Dla 3 ludzi na 60 dni	180 racyj po 1.8 kg.	316 kg.
„ 36 psów „ 35 „	1,260 „ „ 400 gr.	515 „
Worek do spania		32 „
Namiot		15 „
Nafta		25 „
Rezerwowe ubrania i bielizna		33 „
„Primus“ z naczyniami		7 „
Instrumenta i apteka		16.5 „
Broń i amunicja		8.3 „
Oskardy do rąbania lodu		6 „
Ciężar 4 sanek		80 „
2 kajaki po 25 kg.		50 „
Inne przedmioty		15 „
Razem		1,118.8 kg.

czyli ciężar pojedynczych sanek 280 kg., a więc przeciętny ciężar na jednego psa 31 kg. Dla ludzi była żywność tak sowiec wymierzona, że przy oszczędności można było z 60 racyj zrobić 80, czyli można było rozciągnąć podróż do 110 dni. Dla psów było żywności tylko na 35 dni, dalsze 25 dni spodziewano się opędzić mięsem zabitych psów, których liczba i tak w miarę zmniejszania się ładunku i pozostawiania próżnych sanek musiała doznać ograniczenia.

Mimo tak znakomych obliczeń, pierwsza ta wyprawa powróciła już po kilku dniach z dwóch względów: z powodu zbyt wielkich mrozów i zanadto ciężkiego ładunku. Musiano więc zmo-

dyfikować ciężar, a czas trwania wyprawy ograniczyć do 72 dni. Pojedyncze partye miały iść tylko po 12 dni, a ciężar sanek wynosił teraz tylko 200—220 kg.

A jednak powiodło się Cagniemu w 45 dniach, t. j. od 11 marca do 24 kwietnia 1900 r. przebyć tylko drogę 518 kn., t. j. 11.3 km. dziennie, czyli że gdyby się był posuwał dalej z tą samą szybkością, to byłby potrzebował jeszcze 35 dni, aby dotrzeć do bieguna, a więc razem 80 dni. Odwrót z pod bieguna rozpoczęły się w tym wypadku z końcem maja i to z wyczerpującymi się już środkami żywności. (Cagni miał wprawdzie tylko na 48 dni żywności w chwili kiedy odsyłał drugą grupę z powrotem, ale racje były tak obfite, jak w pierwszej podróży, mógł, zmniejszając je, podróżować jeszcze 72 dni, co z przebytymi poprzednio wynosiłoby 96 dni.) W tych warunkach powrót do okrętu byłby stanowczo niewykonalnym. Zawraca więc pod 86° 33' pn. szer.

Przekonany o próżności usiłowań dotarcia do bieguna przez archipelag Franciszka Józefa oświadcza się ks. Abruzzów za „rutą amerykańską,“ jako jedyną możliwą drogą, nie przeczuwając, że zdanie jego zamieni już w 9 lat później w czyn Amerykanin, R. Peary.

Technika podróży Pearyego różni się znacznie od praktykowanej we wschodniej połaci morza Lodowatego półn. Osiągnięcie bieguna uważa on za możliwe tylko etapami i to jedynie w towarzystwie Eskimosów. Od lat przeszło dwudziestu ponawia swe usiłowania i można śmiało powiedzieć, że wykształcił całe jedno pokolenie Eskimosów na podróżników podbiegunowych, podobnie jak to uczynił ze swym czarnym służącym, Hensonem.

Za typową uważać można wyprawę Pearyego z r. 1905/6.

W lecie 1905 r. przybywa na statku „Roosevelt“ do zatoki Melville i zabiera stąd aż do Etah wszystkie rodziny Eskimosów z psami i dobytkiem na pokład (50 ludzi, 200 psów). Podczas tych przenosin poluje drugi statek „Erik“ na morsy, których mięso ma służyć jako pemmikan dla psów. Peary usiłuje, jak zwykle, dotrzeć do północnego wybrzeża kraju Granta, co mu się udaje (okręt zamarza koło przylądka Sheridan). Zimując na statku, wysyła w głąb kraju Granta oddziały Eskimosów z bronią palną. Oddziały te pozostają przez całą zimę w okolicach bogatych w zwierzynę, polują i dowożą w czasie pełni księżyca zapasy świeżego mięsa z wołów piżmowych, renów, zajęcy i lisów do okrętu lub urządzają z nich składy żywności wzdłuż północnego wybrzeża aż do przylądka Hecla. Z końcem lutego 1906 r. wyrusza Peary z 5 białymi, Hensonem i 21 Eskimosami z przylądka

Hecla (83° półn. szer.) partyami w podróż. Tworzy wyprawę główną i kilka pobocznych oddziałów. Te ostatnie albo torują drogę innym i budują dla nich domy ze śniegu (iglu), albo ciągną zapasy żywności do pewnych, oznaczonych miejsc, a złożywszy je, powracają po nowe, albo mają dotrzeć wraz z Pearym do 86° półn. szer., żywić dotąd jego partyę a potem powrócić. W taki sposób miałby Peary o własnych siłach do przebycia tylko 11° geograficznych (1,221 km.).

Potężna rynną lodowa, którą spotkano pod 84° 38' półn. szer. unicestwiła plany Pearyego, bo przerwała łączność między oddziałami. Peary puszcza się wprawdzie z dwoma oddziałami w dalszą drogę, ale brak żywności zmusza go pod 87° 6' półn. szer. do odwrotu.

Tymczasowe sprawozdanie Pearyego z ostatniej podróży, która zawiodła go w r. 1909 aż do samego bieguna, nie daje dokładnego obrazu techniki tej wyprawy. To tylko pewna, że odbył ją etapami w towarzystwie białych, Hensona i Eskimosów i że ostatni oddział pomocniczy, pod wodzą kapitana Bartletta, dotarł aż do 88° półn. szer. Pozostawały Pearyemu do pokonania jeszcze tylko 2° geogr., które przebywa w 6 dniach (1—7 kwietnia 1909 r.). Długość dziennego marszu wynosiła zatem w tym czasie 37 km. dziennie. Bardzo to wiele, ale nie przekracza granic możliwości, zwłaszcza jeżeli zważymy, że temu samemu podróżnikowi powiodło się w r. 1902 odbyć po lodach drogę liczącą 540 km. w 12 dniach (45 km. dziennie).

Przebieg i wyniki ostatnich wypraw polarnych są zarazem etapami tryumfalnego pochodu wiedzy, zwycięskim zmaganiem się jej z przemożną a wrogą i złośliwą przyrodą. Nauka obmyśliła i złożyła w ręce człowieka tyle środków technicznych, że każda nowoczesna wyprawa może, wyruszając w drogę, powtórzyć z kapitanem Sverdrupem: „Wiedza zwyciężyła; mróz, skorbut i głód już nie dadzą się nam we znaki. Tak, nie waham się orzec, że podobne wypadki (zagłada wypraw Franklina i Greelyego) nie powinny się powtórzyć, a jeżeli mimo to się zdarzą—to winę poniesie tylko dowódca.“

PLAGA SAMOBÓJSTW.

Do najsmutniejszych objawów doby współczesnej niewątpliwie wypadnie zaliczyć samobójstwa, których liczba w Warszawie np. zwiększa się z rokiem każdym i w szybszym, niż przyrost ludności, tempie. Jeszcze w roku 1898 ilość wypadków tych nie sięgała setki; w r. 1909, więc po upływie lat z górą jedenastu, podskoczyła do 421, zatem w czwórnasób przeszło. Różnicy takiej niema, rzecz prosta, w przyroście mieszkańców za okres, o którym mowa. Nie mamy więc do czynienia z rodzajem wydarzeń, idących ręką w rękę ze zwykłą koleją rzeczy, jak coraz częstsze, dajmy na to, wypadki skaleczeń i ran zależnie od pomnożenia cyfry fabryk i maszyn, jak znaczniejsza ilość przejechań po puszczeniu w ruch tramwajów elektrycznych, wzrost nędzy i żebraniy ulicznej skutkiem imigracyi ze wsi i t. p. Do samobójstw stosować nie można rachuby takiej; wypadki te stały się dziś klęską, nawet w daleko szerszym zakresie, niż nożowictwo i bandytyzm; plagą, która nie szczędzi nikogo: trują się bowiem, wieszają i strzelają do siebie młodzi i starzy, nędzarze i ludzie zamożni, prostaczkowie i jednostki inteligentne, chrześcijanie i Żydzi.

Nie mam zamiaru omawiać w miejscu tem genezy faktu w jego całokształcie z moralnego, społecznego i dziejowego punktu widzenia. Rzecz taka wymagałaby napisania książki. Rodzaj tematu jednak wymaga, bądź co bądź, opracowania na skalę szerszą. Zatrważający wzrost samobójstw w mieście naszym obserwuję od lat szeregu, a praktyka ratownicza dała mi możność przyjrzeć się rzeczy zbliska. Z nagromadzonego przez okres dłuższy materiału można już wysnuć wnioski pewne; celem lep-

szego jednak zorientowania się w tragicznej sprawie, musimy, obok terażniejszości, uwzględnić przeszłość w najgrubszym bodaj zarysie, oraz, prócz statystyki miejscowej, przytoczyć dane z krajów innych.

I.

Starożytna sekta stoików uważała samobójstwo, jako rzecz całkiem usprawiedliwioną wśród okoliczności następujących:

1. Jeżeli skutkiem siły wyższej, bądź akcji ze strony innych ludzi, wolność osobista ulega ograniczeniu. Do kategorii tej Seneka zaliczał również zniedołężnienie, chorobę i prześladowanie przez tyranów;

2. Jeżeli człowiek dotknięty nędzą nie posiada środków najniezbędniejszych;

3. Kalectwo, cierpienie nieuleczalne i ból zbyt dotkliwy;

4. Tam, gdzie chodzi o przyśpieszenie zgonu i tak pewnego.

Samobójstwa „z miłości“ sekta ta nie uznawała zupełnie. Poglądów filozoficznej szkoły tej trzymało się wielu, ale i przedstoikami starożytni nie widzieli nic zdrożnego w targnięciu się na życie własne. Wśród przedstawicieli arystokracji rodu i ducha samobójstwo uchodziło za sport niemal, jak wiemy z historii. Lykurg, Empedokles, Demostenes, Temistokles, Petronius, Cato, Brutus, Cassius, Markus, Antonius Seneca, Neron należą do gromady tej, która rachunki z życiem kończyła krótko. W okresie upadku obyczajów i moralnego bankructwa porachunki takie były zjawiskiem nader częstym, więc w Grecyi—po wojnie Peloponezkiej, w Rzymie—za cesarstwa. Że modnem niemal było, nie brak dowodów. Tacyt, kończąc życiorys pontifeksa pewnego, zaznacza z naciskiem, że mąż ten zmarł śmiercią naturalną, na łożu, co „wobec tak wielkiej sławy nieboszczyka i wysokich dostojęństw jest rzeczą niezwykłą.“ Tenże Tacyt potępia w słowach surowych pewnego wodza Germanów za to, że, uwięzionym będąc, nie miał odwagi przerwać niewoli swej samobójstwem. Z najbliższych przyczyn pozbawiano się życia wówczas, nieraz wprost pod wpływem manii naśladowczej. Zastłyszawszy o śmierci Neron, przyjaciel tegoż „od kieliszka,“ Otho, przebił się mieczem również. „Ludzie schodzili się, całowali ręce i rany samobójcy, a ci, którzy do trupa nie mogli dotrzeć się, okrzykami i pieśniem hymnów sławili pamięć zmarłego. Wielu truło się i zabiło się na samą wieść o katastrofie powyższej, choć daleko mie-

szkali od Rzymu i obu osobników tych nigdy może nie widzieli na oczy.“¹⁾

Tak marnie ceniono życie, tak chwiejny grunt czuł człowiek pod stopami.

Pesymizmowi Hellady i Romy chrześcijaństwo dopiero zadało cios stanowczy. Chrześcijaństwo nadzieją życia przyszłego i szczęścia poza grobem podniosło ducha i od zwątpienia broniło skutecznie. Więc w wiekach średnich o samobójstwach nie słychać prawie zupełnie, aczkolwiek wiele było bodźców ku temu w ówczesnych polityczno-społecznych stosunkach. Istotę ludzką określa Kościół jako własność Boga, jako Jego stworzenie, które w życiu doczesnem kroczyć ma według wskazówek Stwórcy, w Nim pokładać nadzieję, w Nim widzieć cel ostateczny istnienia swego. Z tegoż założenia wychodził i filozof Plato, jedyny może w starożytności poważny przeciwnik samobójstw. „Człowiek—powiada—postawiony został na posterunku, z którego zejść nie wolno. Ponieważ bogowie opiekują się nami i my ludzie tworzymy część ich własności, nie mamy prawa odbierać sobie życia, jak nie ma prawa uczynić tego niewolnik bez wiedzy i zgody pana swojego.“²⁾

Widzimy więc z krótkiego zarysu powyższego, że na częstość lub rzadkość samobójstw wpływa, obok drugorzędnych czynników innych, przedewszystkiem stosunek człowieka do Istoty Najwyższej, innemi słowy, wiara w egzystencję Istoty tej, więc i spokojne zgadzanie się z wyrokami Tejże. Gdzie wiary takiej nie ma, pole do rozpacy, pośrednio do samobójstw, stoi otworem. Jakoż w okresie Reformacyi już znajdujemy znowu wzmianki o samobójstwach; w przebiegu Wielkiej Rewolucyi Francuskiej te ostatnie są już zjawiskiem częstym, dziś stały się faktem popolitym, zjawiskiem codziennem—w okresie zmateryalizowania pojęć, upadku ideałów i Wiary. Ale zjawisko to, jak wiele innych obecnie, nie jest przecie wyrazem postępu; sądzić tak może obserwator płytki jedynie; jest ono raczej krokiem wstecznym, reakcją, powrotem do przeszłości nader odległej, do czasów pogaństwa.

Z rozwojem wiedzy przyrodniczej i wyraźną przewagą jej nad rozważaniem zagadnień ducha, z nastaniem ery odkryć i wynalazków, w umysłach społeczeństw zapanował kierunek inny.

¹⁾ *Georg Grupp*. Kulturgeschichte der römischen Kaiserzeit.

²⁾ *Plato*. Rozprawa o Phaedonie.

Wiara w Opatrzność, w nieśmiertelność duszy, w nagrodę w życiu pozagrobowym zachwiała się, religia straciła siłę magnesu, która wywierała przez wieki swoisty wpływ na człowieka, szukającego prawdy i szczęścia. Powstali nowi głosiciele tejże, nowi prorocy: Darwin, Haeckel, Lassale, Marks i inni. Nihilizm i socjalizm wstrząsnął życiem społecznem w podstawach. I oto ludzkość stanęła na rozdrożu, waha się i nie wie, w którą zawrócić stronę; masy bezkrytyczne całą działalność swą skierowały ku osiągnięciu szczęścia materialnego na ziemi, t. j. pieniędzy.

Lecz masy te nie znalazły szczęścia, tak jak jednostki intelektualnie wyższe nie znajdują go w duchowej rozterce, pozorem krytycyzmu łudzącej jeno; nie znalazł go człowiek w przerafinowanej kulturze dzisiejszej i wynikających z tejże wygodach dla ciała. Wichura, szalejąca w mózgach, po wypędzeniu zeń myśli pogodnej, ciemnie materializmu i zwątpienia gotują tu do samobójstw grunt odpowiedni. Nie pomaga i coraz troskliwsza nad „wydziedziczonymi przez los“ opieka, ani zarobki coraz większe, ni prawa altruistycznym przesycone duchem, uwzględniające w szerokim zakresie potrzeby warstw pracujących. Niezadowolenie u góry i u dołu stwierdza się. I oto setki i tysiące kres mu kładą odrazu nagłym przecięciem pasma dni własnych, przenosząc śmierć ponad walkę, której duch czasu odjął nadzieję zwycięstwa.

Odpowiednio do wszechjętej w XVII stuleciu jeszcze, a w XVIII zarysowanej już wyraźnie ewolucji myśli ludzkiej w kierunku innym, poglądy na celowość i prawo do samobójstwa stopniowej ulegały zmianie. Zrazu głosy niepewne i nieśmiałe, a z nauką Kościoła na punkcie tym sprzeczne zasadniczo, ginęły niezrozumiane bez oddźwięku, stopniowo wzmagała się jednak moc ich przekonywająca. Apologii samobójstw już w ośmnastym wieku przestano wstydzić się i zapierać. We Francji Maupertuis, Monteskiusz, Voltaire i Rousseau, w Anglii poeta Gildon nie widzą w czynie tym nic zdroźnego; król pruski, jadowity Fryderyk II, nosi stale przy sobie flakon z jadem „na wypadek wszelki,“ Napoleon w r. 1814 zażywa opium (bezskutecznie); wysuwa je na plan widoczny Schiller w dramatach swych (Mortimer w tragedji „Marya Stuart,“ Franciszek Moor w trag. „Zbójcy“), u nas Mickiewicz („Konrad Wallenrod“), Słowacki („Mazepa“) i t. d. W czasach nowszych Schopenhauer twierdzi wprost, że „do niczego na świecie nie ma się praw tak bezspornych, jak do rozporządzania życiem własnem.“ W dziedzinie sztuki scenicznej samobójstwo dziś wysławia się jako czyn honorowy i rycerski, a przysłuchująca się utworowi publiczność nie widzi w tem nic złego, choć

autor dla ułatwienia sobie biegu akcji zgładzi ze świata za pomocą bądź trucizny, bądź kuli—dwie lub trzy osoby z dramatu. Poczucie nienaturalności i bezprawia w czynie takim zaciera się najwyraźniej. Prasa codzienna wypadki odnośnie rozgłasza skwapliwie, przytaczając niekiedy szczegóły najdrobniejsze. Niedawno piórem bardzo poważnem sławiono męstwo socyologa Gumpłowicza i jego małżonki—pary samobójczej i doświadczonej przez los straszliwie; jeszcze niedawniej, z racji wystawienia w Warszawie sztuki Maeterlinck'a („Anglawena i Selizeta“) też prasa zabrzmiała zgodnym chórem zachwytu w recenzjach swych. I nawet w „chrześcijańskiej“ par excellence prasie nie wyrzeczono nic, prócz słów uznania dla wspaniałego stylu i dramatycznej utworu potęgi. Na tezę nie powstał nikt, choć, zgodnie z treścią sztuki, Selizeta, żona prawa, odbiera sobie życie, by ukochanemu mężowi ułatwić (!) romans z kobietą drugą. Pomału dochodzimy więc do absurdu, do całkiem jawnego przyznania bezsilności swej wobec popędów.

I można twierdzić nawet, że w piśmiennictwie wszechświatowem mania samobójcza stała się decorum nieodzownem, celem spotęgowania wrażeń, że uzyskała prawo obywatelstwa, nie znosi konkurencyi — dotąd przynajmniej.

Pragnąc utrzymać się na gruncie możliwie bezstronnym, nie zbijam poglądów jednej strony, nie kruszę kopii—w obronie drugiej. Metoda taka zaprowadziłaby mnie zresztą zadaleko, a w każdym razie zniewoliła do rozszerzenia zbyt znacznego wymiarów pracy. Niepodobniestwem jest jednak powstrzymać się od podkreślenia nielogiczności zbytnio rażących, nad którymi przechodzi się zwykle do porządku dziennego. Otóż większość obrońców samobójstwa chce widzieć w czynie tym przedewszystkiem pierwiastek bohaterstwa. Jest i w tem część racji niewątpliwie. Bohaterem chętnie nazywam tego, który zabija się, by żywcem nie wpaść w ręce wroga i nie stać się z jego strony przedmiotem szyderstw, nie grać roli ofiary bezbronnej. Lecz ta lub ten, który odbiera sobie życie dlatego tylko, że zawiódł się lub zawiódła w rachubach swych, że mu się nie wiedzie, majątek stracił, czy wymarzonego szczęścia jakiegoś nie znalazł na ziemi, nie mówiąc już o samobójstwach z miłości, ten tchórzem raczej jest, nie umiejącym stawić czoła przeciwnościom losu. A takich właśnie samobójców i samobójczyń bywa najwięcej.

I dalej, jeśli w światopoglądzie swym trzymać się mamy wyłącznie tego, co głoszą nam prawa przyrody, a ten kierunek dzisiaj panuje właśnie, to dojść winniśmy do wniosków, nie uzna-

jących modnego stanu rzeczy, do potępienia samobójstw bezwzględnie. Przyroda wpoila przecie w każdy ustrój zwierzęcy, że życie jest skarbem najdroższym i każdy twór najprostszej organizacyi nawet przed śmiercią broni się, jak może, bądź szuka ratunku w ucieczce. I człowiek również odczuwa wstręt niepokonany do śmierci. Tonący brzytwy się chwytą—mówi przysłowie. Wojny stają się coraz rzadsze, w czem niechęć pójścia na rzeź odgrywa rolę główną. Samobójstwo jest zatem czynem, z naturą sprzecznym i wobec krytyki z przyrodniczego punktu widzenia nie może ostać się. Względów natury innej nie poruszam w tem miejscu.

II.

Z obliczeń Mayrs'a ¹⁾ wynika, jako w okresie pięcioletnim, t. j. od r. 1894 do 1898 włącznie ilość samobójstw w ważniejszych krajach Europy była następująca: w cesarstwie Niemieckiem rocznie, biorąc średnią z lat pięciu—10,876; w Austro-Węgrzech—6,588; w Szwajcaryi—685; we Francyi—9,395; w Belgii—807; w Danii—541; w Szwecyi—747; w Norwegii—126; w Anglii z Irlandyą—2,908; we Włoszech—1,912; w Hiszpanii—388 i w Rosyi bez Królestwa Polskiego—3,047. „Zważywszy niedostateczność wykazów—pisze Masaryk ²⁾—oraz samobójstwa, którym zdołano przeszkodzić w porę, można rzecz śmiało, iż rok rocznie w krajach Europy z górą 50,000 ludzi porywa się na swoje życie.“ Widzimy więc, że w ponurym tym wyścigu, po uwzględnieniu, rzecz prosta, różnic w gęstości zaludnienia, pierwsze miejsce zajęła Francya, na krańcu przeciwnym stanęła Norwegia. Dla członków towarzystw wstrzemięźliwości wynik zestawienia owego jest tryumfem nielada. Pijaństwo Francuzów—to rzecz znana powszechnie; poza tem proletaryusz i nieproletaryusz francuski, prócz zwykłych trunków upija się absyntem, czego nie czynią narodowości inne; w Norwegii natomiast, dzięki działalności rozumnej stowarzyszeń abstynencyjnych, używanie napojów wysokokowych maleje bez przerwy. Jak wielką zaś odgrywa rolę alkohol w masowem krzewieniu się plagi samobójstw, w sprawie tej powiem jeszcze słów kilka później.

¹⁾ Georg v. Mayrs: Handwörterbuch der Staatswissenschaften.

²⁾ Masaryk: Der Selbstmord als soziale Massenerscheinung der modernen Zivilisation.

Dla Królestwa Polskiego cyfr nie mam, lecz posiadam je dla Warszawy z ostatnich lat trzynastu. U nas w czasach dawniejszych samobójstwa zdarzały się wyjątkowo tylko, dziś częściej swą przybrały wręcz cechę klęski społecznej. Jeszcze w r. 1898 liczba ich nie sięgała setki; w r. 1899 podskoczyła nagle do 173, w r. 1900 do 175, w r. 1901 zmniejszyła się i spadła do 160. W r. 1902 naliczyłem w Warszawie, według prowadzonej przezemnie statystyki Pogotowia Ratunkowego, samobójstw 239, w roku 1903 — 208, w r. 1904 — 259, w r. 1905 — 277 i w r. 1906 — 299. W szybkim po pochyłości biegu Warszawa dogania prym trzymające w tym względzie, caeteris paribus rzecz prosta, stolice Francji i Niemiec. Jeżeli dla miast niemieckich stosunek ilościowy samobójstw do ogółu mieszkańców dochodzi do 4.5 na każde 10,000 głów ludności, to stosunek ten dla Warszawy już w r. 1907 stanowił 4.1 (samobójstw 315, ludności 768,000). W r. 1908 naliczono zamachów na życie własne 326. W r. 1909 otrzymano cyfrę jeszcze wyższą, bo 421, w tem 199 samobójców oraz 222 samobójczynie.

W Poznaniu na 130,000 mieszkańców w r. 1905 było samobójstw 27, t. j. z górą 2 na 10,000 ludności, w Gdańsku (160,000 mieszkańców) — 37, t. j. 2.3 na 10,000. W Królewcu (196,000 m.) — 59, t. j. 3 na 10,000 i we Wrocławiu (452,000 m.) — 170, t. j. 3.75 na 10,000 — według statystyki d-ra Rosta z Augsburga.

III.

Jakkolwiek wybór środka nie gra roli zbyt ważnej co do wyniku, z rodzajami samobójstw warto jednak zapoznać się celem lepszego poznania sprawy, o której mowa. Każdemu, oczywiście, kto zamyka rachunki z życiem, musi iść o to przedewszystkiem, aby rzecz ową załatwić możliwie prędko i w sposób najdogodniejszy. Nie brak też, jak miuiemam, momentów, godnych uwagi na punkcie tym i charakterystycznych wysoce.

Otóż środkiem, stosowanym najczęściej w Warszawie, jest trucizna. Z ogólnej liczby 421 wypadków, zanotowanych w roku ubiegłym, zażycie tejże stwierdzono w 350, przyczem 46 osób zmarło niebawem. Z trucizn przeważały ilościowo preparaty żrące: kwasy (karbolowy, siarczany, octowy i solny) i ług. W reszcie wypadków znajdowano otrucie morfiną, sublimatem (w pastylkach), kreozotem, cyankiem potasu, jodyną, spirytusem skażonym,

arszennikiem, makowcem (opium), nadmanganianem potasu i t. d. Trucizna jest ulubionym desperatek środkiem; w r. 1909 otruło się w Warszawie 188 kobiet, t. j. 85% niemal ogółu samobójczyń.

Następstwa owych czynów rozpacz są różne, na co składa się, zresztą, warunków wiele: moc roztworu, rodzaj trucizny, ilość przełknięta zależnie od stopnia determinacji ofiary, szybkość w zastosowaniu ratunku i t. p. Jeśli osobnik odbierający, sobie życie, połknie większą ilość karbolu, ługu, bądź esencji octowej, traci wówczas przytomność odrazu i umiera wkrótce; o ratunku skutecznym w tych razach nie może być mowy. Oprócz poparzeń ciężkich jamy ustnej, języka, gardzieli, przełyku i trzewów, czynnikiem przyspieszającym zgon bywa tu wstrząs nerwowy, który prowadzi rychło do porażenia serca. Innym znów razem ilość przyjętych środków żrących bywa mniejszą; pod wpływem bądź bólu, bądź powstającego nagle żalu za życiem, samobójczynie nie opróżniają całej zawartości flaszeczki, rzuca takową już po przełknięciu porcyi pierwszej i wzywa pomocy. Tu ocalenie życia staje się możliwem, o ile życiem nazwać można dalszą wegetację nędzną, skutkiem bowiem zaciągnięcia się blizną miejsc poparzonych w przełyku, tenże zwęza się nader wybitnie, połykanie pokarmów płynnych nawet staje się utrudnionem lub niemożliwem i poszkodowana ginie naówczas śmiercią głodową, o ile nie uratuje jej operacya (wytworzenie przetoki żołądkowej) i odżywianie przez sondę. Czasami znów otrucie ogranicza się na przyjęciu do ust jadu i natychmiastowem wypluciu tegoż; są to, rzecz prosta, wypadki, graniczące z symulacyą, a i te dały się zauważyć nieraz, zwłaszcza u kobiet. Wypadki udawania nie są jednak tak częste, jak mniemałby kto a priori, i rzekłbym nawet, że z roku na rok stają się coraz rzadszymi. W roku ubiegłym np. było ich bardzo mało, natomiast dużo wypadków otrucć ciężkich, przyczem 18 kobiet-samobójczyń umarło przed przybyciem lekarza.

Inne sposoby i środki, ku temuż służące celowi, statystyka notuje znacznie rzadziej, u nas przynajmniej. Na miejscu pierwszym, co do liczby, postawić wypadnie postrzały; w wykazie w roku 1909 było ich 29, t. j. około 6.75%. Ten rodzaj samobójstwa do niedawna objawiał się wśród mężczyzn wyłącznie niemal (a u wojskowych ten tylko); w ostatnich czasach dopiero za rewolwer chwytają i niewiasty również, składając i na ten polu dowody wyemancypowania się.

Trzecie z kolei miejsce zajmują wypadki wieszania się (15 w r. 1909), najstarszy, najprostszy i najtańszy sposób przenoszenia się do wieczności, przyczem nie chybiający celu nigdy pra-

wie. Ponieważ człowiek, który postanowił powiesić się, czyni to zazwyczaj w miejscu mało widocznem, gdzieś w piwnicy, na strychu, w komórce, najczęściej w nocy, ratunek bywa zwykle spóźnionym. I tu tak samo płęć męzka ilościowo przeważa znacznie, jak również w dorównywających częstością wypadkach użycia noża (poderżnięcie gardła, pchnięcie w brzuch i t. d.).

Kobiety natomiast daleko częściej od mężczyzn kończą rachunki z życiem za pomocą rzucenia się z wysokości (9 wypadków w r. 1909), t. j. wyskakując oknem z jednego, bądź kilku pięter na bruk uliczny. I utopienie się było dawniej ulubioną samobójczyń metodą; obecnie ten rodzaj samobójstwa w Warszawie notujemy rzadko i w roku zeszłym były zaledwie 2 wypadki takie.

Statystyka powyższa nie wyczerpuje bynajmniej obfitującego w pomysły zbioru dróg, metod i zabiegów, jakie stosują i stosowały całe zastępy desperatów u nas i gdzieindziej. W sprawie tej wypadnie dla całości obrazu powiedzieć również słów kilka.

W kazuistyce odnośnej, obok wypadków typowych, napotyka się nieraz fakty bardzo niezwykle, wyszukane, dziwaczne manipulacje samobójcze, zależnie bądź od warunków miejscowych, bądź indywidualnych cech desperata. Tu należą np. wypadki samospalenia się; o jednym z takich, dotyczącym uwięzionego anarchysty-Żyda słyszeliśmy niedawno. W jednej z kazuistik obcych czytamy o kucharce pewnej, która, rozsypawszy na podłodze węgle płonące, położyła się na nich i piekła żywcem. Wypadki oblewania się naftą i podpalania następnie jak również zagłodzenia się na śmierć stwierdza się, oczywiście, przedewszystkiem u waryatów, ale i ludzie zdrowi na umyśle nie gardzą czasem jedną lub drugą z metod powyższych; obserwowano wypadki, w których samobójca stawał się jednocześnie zbrodniarzem, podpalał dom i sam wraz z innymi ginął w płomieniach; spostrzegano nadzwyczajności takiego jeszcze rodzaju, jak wypadki zadławienia się, zasypania żywcem, zamrożenia, wysadzenia w powietrze, otrucia gazem świetlnym z niezakręconej rury naumyślnie i t. p.

Na wybór środka zabójczego nie pozostaje bez wpływu i zajęcie osobnika. Więc wojskowi rang wyższych odbierają sobie życie zawsze prawie wystrzałem z rewolweru, żołnierze prosi — kulą karabinową, przyczem za cyngiel poruszają nogą za pomocą sznurka (kilka wydarzeń takich widziałem w Warszawie), aptekarz truje się, praczka zażywa ługu, rzeźnik podrzyna sobie gardło, bo prawie nie rozstaje się z nożem.

Tradycja, przyzwyczajenie, rodzaj środowiska, warunki geograficzne, czynniki natury technicznej, grają też rolę pewną w tym

względzie. Paryżanie od lat niepamiętnych topią się w Sekwanie, gryzетки paryskie trują się czadem z piecyka; niefortunni gracze z Monte-Carlo, o ile nie kończą od kuli, skaczą w głębinsy morskie ze skały, Amerykanie palą do siebie z rewolwerów, posiadanie bowiem i noszenie broni przy sobie nie podlegało nigdy w Stanach Zjednoczonych ograniczeniom żadnym; Włosi, majstrzy od noża, tego też używają najczęściej, samobójcy szwajcarscy odbierają sobie życie, skacząc w przepaść lub topiąc się, gdyż kraj ich obfituje w góry i potoki górskie. Kobiety odbierają sobie życie dość często na grobach mężów swych lub kochanków; mieszkańcy, a zwłaszcza mieszkanki miast, trują się bardzo często na ulicy, w dzień biały, jakgdyby w ostatniej nawet chwili jeszcze pragnęły na się zwrócić uwagę; wieśniacy natomiast szukają zwykle w tym celu cichego kąta jakiegoś, wieszając się lub topiąc gdzieś na ustroniu, o truciznę bowiem daleko trudniej na wsi, niż w mieście.

Wypadki kojarzenia dwóch środków nie są rzadkością. Zdarza się to wówczas, gdy zrozpaczony pożąda śmierci za wszelką cenę i przed skutkami interwencji lekarskiej chciałby się zabezpieczyć jaknajlepiej. Tu więc należą sposoby takie, jak np. postrzelenie się na parapecie okna, by jednocześnie stąd spaść w próżnię, lub otwieranie sobie żył po nieudanym postrzale. Jeździłem do mężczyzny pewnego, który najsamprzód otruł się sublimatem, a potem zaraz z brauninga wystrzelił sobie w usta (pacyent wyzdrowiał); inny kolega ratował kupca jakiegoś z podciętem gardłem i postrzałem skroni.

Wpływ przyrody, klimatu, wahań atmosferycznych (pogody, burz i deszczu) na usposobienie i nastrój człowieka jest rzeczą znaną oddawna. Na ludzi kulturalnych wpływ ten jest mniejszy, bezwątpienia, niż na prostaczków, istnieje jednak. Uwydatnia się i w dziedzinie samobójstw, prosty rachunek bowiem wskazuje tu, jako latem powtarzania się tych wypadków dochodzą do maximum. Na drugim z kolei miejscu stoi wiosna, dalej jesień i później, wreszcie, zima, w ciągu której krzywa samobójstw opada najniżej. Objaw to stały, z matematyczną dokładnością niemal powtarzający się wszędzie. W mieście naszym przez szereg lat stwierdzałem zawsze to samo. Według obliczeń Rehfish'a ¹⁾, zawierających 180,000 przypadków odnośnych dla 10 państw Europy, w maju, czerwcu i lipcu odsetka samobójstw dochodzi do 32%,

¹⁾ Rehfish: Der Selbstmord.

gdy w ciągu miesięcy zimowych (grudzień, styczeń i luty) nie przewyższa 19.4%. Nie będę usiłował, drogą wywodów długich, tłumaczyć tego rodzaju stan rzeczy, gdyż ucierpiałaby na tem zwięzłość szkicu; poza tem przytaczane przez badaczy i psychologów motywy, obok drobiazgowości całej, kwestyi nie rozwiązały stanowczo. Fakt zależności człowieka od zjawisk natury jest ustalony, istota zależności tej—niezupełnie. Odczuwa ją instynktownie lud prosty i mówi o tem wyraźnie, wiążąc np. nagłe zerwanie się wichury z faktem powieszenia się. Natomiast wyjaśnić sobie można bez trudu liczebny stosunek samobójstw do dni w tygodniu. Obserwacya wskazuje, że ludzie ze sfer robotniczych godzą na życie własne najrzadziej w soboty; jest to dzień wypłat, rokujący użycie uciech niedzielnych. W niedziele wypadki już są częstsze pod wpływem libacyj, w poniedziałki — jeszcze częstsze, skutkiem przejścia od poezyi życia do prozy i wiążącego się z tak częstym przetrwonieniem pieniędzy—upadku ducha. We wtorki i środy cyfry rosną; działa tu niewątpliwie bieda i zgryzota, w czwartki sięgają punktu najwyższego, by w piątki zmniejszyć się. Tu krzepi już bowiem bliskość soboty i nadzieja spieniężenia zarobku. Kobiety rzadko kiedy w sobotę trują się, gdyż jest to dzień porządków w mieszkaniu, więc i głowa zajęta bywa czem innym; natomiast chętnie wybierają na dokonanie samobójstwa dzień niedzielny. Poza tem samobójstwa zdarzają się daleko częściej we dnie, niż w nocy. Dzień jasny, piękny i słoneczny działa podniecająco; noc ciszą niesie ze sobą i ukojenie, sen, wreszcie, w którym zapomina się o przejściach i cierpieniach.

IV.

Z różnic indywidualnych uważam za niezbędne omówić rzeczy następujące:

A) *Co do płci.* Warszawa jest jedynem chyba z większych miast Europy, w którym samobójczynie nad samobójcami górują liczbą stale. W r. 1904 targnęło się na życie własne mężczyzn 120, kobiet 139; w r. 1905 mężczyzn 127, kobiet 150; w r. 1906 mężczyzn 118, kobiet 181; w r. 1907 m. 122, k. 193; w r. 1908 m. 143, k. 183 i w r. 1909 m. 199, k. 222. Po uwzględnieniu, wprawdzie, danych z prowincyi, ilościowy stosunek ten uległby, sądzę, zmianie na rzecz osobników męzkich, tam bowiem o desperatkach słychać już mniej znacznie, lecz w każdym razie kraj nasz wyróżnia

się niezwykłą, jak na stosunki ogólne, odsetką samobójstw wśród płci niewieściej. Na całym świecie odsetka ta jest o wiele niższą od odsetki męskiej.

Genezę objawu tego tłumaczy się łatwo; trudniej już byłoby wyjaśnić zboczenie od zasady ogólnej, czego próbkę daje nam Warszawa. Obok wznagającego się ruchu emancypacyjnego wśród niewiast i garnięcia się tychże do pracy, t. j. do zarobków głównie, mężczyzna, biorąc na ogół, dźwiga wciąż jeszcze brzemię najcięższe w groźnej i coraz groźniejszej o byt walce. Już same prace przygotowawcze, sposobienie się do zawodowych czynności ściiera mu krzepkość wrodzoną i wyczerpuje nerwy; w karierze późniejszej uderza weń więcej jeszcze czynników ujemny wywołujących skutek aż do upadku energii ducha, do zużycia zapasu odporności. Nadto wchodzi tu w grę warunki fizyologiczne i duchowe. Charakter łagodniejszy, słabsza budowa ciała, bronią kobietę skuteczniej od nałogów zgubnych i nadużyć. Kobieta chętniej, niż mężczyzna, szuka pociechy, ostoji i hamulca w religii, chętniej czerpie w niej siłę moralną ku obronie przed szeregami pokus. „Ze we Francyi — pisze jeden z publicystów współczesnych — stwierdza się względnie wiele samobójstw wśród kobiet, winna tu przedewszystkiem emancypacja tychże na skalę wielką. Upadek wiary i moralności są to już, oczywiście, rzeczy następcze. Ostatecznie widzimy w kraju tym osobliwsze okazy jakiegoś półmężczyzny i niewiasty połowę. Do okazów tych wady i zdrożności płci obojga lgną szybko. A gdy brak im i cnoty kobiecej i inteligencji męskiej, muszą sprawiać „wrażenie.“ Ohydy te o głosie dyszkantowym pamiętamy dobrze z r. 1871 z czasów gospodarki komuny paryskiej.“

Ze statystyk wynika, że ilość odbierających sobie życie mężczyzn w różnych krajach przewyższa kilkakrotnie cyfrę samobójczyń. W Szwajcaryi 1 samobójstwo kobiece przypada na 6 prawie samobójstw męskich, w Belgii i Finlandyi 1 na 5, w Prusach, Bawaryi i Danii 1 na 4, we Włoszech 1 : 3.9, we Francyi i Austro-Węgrzech 1 : 3.8, w Rosyi 1 : 3.5 i w Anglii 1 : 3. W stolicach, gdzie płeć żeńska bierze udział większy w życiu społecznym i przemysłowym i samodzielna jest więcej, stosunek ilościowy wypada dla kobiet gorzej i waha się pomiędzy 1 : 2 bądź 1 : 2.5. Ustawiczny przyrost odsetki kobiecej w latach ostatnich stwierdza się wszędzie, dla Rosyi np. w stopniu bardzo znacznym, nigdzie jednak w żadnym z miast stołecznych Europy nie tworzy różnicy tak wybitnej, jak w Warszawie.

B) *Co do wieku.* Wykazy z różnych źródeł i różnych okresów brzmią na tym punkcie jednakowo prawie, a mianowicie: największa liczba samobójstw przypada na okres od 20 do 30 lat wieku; następnie idą lata od 15 do 20 i od 30 do 40. W latach późniejszych samobójstwo staje się wypadkiem coraz radszym.

Ostatnio objaw nowy i wielce dla ducha czasu swoisty naruszył tę matematyczną niemal jednostajność wzmagającą się bez przerwy plagą samobójstw wśród osobników w młodocianym wieku i wśród dzieci nawet. Wypadek taki, do niedawna rzecz arcy-wyjątkowa, dziś — dość pospolite zjawisko, zwłaszcza w miastach wielkich, notuje się równolegle obok nieustannego wzrostu zbrodni i przestępstw, dokonywanych przez indywidua małoletnie.

Nienaturalny objaw ten czerpie swe źródła bezwątpienia w całości warunków kultury dzisiejszej (szkoła, wychowanie domowe, układ społeczny), paczącej przyrodzone nawet własności jednostki ludzkiej. Młodość jest szczęściem przecie, nadzieją, uśmiechem i skądże tu, komu tu o samobójstwie mówić lub myśleć! Wiek dziecięcy, wiek marzeń, baśni i fantazyi, okres życia wolny od trosk i wysiłków szarej o byt walki, nie może i nie powinien mieć nic wspólnego z furiami rozpaczy. Jakoż — nie miał, dopóki normalnym biegł torem, dopóki z drogi prostej nie sprowadziły go innowacye z nerwowem przeprowadzone napięciem.

Wzrost liczbowy samobójstw u dzieci w krajach cywilizowanych słuszną, rzecz prosta, przejmuje obawą o przyszłość. Jeszcze w latach 1835 — 1844 liczono we Francyi 1 wypadek taki na 134 wśród dorosłych, a z osobników poniżej lat 14 zaledwie 1 na 990. W okresie od r. 1866 do 1875 stosunek dla tych ostatnich uwydatnia się już jak 1 : 342. W r. 1881, według obliczeń d-ra Périer'a, odbierało sobie życie 303 wyrostków i podlotków oraz 61 dzieci. W r. 1905 naliczono pierwszych 450, drugich 90. Pamiętać należy, że ludność Francyi oddawna już nie pomnaża się. „Skąd zmiana ta? woła w rozprawie swej lekarz francuzki. Czy rasa nasza uległa już zwyrodnieniu? Czy gubi ją postępek cywilizacyi, czy przeładowywanie pracą umysłową mózgow dziecięcych?“

Obraz ten sam prawie kreślą dla Anglii psychiatrzy Ireland i Shuttleworth, podkreślając z naciskiem, jako The Registrar General (urząd statystyczny główny) zmuszonym dziś widzi się otworzyć rubrykę specjalną dla samobójców od lat 5 do 10 wieku.

Morselli przytacza szereg danych dla innych miast i krajów. „W Petersburgu, czytamy w pracy tej, już od czasu dłuższego

samobójstwa wśród generacji młodej panują epidemicznie prawie, tworząc wysoką, nie napotykaną w żadnym z miast innych odsetkę (ok. 20%), uczniowie szkół, zakładów wojskowych, terminatorzy, subjekci, 14 bądź 15-letnie dziewczęta stanowią tu kontygens nader znaczny.“ Genezę widzi Morselli przede wszystkim w rozwiązłym, pozbawionym zasad wychowaniu współczesnym, w panujących naokół tendencyach nihilistycznych, w zbyt wczesnym „rozpoczynaniu życia,“ co pokolenie młode uważa dziś sobie za punkt honoru, za najlepszy dowód zerwania ze „światem wsteczności i pozbawionych sensu przesądów.“

A pedagog i psycholog holenderski, O. Bosma, ¹⁾ w znakomitem studyum swem pisze co następuje: „Wychowanie obecne nie uczy panowania nad sobą i nad zachczeniami, niemożliwemi do urzeczywistnienia z różnych przyczyn. W nowoczesnej pedagogice naszej nie wszystko jest doskonałym i niewymagającym krytyki. Duchem karności większej należałoby rządzić się w wychowaniu; modna dziś pobłażliwość bez granic w stosunku do dziecka stwarza jeno waryatki i niedołęgów.

„Dziś, gdy wiele tak deklamuje się o *prawach* dziecka, o *obowiązkach* ze strony tegoż nie mówi się nic zgoła. Nie twierdzą wcale, że należy być surowym i twardym w postępowaniu z dziećmi; ale należy posiadać ów takt, by z jednej strony nie zrażać dziecka do siebie, a z drugiej — pewnym być, iż polecenie wydane dziecku spełni bez krytyki i szemrania.

„Nauka Tołstoja i innych podobnych mu wielkich neurastyków na świecie wyhodowała złych bardzo uczniów, bo jakimkolwiek przekształceniom ulegną społeczeństwa, zawsze prawo do swobód u jednego pociągnie za sobą redukcję tychże u innych. Zasada *laissez-faire* w metodzie wychowawczej nie ma sensu. W skutkach metody takiej stwierdza się nerwowość i rozkapryszczenie stale rosnące, wyładowywanie energii na cele marne, wreszcie, samobójstwo dla głupstwa!“

Jako dodatek do uwag powyższych przytaczam zamieszczone w „Gońcu“ z d. 24 marca r. b. telegram następujący:

„Petersburg (wł.). Dzień każdy przynosi nowe wiadomości o wypadkach zabójstw i samobójstw wśród uczącej się młodzieży. Z Wolska, gub. saratowskiej, donoszą, że uczenica gimnazjum tamecznego zastrzeliła ucznia gimnazjum, a następnie wystrzałem z rewolweru odebrała sobie życie.“

¹⁾ O. Bosma. Nervöse Kinder. 1904.

Wśród warstw ludności biednej marne warunki życia, brak zdrowia, alkoholizm przedwczesny, zbyt krótki okres swobody dziecięcej, brutalność i złe obchodzenie się ze strony rodziców, mącą pogodę ducha latorośli młodej i podsuwają myśl o samobójstwie. W sferach zamożnych rezultat ten sam zależy od nadużyć materialnych, przesytu szybkiego, nadmiernej frekwencji teatru i zabaw, przy jednoczesnem zaniedbaniu kształcenia duszy i karygodnem niedbalstwie na punkcie budzenia instynktów szlachetnych. To znowu ogrom wymagań w szkole, ogrom odpowiedzialności oddziaływa na ustrój młodzieńczy denerwująco i prowadzi do neurastenii, zbroczeń w zakresie psychiki, pośrednio do samobójstwa. Obawa przed „obciążeniem się“ na egzaminie, upokorzenie ambicyi skutkiem niefortunnego zakończenia roku szkolnego, strach przed karą w domu, to ostatnie najczęściej, są to momenty przyczynowe nader ważne.

C) Wpływ życia rodzinnego. Jest rzeczą znaną i na powszechnem opartą doświadczeniu, jako pożycie małżeńskie wpływa najskuteczniej na zachowanie równowagi duchowej i zdrowia; wszak cyfrą małżeństw w kraju określa się dobrobyt i pomyślność społeczeństwa. Pośrednio więc małżeństwo broniłoby najlepiej i od manii samobójczej. Poza tem pewnikiem stało się, że niezamężne kobiety odbierają sobie życie częściej daleko od mężatek. Stąd hamujący ów wpływ pożycia rodzinnego co do katastrof, o których mowa, uwydatnia się przedewszystkiem na osobnikach płci niewieściej. Kto chce, może stąd wyciągnąć wniosek, iż kobieta przedewszystkiem w zamążpójściu widzi powołanie swe, gdyż za obrębem tegoż grozi jej niebezpieczeństwo, zdolne zachwiać ową równowagę ducha i logiczne stanu takiego wywoływać następstwa.

O ile też, dzięki warunkom przyjaznym, kobieta osiągnie cel swój główny w szczęśliwie dobranem małżeństwie, wówczas w granicach harmonii ducha na stałe utrzyma się i, zadowolona z losu swego w zasadzie, nie ulegnie tak łatwo w chwilach burz i katastrof życiowych, nie podda się porywom rozpaczy na ślepo. Na nieszczęście, to pomyślne do portu małżeńskiego dotarcie nie wszystkich staje się udziałem, bo, pominąwszy już szereg czynników innych (ubóstwo, brzydota fizyczna, los przesładowczy), należy mieć na względzie stałą na świecie przewagę liczebną kobiet nad mężczyznami. Pewnej ilości więc staropanieństwo grozi zawsze, a z niem—osamotnienie i pesymizm.

Pamiętam i do końca życia nie zapomnę, gdy w wypadku pewnym, po przybyciu pod adres wskazany, zastał trupa 30-let-

niej kobiety, która, w przystępie rozpaczy, otruła się karbolową esencją. Samobójczyni o sympatycznym, ujmującym wyrazie twarzy była szwaczką, utrzymując z profesji tej siebie i starą matkę swą, a że pracowała gorliwie i statecznym charakterem odznaczała się, więc mogła wiązać koniec z końcem, bez łask niczyich, bez stawania się komubądź ciężarem. Lecz lata bieły—w pracy i uczciwości — a w miarę wieku coraz starszego wznagało się uczucie osamotnienia, rosło brzemień tęsknoty, goryczą coraz większą poilo się serce młode wobec niezaspokojonych pożądań szczęścia i pragnień nieziszczalnych. I oto zaszedł jej drogę życia nędznik, który tkliwy umysł otumaniał odrazu, nadzieją szybkiego małżeństwa uspokoił przeczucia i obawy, uwiódł i porzucił, znikł w sam dzień wyznaczonego ślubu. Jak dziś pamiętam twarz zmarłej, na której zgnębienie, unicestwienie ducha malowało się wybitniej jeszcze, niż męka fizyczna. Obok matka-staruszka, złamana ciosem, cicho nad trupem córki i pociechy swej stała... bez jęku, bez łzy w oku, bo cios był nadto straszny dla płaczu!

Dziewczęta sfer ubogich, zmuszone pracować w fabrykach, sklepach, restauracjach, w służbie i t. p., tracą w ośrodkach owych to, co z moralności zdołały zabrać z domu. Kroniki wielkomięjskie uczą nas o tem najwyraźniej. Z psychologicznego punktu widzenia taki stan rzeczy wart raczej wyrazów współczucia, niż potępienia i pogardy. Pokusy są tu zbyt mocne, bieda zanadto dotkliwa, hart ducha niewyrobyony zupełnie. Sfera ta osób dostarcza właśnie samobójczyń najwięcej; sfera ta na obietnice, przysięgi i zapewnienia „łapie się“ najczęściej. Po katastrofie zażycie ługu czy esencji octowej staje się epilogiem prawie nieuniknionym.

V.

W szeregu motywów bezpośrednich, które przytacza się ku wyjaśnieniu faktu samobójstwa, czytamy bądź słyszymy nieraz o rzeczach takich, jak cierpienie nieuleczalne, brak zarobku, obawa przed odpowiedzialnością i t. d. Z pozoru—rzecz skończona. Ktoś np. chorował na raka; wiedział, że ratunku niema, męczył się, więc palnął sobie w łeb, bądź powiesił się dla skrócenia męczarni. Tak samo ktoś inny otruł się, wpadłszy w nędzę. Ale gdy rzecz zechcemy rozważyć ściślej, występują tu zaraz punkty ciemne i niedomówienia, których nam ów przytoczony motyw bez-

pośredni nie tłómaczy bynajmniej. Ciężkie, nieuleczalne choroby przechodzi wielu, walka z biedą aż nadto pospolitem bywa zjawiskiem, a jednak olbrzymia większość owych pasierbów losu nie kończy przecie samobójstwem; cierpi, walczy i żyje. Widzimy więc, iż żaden z motywów tych i im podobnych nie może być, w gruncie rzeczy, uważany za causa suicidii, że działać tu musi jeszcze psychiczny czynnik jakiś.

Za czynnik taki uważać należy przedewszystkiem charakter osobnika danego. Nie wszyscy posiadają w równym stopniu odporność na wpływy ujemne wzruszeń, zgryzot i przygnębienia; różni na bodźce te reagują różnie, względnie do temperamentu swojego, siły woli i większej lub mniejszej w charakterze domieszki filozofii. Jasnym jest, że na tle tak różnorodnem ten sam czynnik wywołujący prowadzić może do następstw całkiem odmiennych; więc, dajmy na to, jeden z uczniów, po otrzymaniu cenzury złej, pójdzie na spacer, a wieczorem do teatru, drugi będzie się martwił przez godzin lub dni kilka, trzeci przysiedzi ławdów przy książce, by zły stopień powetować w przyszłości, a czwarty—życie sobie odbierze. W danym przykładzie bodziec jest ten sam wszędzie: zła cenzura, ewentualnie niedostanie promocyi, oddziaływanie zaś różne odpowiednio do stopnia wrażliwości i panowania nad sobą. Im temperament wrażliwszy, tem podrażnienie, w zasadzie jednakowe, oddziaływa mocniej; im słabszą wola osobnika, tem znaczniejsze w duchowej równowadze tegoż bodziec ów czyni spustoszenia. Ta zależność od stopnia napięcia i upadku ducha wytlómaczy nam teraz łatwo spostrzeganą od dawna łączność pomiędzy wypadkami samobójstw i alkoholizmem, do czego zmierzam właśnie; wiadomo bowiem, że wyskok zrazu zwiększa emocyę i pobudliwość ad maximum, potem zaś upośledza odporność człowieka lub unicestwia ją nawet całkowicie.

A nie wynika stąd wcale, by każdy pozbawiający się życia nałogowcem musiał być przedtem koniecznie. Naprzykład: osobnik dany cierpi na nieuleczalną sprawę chorobową, ma dosyć męczarni, więc postanawia kres położyć życiu. To pierwsza połowa rzeczy: postanowienie—wynik rozumowań na chłodno, spokojnie. Desperat nie jest alkoholikiem i nie pod wpływem alkoholu powziął swą decyzyę. Teraz następuje połowa druga, trudniejsza—wykonanie zamiaru. Choremu na razie zbrakło odwagi. I oto dwa czynniki zaczynają walczyć ze sobą, dwie obawy: obawa przed życiem dalszem, wikłanem przez ból i cierpienia, i lęk przed nagle m.vegetacyi takiej przerwaniem. Ku czemu potrzeba męstwa więcej? Oczywiście, ku dalszemu z cierpieniem pasowaniu

się, bez nadziei, bez ściślej określonego kresu. Chęć przyspieszenia tegoż jest potężną, zamiana jednak tej chęci w czyn wymaga gwałtownego napięcia energii, którą hamują względy natury rodzinnej, religijnej niekiedy, strach przed objęciami nirwany i t. d. W tym stanie rzeczy osobnik ucieka się właśnie do wysokości, pije dla nabrania odwagi, t. j. podnieca się tak dalece, że czynniki powstrzymujące muszą ustąpić i zejść na plan drugi. Samobójstwo zostaje spełnionem.

W wypadkach tego rodzaju nie mamy prawa właściwie zaliczać samobójcy do rzędu pijaków, a jednak niewątpliwie alkohol stał się tu głównym samobójstwa sprawcą, był bowiem środkiem tym, za którego pomocą czyn rozpaczliwy doprowadzono do skutku. Alkohol odegrał tu naprawdę rolę ważniejszą, niż samo narzędzie, śmierć przynoszące: rewolwer, stryżek czy trucizna. O działaniu spirytualij wprost nie ma co nawet zbyt długo rozwozić się; jest bowiem rzeczą, jak świat starą, odbieranie sobie życia po uprzedniej majątku i zdrowia ruinie doszczętej — dzięki pijaństwu.

Lecz i doprowadzenie aż do ruiny nie jest warunkiem niezbędnym. Prof. Heller (z Kiel), który dokonywał sekcji zwłok 300 samobójców, znalazł u 143, więc w 47.6%, w narządach wewnętrznych zmiany, właściwe przewlekłemu zatruciu przez wyskok i tłomaczy znaną częstość wypadków tych w okresie od lat 20 do 30 wieku najryzykowniejszem właśnie pijaństwem w latach tych. ¹⁾

¹⁾ Jak ściśły, zresztą, zachodzi związek między alkoholizmem i zwiększeniem się odsetki samobójstw, widać z wykazu, który przytaczam poniżej:

Od r. 1880—90 wyno- siło w	Spożycie wódki na głową (w litrach)	Liczba samobójstw w stosunku do miliona ludności
Danii	6.2	257
Szwajcaryi.	3.2	220
Francyi	3.8	210
Niemczech	4.4	207
Austro-Węgrzech . .	4.3	163
Belgii.	4.4	114
Szwecyi	3.2	107
W. Brytanii	2.7	78
Norwegii	1.8	66

Na uwagę zasługuje też zestawienie pozycyjn następujących:

VI.

Omawiając genezę samobójstw w rozdziałach poprzednich, miałem na uwadze przede wszystkim wpływ przyczyn ogólnych, które, zwyrodniając ducha, bądź ciało jednostki, czynią z niej materyał ku owym czynom rozpaczcy nader podatny. Niezależnie jednak od szeregu warunków ogólnych uwzględnić wypadnie wpływy bezpośrednie, ową kroplę przepelniającą kielich goryczy, bodziec skuteczny na przygotowanym zdawna podłożu. Z góry zastrzegam się, że w dziedzinie tej statystyka błądzi po omacku, w wielu bowiem wypadkach samobójca motywy czynu swego zabiera wraz z sobą do grobu; więc sądzi się o nich z pewnych okoliczności jedynie, bądź z wydarzeń, zgon poprzedzających. Że w warunkach takich motyw właściwy na domysłach opiera się tylko, jest oczywistem.

Motywy te brzmią różnie: bankructwo finansowe, hazard, sprzeniewierzenia, nędza, troska o byt, o jutro niepewne, nieuleczalne cierpienia fizyczne, melancholia, przejścia rodzinne, strata ukochanej osoby, zawód miłosny, zniesławienie, prostytutucya, strach przed karą, obrażona ambicya i t. p.

Po za tem wiemy przecie, jako życie człowieka tworzy tak gęstą plecionkę strapiień i przeciwności, iż niepodobna dosłyszeć wszystkich westchnień i jęków, odczuć momentów wszystkich

Francya w latach	Spożycie wódki na głowę (w litrach)	Liczba samobójstw w stosunku do miliona ludności
1830	1.12	54
1850	1.46	100
1860	2.27	111
1870	2.32	111
1880	3.64	179
1885	3.85	203
Norwegia w latach		
1831—40	8	103
1850—54	3.2	107
1860—64	2.2	86
1871—75	2.8	70
1881—85	1.7	67
1886—90	1.5	66

w walce tajemnej pomiędzy przywiązaniem do życia, a znużeniem męką życiową i zedrzeć zasłonę z obrazu dręczących głębie ducha katuszy. To, co podają wykazy, oparte przeważnie na pozostawionych notatkach przedśmiertnych, jest tylko częścią prawdy. A jednak już część ta odsłania nam ponure tło obecnych warunków bytu społecznego. Widzimy, jak nieokiełznane namiętności, rozterka duchowa i skarłowacenie fizyczne stanowią czynnik główny, popychający do zakończenia tragedią dni życia zwichniętego; widzimy, jak sama „materya“ tylko, bez współdziałania szlachetnych pierwiastków ducha, nie da szczęścia; jak gorączkowe, bezmyślne, niegodne człowieka uganiecie się za groszem i użyciem, nie zaspokoi; przeciwnie, do przesytu jeno prowadzi i rozpaczy.

Skoro więc niepodobna znaleźć się w chwili właściwej u boku tych ludzi nieszczęśliwych i dłoń zabójczą powstrzymać, gdy z pesymizmem pokoleń współczesnych walka nie daje szans, starajmy się, żeby choć wnuki nasze z naleciałości tej umiały otrząsnąć się doszczętnie.

A zło, które dziś ludzkość trapi, usiłujmy ograniczać możliwie, pamiętając, że w zwalczaniu nadmiernego materializmu pojęć, w uproszczeniu skomplikowanych warunków życia, w dostosowywaniu się do wymagań higieny społecznej, skuteczniej walczyć można z pustką w duszy, — z tą pustką właśnie, która do rozpaczy prowadzi najczęściej.

D-R KAZIMIERZ NIEDZIELSKI.

UWAGI

o Muzeum Warszawskiem.

Dwa są sposoby oceniania dzieł sztuki. Pierwszy z nich, najczęściej stosowany, polega na wartościowaniu ich artystycznym, na ocenianiu i wskazywaniu ich piękna, na budowaniu syntetycznym postaci artysty na zasadzie dzieł pozostawionych. Ale ażeby pracę tę umożliwić *historykowi sztuki* musi przedewszystkiem *krytyk sztuki* ustalić z pod czyjego pędzla lub dłuta wyszło dzieło, musi dać mu nienaganny i niewątpliwy *état civil*, zanim zostanie ono włączone w charakterystykę poszczególnego twórcy lub rozwojowego szeregu, zanim wejdzie jako pewny materiał do historii i teorii sztuki. Nie każdy bowiem obraz ma paszport, niezbitcie jego pochodzenie stwierdzający, i ojcostwa ogromnej większości dopiero doszukiwać się należy. Czyni się to za pomocą tak nazwanej krytycznej analizy, czyli analizy stylu.

Istnieją bowiem niezliczone możliwości widzenia i ujęcia tego samego przedmiotu. Sposób kładzenia farb, prowadzenia linii, skala barw i światła są dla każdego twórczego artysty odrębne, jemu tylko właściwe. A z tych pierwiastków budują się całości wciąż nowe. Więc np. organiczne kształty—rośliny czy ciało ludzkie—każdy kraj, każda generacya, każda indywidualność różnicuje je i odtwarza inaczej: inaczej Flamand niżli Włoch, inaczej artysta renesansowy niż gotycki, inaczej Botticelli niż Verrocchio. Mając przed sobą rękę ludzką lub liść drzewny możemy, analizując coraz dalej, określić i miejsce ich powstania, i czas, i szkołę, i indywidualność artysty wreszcie.

Dawniejsi badacze przy określaniu autorstwa opierali się głównie na ogólnym charakterze obrazu, na tych nawet dla laików

uchwytnych różnicach kompozycyi i skali barw, któremi się wyodrębniają dzieła Tycyana np. od dzieł Lionarda da Vinci lub Tintoretta. Ale takie określanie, oparte na wrażeniu prawie wyłącznie, zbyt często okazywało się zawodnem. I oto w ósmym dziesiątku lat wieku ubiegłego powstaje z Giovannim Morellim nowa metoda badania, która, nie odrzucając dawniejszych kryteriów, uzupełnia badanie drobiazgową analizą szczegółów. Wistocie każdy artysta odrębność swą zachowuje nietylko w komponowaniu czy dobieraniu skali barwnej, ale i w tak drobnych rzeczach, jak modelowanie palców u rąk, malowanie włosów lub układ fałd. Głównie nad formą ucha i zakończeniami palców zastanawia się Morelli w swych słynnych studyach, w których najsurowszej krytyce poddał atrybucye muzeów: berlińskiego, drezdeńskiego, monachijskiego i galerji Doria-Panfili i Borghese w Rzymie, a doszedł do rezultatów wprost zdumiewających. Zatrzymywanie uwagi na szczegółach ma bowiem poza tą wielką zaletą, że daje zupełnie ścisłą realną podstawę do badań naukowych i tę jeszcze drugą, że dzięki niemu rozróżnić można dzieła mistrza od dzieł pod wpływem jego powstałych, oryginały od kopij. Bo epigon, kopista, czy fałszerz może naśladować kompozycyę, może do złudzenia naśladować koloryt, ale w modelowaniu paznogcia, czy w rzuceniu fałdy odezwie się jego natura własna i przyłapać go będzie można. Typową w tej mierze jest historia dwóch Holbeinowskich madonn, drezdeńskiej i darmsztackiej, z których pierwsza przez wieki całe za oryginał uchodziła i jedynie pod skalpelem analizy w duchu Morellego zdemaskowaną została jako kopia, z wieku XVII pochodząca.

Tej też metody i my w naszej pracy się trzymaliśmy i dlatego unikaliliśmy troskliwie wszelkich fioritur stylowych i uniesień nad pięknnością obrazów, lecz jedynie czysto rzeczowo staraliśmy się atrybucyę naszą uzasadniać. I dlatego studyum nasze winno być traktowane przedewszystkiem, jako aneks do katalogu Muzeum warszawskiego i właściwego życia nabierze, gdy się je skronfrontuje z obrazami, o których piszemy. Praca nasza jest pierwszą tego rodzaju o Muzeum warszawskiem, a właściwie drugą, bo takąż sama poprzedziła ułożenie katalogu. Nie myślimy ani na chwilę podawać w wątpliwość tej pracy i wiedzy specjalnej, które w redagowanie katalogu włożone zostały. I wdzięczność należy się prof. Welońskiemu za ten katalog. Rozumiemy, że w wielu wypadkach musiał się on trzymać tradycyi, dopóki ta nie została lub nie zostanie zbita dowodami. Katalog jest zawsze tylko podstawą i punktem wyjścia dla dalszej pracy krytycznej

i dla wszechstronnej dyskusyi. Każde wydanie katalogu musi być wskaźnikiem stanu znajomości danych zbiorów, wyciągnięciem sumy z dotychczasowej koło nich roboty krytycznej.

Tak jest na całym świecie. Dopiero Morelli wykrył w Dreźnie, że za dzieło kopisty uchodząca Wenera jest przepięknym oryginałem Giorgione'a; portret księcia del Borro, dziś Włochowi nieznanemu przypisany, do ostatnich lat figurował w katalogu berlińskiego muzeum jako Velazquez, a słynne historye dwóch fałszywych Lionardów z tegoż muzeum, Wniebowstąpienia i Flory, zbyt są znane, by je trzeba było przypominać.

Pracowaliśmy w niełatwych warunkach. Nie mieliśmy w ręku żadnych dokumentów, źródeł, ni literackich kwalifikacyj obrazów, nie znaleźliśmy racyj, któremi się kierowali autorowie katalogu przy atrybuowaniu, wobec czego każda atrybucya była dla nas kwestyjną. Poza tem rozporządzaliśmy nader szczupłym materiałem porównawczym, który trzeba było wciąż uzupełniać wspomnieniami. Ale jeżeli choć część naszych krytyk i atrybucyj okaże się słuszną (wszak *errare humanum est*), a część przynajmniej zachęci do bliższego oświetlenia tych ciekawych, a dla nas drogich warszawskich zbiorów, to uznamy, że praca nasza nie poszła na marne.

Trzymając się porządku katalogu, rozpoczniemy nasze uwagi od dzieł szkoły flamandzkiej.

Szkoła flamandzka. № 1. Nazywając ten tryptyk imieniem Rogera van der Weyden, nie omylił się katalog co do miejsca i czasu jego powstania; indywidualnych cech Rogera brak jednak naszemu tryptykowi stanowczo. Co obraz warszawski przede wszystkim cechuje, to uparcie razy kilkanaście powtarzający się typ twarzy szerokiej, krótkiej, prawie kwadratowej, o płaskiej, gładkiej modelacyi, o długim nosie i wybitnie skośnych oczach. Tego typu u Rogera się nie znajdzie. Przytem indywidualizacya i dyferencyacya typów u Rogera posunięte są znacznie dalej. Mamy tu do czynienia prawdopodobnie z jednym z jego współczesnych; być nawet może, iż obraz warszawski ukaże nam nową indywidualność ze wczesnej brabanckiej szkoły malarskiej. Stan badań nad tą szkołą bynajmniej nie wyklucza możliwości tego rodzaju nowych zjawisk. (Podobny wypadek poznany przy tryptyku z Madonną, oznaczonym w warszawskim katalogu № 2). Do charakterystyki autora warszawskiego tryptyku dodamy jeszcze: sposób malowania drzew raczej rysowniczy, liść po liściu oddzielnymi dotknięciami pędzla znaczący, mistrzostwo w traktowaniu materyi (vide kobieta w głównym obrazie na prawo), w któ-

rem tylko mistrz z Flémalles mu dorównywa, gładką, jakby woskową modelacyę nóg Chrystusowych, wreszcie ich koloryt żółtawy z sinyimi refleksami. Natomiast kompozycya obrazu i krajobrazowe tło niczem indywidualnem się od innych współczesnych brabanckich obrazów nie odróżniają.

№ 2. Stoimy przed perłą warszawskich zbiorów, stanowiącą prawdziwą rzadkość zarówno artystyczną, jak ikonograficzną. W granatowe, stylizowane chmury spowita stoi długa, gotycka jeszcze postać Matki Boskiej z długimi miedzianymi włosami, w białym i granatowym gwiazdami nabijanym płaszczu. Nad nią, na wyłaniającem się z chmur złotem tle, Bóg-Ojciec, a dookoła, w fantastycznej przestrzenności przeróżne mistyczne insygnia, odpowiadające inwokacyom starych łacińskich litanij. Więc tu wyłania się widok miasta—*civitas Dei*, dalej brama obronna—*porta coeli*, tam róża, tu cedr—*cedrus epaltata*, tam ogródek w zagrodzie—*ortus candidus*, dalej lilium *inter spinas*—lilia między cierńiami; tam fontanna zdobiona jakby ręką gotyckich złotników, tu lustro—*speculum sine macula*. Przy każdym symbolu napis w złotych gotyckich literach.

Atrybucya tego tryptyku Quentin-Matsysowi nie opiera się na żadnych rzeczowych danych. Czyżby napisy łacińskie kazały przypisać obraz autorowi, który wniósł do malarstwa flamandzkiego ducha Odrodzenia, ale przecież one są echem mistycznego średniowiecza, a nie głosem renesansu. Widok Rzymu (*civitas Dei*) bezwątpienia nie opiera się ani na bezpośredniej, ani nawet pośredniej znajomości wiecznego miasta, i niczem się nie odróżnia od tych kompleksów architektonicznych, które tak często zdobią krajobrazowe tła starych flamandzkich obrazów (cf. № 1, przypisywany Rogerowi van der Weyden). Prosimy też porównać budowę głowy na Quentinowskich obrazach i u warszawskiej Madonny, porównać modelacyę twarzy u Quentina z tym istnym cudem modelacyi, jaki mamy przed sobą. A i ten gotycki wyraz pokory, malujący się na twarzy Madonny warszawskiej na wcześniejsze jej pochodzenie wskazuje.

Pozytywna atrybucya obrazu nie jest łatwą. Wyjątkową jest kompozycya, wyjątkowem modelowanie rudawymi cieniami i typ głowy, wyjątkowymi piękne miedziane włosy. Że mamy do czynienia z flamandzkim mistrzem, tego dowodzą krajobrazy na skrzydłach obrazu, wykazujące Eyckowskie tradycje: gęste korony drzew, plastyczne w ujęciu, wypracowane w każdym oddzielnym liściu, o świecącej ciennej zieleni. (Portrety ofiarodawców na skrzydłach pomieszczone, zbyt są przemalowane, by przy atry-

bucyi mogły w grę wchodzić). Osobiście jesteśmy skłonni do przypuszczenia, że autorem tego tryptyku jest Petrus Cristus. Opieramy się przy tej atrybucyi na sposobie modelowania twarzy Madonny,¹⁾ a także na traktowaniu krajobrazu, roślin, przedmiotów metalowych. Również czas, w którym tryptyk nasz powstać musiał, odpowiada dokładnie epoce działalności Cristusa. Dziwnem jest jednak, skąd rudymenta złotego tła, skąd to ujęcie tematu, to mistyczne tchnienie u malarza, który bardziej jeszcze od współczesnych sprowadzał sakralne dzieje do ram mieszczańskiego bytowania. Bogatszy materiał reprodukcyjny pozwoli dopiero badaczom rozstrzygnąć tę sporną kwestyę. O ileby nasza hipoteza okazała się niesłuszną, to trzeba będzie przyjąć, podobnie jak przy № 1, że mamy do czynienia z nieznaną jeszcze, a raczej niezidentyfikowaną i identycznym imieniem ochrzczonej indywidualnością artystyczną. Być może nawet, że mamy tu przed sobą główne dzieło niderlandzkiego malarza i że kiedyś o „mistrzu warszawskiego ołtarza“ mówić się będzie.

№ 3. Jako numer trzeci katalogu figuruje głowa (fragment) Jana van Eyck. Atrybucya to bardzo tentująca, gdyż van-Eyckowski oryginał mógłby być chlubą naszej galeryi, ale, niestety, zupełnie nieusprawiedliwiona. Bezwątpienia, obraz ten przypomina van-Eycki; typem głowa ta jest nawet zbliżoną do św. Jana z ołtarza gandawskiego, malowanego przez Huberta van Eycka, a więcej jeszcze do wysłodzonej kopii tegoż św. Jana, malowanej przez Michała Coxie, ale na tem koniec. Nie van-Eyckowskiem jest traktowanie włosów i brody, u mistrza zawsze spadających lokami, tu zaś wygładzonych. Różni się także nasz obraz od prawdziwych van Eycków sposobem traktowania draperyi: na autentycznych dziełach ufałdowania są najzupełniej logicznie umotywowane, podczas kiedy rękaw na warszawskim obrazie fałduje się zupełnie dowolnie, wskazując swym zmanierowanym układem na to, że malować go musiał epigon Eyckowskich tradycyj. Zresztą podniesione ramię jest wykręcone tak dziwnie, jak gdyby było w stawie wywichnięte, na coby również van Eyck nigdy sobie nie pozwolił. Innymi są też kolory na obrazie warszawskim, niż na obrazach van Eycka i na późniejsze pochodzenie wskazują. Nareszcie na warszawskim obrazie są już renesansowe ornamenty architektoniczne, których van Eyck, gotycki artysta, nie znał i nigdy na obrazach swych nie umieszczał.

¹⁾ Cf. Legendę św. Eligiusza z oppenbeimowskich zbiorów w Kolonii.

Wniosek więc należy wyciągnąć niechybny, że obraz warszawski nie jest pędzla samego van Eycka, lecz jednego z jego epigonów. Gdy zaś będziemy się starali o pozytywną atrybucję, to przyjdzie nam wyłączyć flamandzkich uczniów van Eycka ze względu na koloryt obrazu, który w niczem flamandzkich malarzy nie przypomina, szczególnie zaś decydującym w tej mierze będzie kolor rękawa. Jest jednak druga prowincya artystyczna, do której przeszły van-Eyckowskie wpływy — Burgundya, przez cały XIV i XV w. artystyczna wasalka Flandryi, Burgundya, której rzeźbiarzy zapłodnił Flaman, Claus Sluter, a malarzy Flamandzi Eyckowie. I dlatego wydaje nam się, że należy № 3 katalogu przeatrybuować w sposób następujący:

Niewiadomy mistrz burgundzki (koniec XV lub początek XVI w.).

№ 9. Numer dziewiąty podany jest jako obraz szkoły flamandzkiej z początków XVI w. Epoka oznaczoną jest prawidłowo, o czem świadczy choćby renesansowa architektura, ale Flamanem autor naszego obrazu nie był. Wskazuje na to przede wszystkim skala barwna, zupełnie od flamandzkiej odmienna, różne od flamandzkich kostiumy i nie flamandzkie typy (że zwrócimy uwagę choćby na czerwono ubranego mężczyznę w wysokim kapeluszu z prawej strony obrazu, który przypomina raczej krakowskiego mieszczanina). Nie spotykamy też na flamandzkich obrazach ruchów takich, w jakim jest uchwycony np. król murzyński i typem zupełnie od flamandzkich Baltazarów odmienny. Nareszcie sam dosyć płaski sposób modelowania, suchość rysunku i przesadność pewna w uwydatnianiu kształtów, pewna groteskowość linii nóg wskazują najwyraźniej na niemieckie obrazu naszego pochodzenie. Możemy nawet dać mu zupełnie pozytywną atrybucję. Stylem bowiem obraz warszawski najbardziej przypomina obrazy południowych Niemiec z pierwszych początków renesansu, szczególnie szkoły szwabskiej, specjalnie zaś berliński obraz Hansa Kulmbacha, i Kulmbachowi też obraz warszawski przypisać można. Hans Süss von Kulmbach spędził 4 lata w Krakowie i na obrazach jego spotykamy niejednokrotnie polskie stroje. Więc i ta okoliczność przemawia za tem, że on, lub ktoś z jego otoczenia, jest autorem warszawskiego „Pokłonu trzech królów.“

№ 16. Na obrazie № 16, przypisanym „Szkole Rubensa,“ możnaby się doprawdy uczyć historii sztuki. Obraz ten zatytułowany jest „Zabawa“ i kompozycją swą przypomina owe wesołe towarzystwa, malowane przez Jana Steena i innych, jemu współczesnych. Co jednak u Steena było bezpośredniem uchwyceciem,

podporządkowaniem jednostki ogólnej kompozycji, tu jest malowane z modelu i dla modelu. Dlatego też brak tu bezpośredniości i obraz rozpada się. Tembardziej, iż ma się wrażenie, iż modele te zeszyły z różnych obrazów, malowanych przez różnych mistrzów i... przypadkiem spotkały się tu na tem płótnie. Więc na prawym brzegu uderza nas przede wszystkim kobieta z obrazu Franza Halsy. Od niej na lewo zmienia się ton obrazu i przechodzi w brunatny, panujący w otoczeniu Rembrandta, i z tego otoczenia są zapożyczone typy ludzi, choć jeden z nich siedzący i włoskiego wpływu ślady pokazuje. Trochę dalej kobieta, przypominająca późniejszych już zmanierowanych genre'owych malarzy holenderskich; charakterystycznie dominuje tu niebieski kolor. Jeszcze dalej młodzieniec o van-Dyckowskiej twarzy i Greuze'owskiem motywie ruchu. Za nim ukazuje się niewiadomo skąd między te holenderskie mieszczki zabłąkana, wysoka, lekko w stylu Directoire udrapowana, postać kobieca o nagiej piersi, w jasnoniebieskich tonach utrzymana. Za tą postacią wyłania się jakaś rubensowska głowa, a na lewym krańcu widać dwóch mężczyzn w pomysły chyba od Teniersa zapożyczonych. Nie na tem koniec eklektycyzmu: wszystkie te przedmioty, których opanowanie jest zdobyczą holenderskiego genre'u, zostały przez autora naszego obrazu na nim pomieszczone: mamy więc instrumenty muzyczne, wazy politurowane, sprzęty metalowe... Obraz ten to doprawdy curiosum. Ale dlaczego umieszczać eklektyka z XVIII w. w szkole Rubensa? Od Rubensa zapożyczył się on stosunkowo najmniej może.

№ 55. Jako zupełnie niesłuszną uważamy atrybucję № 55 Brouwerowi. Kto raz widział śmiałymi rzutami malowane, równie impresjonistyczne w linii, jak w kolorze, indywidualne w każdym calu utwory tego mistrza, ten dostrzedz musi przepaść dzielącą je od warszawskiego obrazu. Tu widzimy subtelną i dokładną, niezmiernie mało ryzykującą rękę Holendra, który się ocierał o Rembrandtowskie zagadnienia i próbuje gry półświatła na gładkiej ścianie, na twarzy, na włosach. Przytem jednolicie ciemnobrunatna skala warszawskiego obrazu jakże daleką jest od również jednolitego jasno-brązowego tonu Brouwerowskich obrazów. Przez porównanie z pewnymi obrazami Holendrów XVII w., wpływowi Rembrandta podległych, da się autorstwo warszawskiego obrazu z zupełną pewnością ustalić — nam zaś stał na przeszkodzie brak materiału do porównań.

Szkola niemiecka. № 66. Numer ten w katalogu figuruje jako dzieło pędzla Hansa Holbeina młodszego. Atrybucya ta da się wytkómaczyć pewnem pokrewieństwem z Holbeinowskimi por-

tretami, szczególnie ze słynnym Erazmem Louvre'u, a mianowicie tą obiektywnością, która cechuje zarówno portrety niemieckiego mistrza, jak i obraz warszawski. Ale i tutaj dokładniejsza analiza każe nam gdzieindziej szukać autora. Nie Holbeinowskiem, bo za mało mistrzowskiem, jest traktowanie rąk, które jeszcze nie utraciły nawpół prymitywnej drewnianości. Nie Holbeinowską jest także płaskość, dwuwymiarowość w traktowaniu twarzy; traktowanie takie spotyka się, co prawda, w czysto prawie konturowych rysunkach Holbeina, ale nigdy w obrazach, które cechuje wybitna trójwymiarowa modelacja.

Pozytywna atrybucya tego obrazu przedstawia pewne trudności. W każdym razie nie należy autora szukać między niemieckimi malarzami, gdyż jeden tylko z nich, Hans Holbein, miał ten przepyszny obiektywizm, a jemu, jakeśmy widzieli, warszawskiego obrazu przypisać nie można. Nie między Flamandami, bo zbyt prostą jest jego czarno-zielona harmonia barwna. Natomiast znacznym jest podobieństwo tego obrazu do obrazów francuskich tejże epoki.

Zdaniem więc naszym należy obraz ten uznać za dzieło jednego z lionńskich malarzy na początku w. XVI.

№ 73. Obraz ten, przedstawiający Trójkę Świętą, katalog przypisuje Wolgemutowi, opierając się niewątpliwie na pokrewieństwie motywów tego obrazu z motywami Dürera, wielkiego Wolgemutowskiego ucznia. Obraz warszawski jest jednak nie wcześniejszy od Dürera. Wolgemut jest jeszcze typowo gotyckim artystą, obraz zaś nasz nie posiada ani cienia gotyckich cech. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest on znacznie późniejszym naśladownictwem słynnego Dürerowskiego drzeworytu (*Der Gnadenstuhl*). Porównanie obu wykazuje najlepiej ich stosunek. Charakterystycznym jest przedewszystkiem odchylenie osi obrazu, która jeszcze u Dürera jest czysto frontalną na bok, co cechuje epokę późniejszą. Dochodzi do tego jeszcze bardziej swobodny a mniej konieczny, prawie barokowy, sposób wykrojenia obrazu. Dalej dołączenie „putti“ dla podtrzymywania boskiego płaszcza, układ fałd tego płaszcza, zmiana w charakterystyce twarzy i last not least koloryt. Niezmiernie charakterystycznym jest też punkt następujący: głowa Chrystusa na sztychu Dürera jest perspektywicznie zdeformowana, i na warszawskim obrazie zdeformowanie głowy zostało, choć zbrakło jego racyi bytu—perspektywicznego widzenia.

Zbadanie tych punktów wykazuje w warszawskim obrazie: 1-0) cechy pracy znacznie późniejszej, niżby z atrybucyi katalo-

gowej wypadają; 2-o) cechy dzieła nieoryginalnego naśladownictwa. Proponujemy:

Obraz niemiecki około r. 1600.

Szkola holenderska. № 136, 137. Są to dwa pendants, mające wyobrażać autoportret oraz portret żony przez Gerarda Dow. № 137 jest opatrzony podpisem i datą. Jakość tych obrazów wydaje się nam jednak zbyt mierną dla tego niesympatycznego, ale bądź co bądź wybitnego artysty. Ponieważ przytem Galerya Czernin w Wiedniu posiada dokładną replikę № 137, skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że w warszawskim obrazie mamy do czynienia z kopią, na którą wraz z całością oryginału przekopiony został też i—podpis. ¹⁾ Przytem warszawskie portrety otoczone są zwojami owoców i kwiatów, co wytwarza całość o poziomie smaku tak niskim, że już dlatego nie chcielibyśmy kłaść ich na karb najzdolniejszego kontynuatora pierwszej manieri Rembrandta.

№ 163. Krajobraz ten, przez katalog jako niewiadomego autora podany, odrazu kolorytem zielonym i żółtym narzuca imię van Goyena. Muzeum nasze posiada autentyczny podpisany obraz tego malarza (№ 148), tak że można atrybucję tę sprawdzić na miejscu. Porównywując w szczegółach te dwa obrazy, więc sposób traktowania małych krzewów nad rzeką na horyzoncie, żagli na łodziach, oraz wyrazistych małych figurek ludzkich, śmiało jedną brązową plamą rzuconych, zyskujemy niezbity dowód, że w № 163 mamy prawdziwy i cenny oryginał van Goyena.

№ 173. Rembrandt, portret Saskii, żony autora. Nie może być wątpliwości wobec cech charakterystycznych i wobec jakości obrazu, że mamy przed sobą oryginał Rembrandta i to bardzo piękny. Katalog dodaje jednak w nawiasie: z podpisem autora i datą 1653. Otóż data ta jest niemożliwą nie tylko dlatego, że Saskia umarła w r. 1642 i ostatni, już po śmierci jej wykończony, portret jest z r. 1643, lecz i dlatego, że pomiędzy stylem Rembrandtowskim lat 50-eh a stylem warszawskiego obrazu leży przepaść. Wystarczy porównać go z którym z wizerunków Hendrikje Stoffels, tak częstych po roku 50, by to zauważyć. Inne zagadnienia świetlne, inny sposób kładzenia farb, inne zrozumienie ciała. Przesuwając przed sobą obrazy Rembrandta w kolei ich powstawania, znajdziemy bez trudu miejsce warszawskiego por-

¹⁾ Podpis ten zresztą jest zupełnie odmienny od znanych nam autentycznych podpisów Dow'a.

tretu: musi on należeć do najwcześniejszych wizerunków Saskii, czyli przypadać zaraz po roku 1632. Dedukcyja ta sprawdza się tak dalece, że data warszawskiego obrazu, rzeczywiście bardzo nieczytelna, daje się jednak przy dokładnem przyjrzeniu odcyfrować jako 1633.

Szkola włoska. № 192, 194. Numer 194 figuruje w katalogu, jako dzieło Agnolo Gaddi. Tenże sam katalog dodaje datę śmierci autora: rok 1396. A tymczasem na obrazie widnieje nieco zamazana coprawda data MCCCC V, między ostatniem C i V przerwa. Obraz więc powstał albo w 1404, albo w 1415 r., stosownie do tego, czy brakuje I, czy też X. Ten jeden więc wzgląd rzuca już dziwne światło na atrybucyę katalogu. Ale i poza tem obraz nasz w niczem cech Giottowskiej szkoły nie posiada. Obcym jest Florentyńczykom ten typ Chrystusa, obcą ta szczupła twarz, zroszona kroplami krwi.

Przeciwnie i ten typ Chrystusa, ta koścista głowa, te bardzo charakterystycznie malowane pachy spotykają się u wczesnych padewskich malarzy. Gdy zaś dodamy jeszcze, że jedno ze wczesnych dzieł Mantegni, obecnie w Museo Civico w Padwie się znajdujące i również pół tylko ciała Chrystusowego przedstawiające, uderzająco wprost warszawski obraz przypomina, to wydaje się nam, że zupełnie śmiało możemy obraz warszawski przeatrybuować na

Szkołę padewską, początek XV wieku.

Atrybucyę zaś temuż Agnolo Gaddiemu głowy Chrystusowej, pomieszczonej w katalogu pod nr. 192 również nie możemy uznać za trafną. I tu nie znajdujemy cech bądź co bądź już zaawansowanego florenckiego malarstwa, lecz przeciwnie, uderza blizkie jeszcze pokrewieństwo z nieruchomymi bizantyjskimi wizerunkami. Ten ostatni wzgląd każe nam obraz nasz przypisać wczesnemu weneckiemu mistrzowi, gdyż jak wiadomo, w mieście lagun tradycyę bizantyjskie najdłużej władzę swą utrzymały. Potwierdza naszą atrybucyę stanowcza frontalność głowy, budowa szcęk mniej wybitnych, niż u tokańskich prymitywów, jasny kolor włosów oraz misterne ich ułożenie, wreszcie bogato ornamentowana złota aureola, głowę Zbawiciela otaczająca.

Nr. 195. Katalog głosi: „Autor niewiadomy. Szkoły Giotta.“ Pomimo całej nieokreśloności jednak i ta atrybucya nie jest usprawiedliwioną. Wystarczy się przyjrzeć suchej, kościstej budowie ciała i charakterystycznym twarzom tych dwóch świętych, by dostrzedz, że obraz ten ze szkoły Giotta, i wogóle z Toskany, pochodzić nie może. Szkoła Giotta operuje bryłami i płaszczy-

znami, tu zaś mamy przedewszystkiem linię jako środek ekspresji malarskiej. Typami i sposobem malowania przypomina nasz obraz wczesne weneckie obrazy i można nawet uchwycić pewne pokrewieństwo z Crivellim Louvre'u, choć warszawski obraz znacznie jest prymitywniejszym. Proponujemy: Szkoła wenecka około r. 1400.

Nr. 196. Dokładna atrybucya „Złożenia do Grobu“ przez katalog Giovanniemu Belliniemu przypisywanego, jest jednym z najtrudniejszych zadań stawianych przez Muzeum warszawskie. Z otoczenia Giambelliniego obraz ten pochodzi niewątpliwie, a tors Chrystusowy krewnym jest torsom, które sam mistrz malował. Ale mimo to jemu samemu, zdaniem naszym, przypisać obraz ten trudno. Kompozycya i postacie dwóch starców są wzięte żywcem z dzieł Mantegni, głowa Magdaleny z obrazu Cimy da Conegliano w muzeum Poldi-Pezzoli, a specyficznie Belliniowskiego niema w obrazie tym nic prawie. Wszystko jest blizkie Belliniego, lecz prawdopodobnie nie Bellini.

Gdy o pozytywną atrybucyę pójdzie, to najbliższem dzieła naszego będzie „Opłakiwanie Chrystusa“ z galeryi berlińskiej, jednemu z uczniów Giambelliniego, którego prawdziwego nazwiska nie znamy, a który w katalogach figuruje jako pseudo-Basaiti, przypisywane. Wistocie jednakowo tu i tam są traktowane oczy Chrystusa cieniem przykryte, podobną niezmiernie jest postać młodzieńca. A rażąca wprost jest identyczność w traktowaniu cieniów, tu i tam subtelnie niezmiernie zaznaczanych, a miejscami jedynie ostro prostą linią obciętych, i rąk. Załamanie niezmiernie typowe ręki Chrystusowej powtarza się i tu i tam, a kobieca ręka z obrazu berlińskiego, gdy w Warszawie stała się męską nie zatraciła ani charakterystycznego odgięcia palca dużego, ani równie charakterystycznego załamania palca małego.

Jednakże obok tych pokrewieństw tak znacznych są i duże różnice szczególnie w traktowaniu draperyi i w kolorycie, tak, że kwestyę atrybucyi jego ostatecznej zostawiamy otwartą. Dla katalogu zaś tymczasem, zdaniem naszym, wystarczałaby wzmianka najmniej angażująca:

Szkoła Giovanni Belliniego.

Nr. 203. Co się tyczy weneckiego pejzażu nr. 203, to dyrektorowie muzeum, przypisując go Bernardowi Belotto, powodowali się prawdopodobnie jakimś paszportem tego obrazu, lub też przypuszczeniem, że dzieła Belotta, który był w Polsce, łatwiej od dzieł innych artystów w Polsce znaleźć się mogły. Analiza obrazu jednak wskazuje, że choć wogóle rozróżnianie dzieł Be-

lotta, vulgo Canaletta, od dzieł stryja jego, Antonia Canale, nie jest rzeczą łatwą, tu jednak raczej temu ostatniemu ten obraz łatwiej przypisać należy. Przemawia za tem większa architektoniczność tego miejskiego krajobrazu, mniejsze ożywienie, sposób malowania drobnych figurek ludzkich, oraz charakterystyczny impresjonizm w barwnym traktowaniu murów.

Nr. 208. Obraz nr. 208, w katalogu jako dzieło niewiadomego autora z pierwszej połowy XVI wieku określony, należy przypisać padewskiej szkole drugiej połowy wieku XV. Wskazują na to cechy następujące. Traktowanie postaci, szczególnie zaś włosów, zupełnie basreliefowe, mówi o wpływie bezpośrednim Mantegni, postać zaś Magdaleny z rozpostartymi rękami, a po części nawet pewien patos kompozycyjny, wyraźnie wskazują na wpływ słynnego padewskiego „Złożenia do Grobu“ Donatella. Połączenia więc tych cech dwóch wybitnych mistrzów mógł dokonać jedynie artysta żyjący w atmosferze dzieł, które naśladował, a więc padewczyk. Na to zaś, że obraz nasz nie z cinquecenta lecz z quattrocenta pochodzi, wskazuje technika jego, która się ani krokiem nie posunęła poza technikę Mantegni i charakterystyczne obramowanie obrazu ornamentem ze złoceniami, którego wiek XVI już nie zna i które potwierdza bardziej jeszcze nasze przypuszczenie, że obraz warszawski powstać musiał w najbliższym otoczeniu Mantegni.

Nr. 226, 245 i 251. W katalogu trzy obrazy figurują jako dzieła Tiepola (a mianowicie numery 245, 226 i 251). Z trzech tych numerów pierwszy, przedstawiający Wieczerną Pańską, istotnie jest oryginalnym Tiepołem, pełnym przepysznej swady kompozycyjnej, mieniącym się typowo Tiepolowską grą barw; drugie zaś dwa przy porównaniu z nim mimo niektóre podobieństwa powierzchniowe, które na razie w błąd wprowadzić mogą, objawiają się jako dzieła innego, i to każde z nich różnego pędzla.

Nr. 226 przedstawia rodzinę Daryusza przed Aleksandrem Macedońskim. Prawdopodobnie na domniemanie autorstwa Tiepola wpłynęły tu głowy wojaków (z boku lewej strony) o typie dość często w prawdziwych Tiepolach spotykanym, oraz muskulatura ich trochę brutalniej może, niż w „Wieczerni Pańskiej“, lecz podobnie traktowana. Ale to drobne pokrewieństwo czyż może okupić tak rażące różnice, jak następujące. Więc przede wszystkim brudny ton całego obrazu, nie jasne Tiepolowskie barwy. Szczególnie pozwolimy sobie zwrócić uwagę na ciężką, brudno szarą draperyę część obrazu zajmującą, na inne zupełnie, niż u Tiepola niebieskie tony, na obcy Tiepolowi żółty kolor sukni

klęczącej kobiety (i typem raczej do francuskich dzieł XVIII wieku, niż do Tiepola zbliżonej). Nareszcie determinującym jest brak zupełny Tiepolowskiej gamy szarych i brunatnych kolorów, traktowanie postaci drugoplanowych, najzupełniej słabych i postać starej kobiety, która jest młodszą siostrą wieźm Jacques Calot'a i niewiadomo jakim cudem by się była dostała na obraz ostatniego weneckiego peintre de joie. Autorstwo więc Tiepola, choć zupełnie wykluczonem nie jest, dla nas przedstawia poważne wątpliwości. Najprawdopodobniej zaś obraz ten powstał w pracowni Tiepola, tak ludnej i płodnej. Tłómaczy to zarówno podobieństwa, jak i różnice z oryginałami mistrza.

Na obrazie tym figuruje podpis Gio. Batt. Tiepolo, ale wszak łatwiej jest podrobić podpis, niż dzieło genialnego artysty.

W numerze 251 zwieść mogła naga męska postać, środek obrazu zajmująca, zwieść mógł profil męski na prawo, kolor zielony sukni pochylonego mężczyzny, a nawet barwy sukni Chrystusowej. Ale dla tego, kto dokładnie się przyjrzy architekturze i kolorowi jej, tak odmiennych od tego, co podziwiamy w numerze 245, kto porównał czerwony kolor sukni, w którą jest odziany Tiepolowski nawet w ruchu mąż stary, w kącie na lewo stojący, kto zresztą łatwo spostrzegł wymuszoność Chrystusowego gestu i brak swobody w kompozycyi, ten się zawaha, zanim tę pracę Tiepolowi przypisze. Obraz ten posiada tylko ogólne cechy czasu, i jest mało prawdopodobne, żeby nawet z pracownią Tiepola stał w związku.

Nr. 242. Obraz nr. 242, Złożenie do Grobu, przypisywany jest na małowrozumiałych podstawach Tintoretowi. Porównanie z pięknym niewątpliwym Tintorettem, posiadany przez warszawskie muzeum (nr. 204) pokazuje, jak niezmiernie dalekie są od siebie te dwa obrazy: inny koloryt, inne traktowanie ciał i ich ruchu, inne typy twarzy, zbyt miękki ich wyraz, inne ręce, wreszcie kompozycya, zbyt symetryczna dla Tintoretta, o prostej względnie równowadze. Wszystkie te względy autorstwo Tintoretta wykluczają najzupełniej, ale nie na tem koniec. Obraz warszawski wogóle nie pochodzi z Cinquecenta i nawet nie z Italii, lecz musiał on powstać w otoczeniu Van Dycka. Przez samego Van Dycka malowanym nie jest: nie dość wysoka wartość artystyczna, szczególnie zaś kobieta na lewo, zbyt słabo malowana, świadczą o tem. Porównanie ze znanemi, często przez Van Dycka powtarzanemi kompozycjami Złożenia do Grobu (Berlin, Rzym, w przeciwieństwie do naszego obrazu zawsze w dużych rozmiarach) skłania nas ku przekonaniu, że mamy do czynienia z ja-

kimś blizkim mistrzowi uczniem, który tu daje wariant jego motywów. Wystarcza zanalizować budowę ciała Chrystusowego, a bardziej jeszcze budowę i ruch zwisających rąk Chrystusowych i rąk kobiecych, miękkie ich dotknięcie, wyraz twarzy i last not least kompozycję, by poznać, że jesteśmy w atmosferze Van Dyckowskiej sztuki. Koloryt całości, szczególnie owo delikatne zaróżowienie nieba, w zupełności potwierdzają naszą atrybucję.

Nr. 268, 269. Przypisując mu nunery 268 i 269, ciężką krzywdę wyrządzono szlachetnemu Paolo Cagliari, pospolicie Veronesem zwanemu. Nie z pod jego pędzla wyszły te ordynarne, ordynarnie malowane twarze, o czerwonych nosach, te wielbłądy przedwcześnie „syntetyczne,“ ta dziwna zapadająca się i fałszywa perspektywicznie architektura, te schody z Tintoretowskich motywów zapożyczone, te marmury z różowymi i niebieskimi refleksami, ten barbarzyński, jaskrawy koloryt, ta chaotyczna, dzika kompozycja.

A nawet żadnego z mniejszych mistrzów ojcostwem tych dzieł połańbić nie można, bo wszystkie szczegóły aż nadto pochodzenie obrazów tych wskazują. Są one

Szkoły fałszerskiej Montmartre, wiek XIX.

Tem wszystkiem jednak nie wyczerpuje się szereg pytań, narzuconych przez warszawskie muzeum, ani nawet szereg błędnych atrybucyj. Opuściliśmy bowiem przedewszystkiem wszystkie prawie obrazy mniejszej wartości, słusznie bezimiennie, choć i tu spotykają się nieraz dla badacza ciekawe błędy w atrybucjach. Dlaczego np. manierzysta niderlandzki XVII wieku, który w ujęciu postaci ludzkich przejął się zupełnie wzorami włoskimi, na tym samym jednak obrazie wykazuje bardzo rozwinięty, typowo północny pejzaż (równoległy z podobnymi Ruysdaela i van der Neera) uchodzi za flamandzkiego malarza z XV wieku (nr. 6)? Albo dlaczego Flora, pochodząca niewątpliwie z XVIII wieku, zaliczoną zostaje do szkoły Tycyana, kiedy podobieństwo z półfigurami weneckiego mistrza jest czysto powierzchowne, natomiast oświetlenie, koloryt, duchowa treść twarzy, wkomponowanie w obraz putta, charakterystyczny kwiatowy feston i t. d. nic z nim nie mają wspólnego i są cechami znacznie późniejszych czasów? I nie warto było się nam zastanawiać dlaczego przypisano Breughelowi Janowi dwa pejzaże (nr. 14 i 15) mało cech jego pędzla mające, dlaczego przypisano Rubensowi nr. 30 i obarczono Sassoferrata podejrzeniem o autorstwo nr. 250, dlaczego Toorenvlietowi przypisano i nr. 135 i nr. 167, choć obrazy te absolutnie nie mogą być dziełem jednego pędzla.

Ale poza temi drobnemi i mało ważnemi kwestyjkami pozostały nierozstrzygnięte i inne, ważniejsze. Z czasem, gdy na miejscu będziemy mieli bogatszy materiał reprodukcyjny do porównania, gdy sobie po wielkich muzeach będziemy przypominali obrazy warszawskie, przybędą zapewne dalsze rozdziały naszej pracy.

Może damy pozytywną atrybucję tam, gdzie dziś stawiamy znak zapytania, może wyjaśnimy pochodzenie tego wybitnego a trudnego do zaatrybuowania nr. 63 (szkoła Łukasza de Leyden, niewiadomo czemu przez katalog do niemieckich zaliczona), i bliżej określimy, czem jest ta Matka Boska karmiąca, która wyjątkowo cenną ma ramę i, zdaje się, przez ś. p. Lachnickiego wielce była szanowana, a w której my głębszej wartości doszukać się nie potrafimy. Może potrafimy ustalić ojcostwo trzech niezmiernie ciekawych obrazów temu, niestety, tak płodnemu „autorowi niewiadomemu“ przypisanych (nr. 20, 243, 248), znaleźć autorów nr. 224 i pięknego a niezwykłego nr. 193, który prawdopodobnie pochodzi z Wenecyi, z granicy 15-go i 16-go stulecia.

Może potrafimy udowodnić, że ta cudna Matka Boska z dzieciątkiem, jedna z pereł naszej galeryi, nie może być dziełem Mazzoliniego, lecz że dużo potężniejszemu artyście przypisać ją należy i dać niewątpliwą atrybucję nr. 68, dziś zaznaczając jedynie, że przypisywanie go Grinewaldowi, temu może najgenialniejszemu niemieckiemu malarzowi, jest śmiałe i tentujące, ale bardzo mało uzasadnione; portrecistów takich miały Niemcy renesansowe wielu.

Może nareszcie powiedzieć będziemy mogli z zupełną pewnością, czyjem dziełem jest nr. 239, ongi za Rafaela uznawany, dziś szkole jego przypisywany, a napewno włoski z początków XVI wieku, i ustalić ojcostwo nr. 292, które według katalogu dziwnie się waha między Velasquezem i Correggiem.

Zadanie więc czeka wielkie i bardzo wdzięczne tych, coby chcieli nad obrazami Muzeum warszawskiego popracować i mamy nadzieję, że praca nasza nie będzie ostatnią tego rodzaju.

P. T.

PISMIENNICTWO.

ELIZA ORZESZKOWA. *Gloria victis*. Oni.—Oficer.—Hekuba.—Bóg wie kto (1863). Wilno, nakład W. Makowskiego, 1910, 8 o, str. 403.

Dawno już żadna książka nie przemówiła nam tak silnie do serca i wyobraźni. I wierzyć się nie chce, że napisała ją kobieta, mająca już za sobą 44 lata pracy pisarskiej, kobieta, która rozpoczęła swą twórczość w dobie rozkwitu naszego pozytywizmu.

Taki bije z tej garści nowel, a raczej obrazków z krwawej pamięci roku 1863, blask młodzieńczego zapału, wiary i ducha ofiarności, taka nie złamana żadnym ciosem, ani przyćmiona choćby cieniem zwątpienia ufność w zwycięstwo dobrej sprawy, jeżeli nie dziś, to kiedyś, w bliższej lub dalszej przyszłości, że podziwiać tylko możemy siłę i żywotność tej natury, nie tylko wysoce utalentowanej, ale i moralnie czystej i szlachetnej.

Na istotę ruchu rewolucyjnego z roku 1863 Orzeszkowa patrzy rozumnie, ale tym najwyższym rozumem, który, wedle słów poety, jest równoznaczny — z cnotą. Posłuchajmy, co ona sama, nie przez usta swych bohaterów, mówi o — marzeniach: „Niechaj nikt marzeń wielkich z próżnemi urojeniami nie miesza, bo na dnie ich częstokroć spoczywa prawda, której tylko twarda głownia złej rzeczywistości ziścić się nie dała. Dusza ludzka, do wielkości stworzona, o niej w rozręsknieniu śni. Śny nie sprawdzają się, lecz w nich jest prawda, nie w wichrach, które, kurzawy marne z ziemi podnosząc, z nich dla niej mogiłę usypują.“

Tak przemawia autorka, która w chwili, gdy wchodziła na wielką arenę piśmienniczą, słyszała naokół nawoływania do—trzeźwości. Śnać serce prawej Polki zwyciężyło w niej wszelkie marne rachuby z „cyrklem, wagą i miarą“ w ręku. Przypomnijmy tu owo gromkie wezwanie do miłości na czele „Oficera,“ obrazka niewąt-

pliwie najpiękniejszego ze wszystkich w niniejszym zbioru zarówno pod względem ideowym, jak i artystycznym: „Niech serca, ostygające dla ojczyzny, przybliżą się do tego żuźla, który niegdyś spadł był na jej drogę—niech odetchną wonią jego, piekącą i gorzką. To woń samego miąższa drzewa, spalonego na ofiarnym stosie. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napełnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tem uderzeniu wskrześnie Miłość... Opowiadać ci będę o ludziach, którzy mieli w sobie miłość... i dlatego byli miąższem swojego ojczystego drzewa. Dlatego również zgorzeli na ofiarnym stosie. Opowiadać ci o tem będę w ciszy i w zamknięciu ścian samotnych, a ty szeroko rozemknij ściany i do tych, którzy zaprzeczają istnieniu w narodzie swym miłości ku wielkim gwiazdom, krzyknij, że kłamią!“

Oczy napełnią się łzami i serce uderzy mocno! W takim też nastroju duchowym, z czcią bogobojną i z sercem wezbranem żalem i miłością, czytać należy te wzniosłe, ale i smutne zarazem obrazy z tego roku krwawego i chwalebego. I nie „szukać w oj-cach winy,“ ale patrzeć na wypadki historyczne, jak na twardą konieczność dziejową, nieodparty wynik współdziałania czynników historycznych, wynik, którego odwrócić ni zmienić nie zdołałyby żadne, najbardziej heroiczne wysiłki.

Trzeba posłuchać, co w obrazku p. t. „Oni“ mówi do przyszyłych męczenników sprawy narodowej nieszcześnie dyktator, Romuald Traugut: „Obowiązkami godziny, która wybiła w kraju naszym, są dla nas: jedność i ofiarność. W nich nadzieja... Bez nich zginiemy...“

Albo posłuchać tych słów mądrych i szlachetnych, które w tymże utworze wypowiada Władysław Orszak: „Tak dłużej nie można było żyć. Ja wiem, że siły nasze małe, więc czerwonym być nie śmiałem. Ale i białym nie byłem także, nie! Za wиеlem cierpiał, za wиеlem przysłuchiwał się śmiertelnemu rżeniu duszy własnej i dusz blizkich, abym białym mógł być. A teraz, co do tej motyki, porywającej się przeciw słońcu, to myślę, że... Bóg jest z nami i że sprawa nasza, to sprawa Boska. Tedy... jaki tam koniec będzie, to będzie, powinność swoją czynmy.“

Albo weźmy inną nowelę, najwyższą, zdaniem naszym, pod względem artyzmu z całego zbioru, p. t. „Oficer,“ i przysłuchajmy się, jak młody powstaniec, Aleksander Awicz, objaśnia oficerowi rosyjskiemu, Polakowi z urodzenia, dzieckiem wywiezionemu w głąb Rosyi i tam wychowanemu, rzeczy dlań niezrozumiałe: „Zginiemy? dobrze, ale ten krzyk nasz, krwią i łzami ociekły,

zostanie w powietrzu i tym, co po nas przyjdą, umrzeć nie da, i senny zrywać będzie z puchowych pościeli i stanie się snem czarnym i snem złotym narodu i chłuszczającym go do wiecznej walki biczem, a wtedy dopiero przebrzni, kiedy zwycięży—idea.“

Ale dla tamtego idea to *głupost'*.

Nie! idea to potęga wielka, niezmożona. „Dziś pociskami armatnimi na proch starta, idea odrodzi się jutro, i jej być musi prędzej czy później zwycięstwo ostateczne, i ona jest rozumem wyższym nad cyfrą twojej armii, nad twoje petersburskie granity i malachity, nad twoje szyderstwa i gniewy—bo jest samą prawdą świata i Boga.“

Przypomina się to, co mówi Asnyk w jednym z głębokich i pięknych sonetów „Nad głębiemi:“

Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żorawi...

Tę samą myśl zawiera ostatnia nowela, zamykająca tom i zarazem nadająca mu tytuł ogólny: „Gloria victis.“ Przedstawiwszy straszną scenę rozgromu partyi powstańczej w lesie, autorka woła w uniesieniu: „Chwała zwyciężonym!“

Jedna tylko rzecz boli autorkę „Gloria victis,“ ją, która od zarania twórczości umiłowała niziny społeczne.

„I tylko, niestety—mówi w noweli „Oni“—wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi.

„Chaty te były przed nami zamknięte—niestety!

„Zamykały je przed nami różnice wiary i mowy, błędy przodków naszych—niestety! niestety!

„I była to skała, o którą rozbiła się nawa nasza, na straszliwe morze wypuszczona—niestety!

„Na której piękny żagiel nasz rozdarł się—niestety!

„Z której po krótkim dniu słonecznym spłynęła na nas noc ciemna, duszna, zimna, nieprzebyta—niestety!

„Zamknięta przed nami chata chłopska była to ta skała—niestety! niestety! niestety!“

Nieszukanie w ojcach winy nie jest jednoznaczne z zamykaniem oczu na istotne błędy. Orzeszkowa w tej nawet swej apoteozie 1863 roku umiała ustrzedz się od takiej jednostronności. Ale wierzy niezłomnie, że idea zwycięży i nastąpi chwila, kiedy chaty te otworzą się, a z nich wyjdą milionowe zastępy nowych obywateli na wspólne życie, na wspólną dolę i niedolę.

FR. BACON. *Szkice polityczno-etyczne.* (Sermones fideles seu interiora rerum). Serya I. Przełożył Stanisław Pyrowicz, magister prawa i administracji. Warszawa, 1909. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Str. 131.

Dzieło niniejsze wydane zostało przez autora po raz pierwszy w roku 1597 po angielsku. W ćwierć wieku później Bacon zabrał się jeszcze raz do opracowania tego przedmiotu, pogłębił go, znacznie rozszerzył i wydał w języku łacińskim w roku 1625. Z tego właśnie drugiego wydania dokonane zostało tłumaczenie. O dziele swem sam Bacon wyraża się, że jest to „najlepszy owoc, jaki łaska Boża dozwoliła mu wyciągnąć z pracy jego pióra“ i wypowiada nadzieję, że „szkice“ jego czytane będą zawsze, „dopóki na świecie żyć będą książki i literatura.“

Istotnie książka ta wzbudza i obecnie jeszcze zainteresowanie, nie tylko jako dokument pojęć owej epoki, ale również jako zbiór nieraz głębokich, wieczną trwałość mających spostrzeżeń z dziedziny psychologii ludzkiej. Bacon zajmuje się tu nie teorią, ale praktycznymi wskazówkami życiowymi. Własna jego wielka karyera dała mu bogate doświadczenie i pozwoliła poznać lepiej od innych tajniki duszy ludzkiej. Jak Macchiavel dawał monarchom rady rządzenia światem, tak Bacon zajmuje się zwykłym człowiekiem i przedstawia mu warunki i środki osiągnięcia powodzenia. Służył w tem Baconowi nawet poniekąd wzorem Macchiavel, o którym wyrażał się z najwyższem uznaniem za to, że ten, zdaniem jego, pisał, co ludzie robią, a nie co robić powinni.

Etyka dziejowa w porównaniu z etyką renesansową podniosła się znacznie, to też niektóre ustępy rażą współczesnego czytelnika, aby jednak autora sprawiedliwie ocenić, należy się przenieść w ówczesną epokę, kiedy ogólnie nie krępowano się w środkach torowania sobie drogi, i na tle właśnie tych pojęć sądzić go. Podnosi, co prawda, Bacon cnoty i potępia zło, w praktyce jednak uznaje, że człowiek, biorąc życie takim, jakim ono jest, może używać rozmaitych środków do osiągnięcia swych celów.

Książka składa się z szeregu oddzielnych szkiców, traktujących o rozmaitych przedmiotach, nie powiązanych z sobą formalnie, ale przepojonych jedną myślą. Ogromnie żywe i barwne ujęcie przykuwa i współczesnego czytelnika który może nie podzielać opinii autora, ale zmuszony jest do zastanowienia się nad nimi.

W pierwszym swym szkicu o prawdzie, stawia ją Bacon bardzo wysoko, przechodząc jednak do rzeczywistości, powiada, że

i kłamstwo ma swoje znaczenie. Odjąć duszom ludzkim—pisze—próżne opinie, fałszywe oceny, złudne widziadła i wszystkie te chineryczne nadzieje, któremi się karmią, znaczyłyby to być może, wydać na pastwę nudom, niesnakowi, melancholii i zniechęceniu. Ten sam charakter mają wszystkie szkice: w teorii apologia cnoty, w praktyce przystosowywanie się do istniejących warunków, dalekich od doskonałości.

Uznając udawanie za politykę gorszego gatunku, podaje jednakże Bacon całą teorię sztuki udawania i uważa za najlepszego polityka tego, kto posiada zarazem reputację szczerości, przyzwyczajenie do zachowania tajemnicy, zdolność udawania w potrzebie, a nawet zdolność do oszukiwania—kiedy już niema innego wyjścia.

Bacon przytacza sentencję Salomona: „Mędrzec zadowolnia się tem, że jest baczny na siebie i czuwa nad swymi krokami; głupiec zaś schodzi z prostej drogi i puszcza się na kamieniste manowce podstępów“ — ale jednocześnie zaleca chytryść i przebiegłość i opisuje rozmaite jej rodzaje.

Podług Bacona dobroć jest najszlachetniejszą zaletą duszy ludzkiej, lecz swoją drogą ma też i złe strony. Przytacza on właśnie przysłowie o człowieku, który „jest tak dobry, że nie jest dobry do niczego“ i ostrzega, że zbyt miękkość i dobroć, bywa tylko wyzyskiwana przez ludzi niesprawiedliwych.

Uważa Bacon, że dwa uczucia głównie rządzą ludźmi: miłość i zawiść. Potępiając wogóle zawiść, widzi wszakże i nieco dobrego w zawiści publicznej, która jest pewnego rodzaju wędzidłem w nadużywaniu swego wpływu przez ludzi wybitnych. Miłość traktuje Bacon jedynie, jako słabość, pozbawiającą człowieka mądrości. Namiętność ta—powiada—stanowi najzwyczajniejszy przedmiot komedyi, a niekiedy nawet tragedyi, ale w życiu powszednim sprawia wielkie nieszczęścia, przedstawiając się, czy to pod postacią syreny, czy też pod postacią furji.

Występuje Bacon przeciw małżeństwu, uważając je za skrupowanie tylko dla wybitnych jednostek. Kto ma żonę i dzieci, ten, zdaniem jego, dał zakładników losowi; stanowią one bowiem zawady i przeszkody do wielkich przedsięwzięć bez względu na to, czy nas do owych zamiarów pobudza cnota, czy występki.

Na dzieci też patrzy sceptycznie. Uwiecnić się — pisze — przez swój ród, przez swoje dzieci, jest korzyścią, którą posiadamy wspólnie ze zwierzętami; ale uwiecznić się przez swoją sławę, przez świetne zasługi, przez użyteczne instytucje, które pozosta-

wiają po sobie długą pamięć—ta prerogatywa jest wyłącznie właściwa człowiekowi.

Pomimo, że wszystkie myśli Bacona skierowane są ku bytowi doczesnemu, jest on przeciwnikiem ateizmu. Tylko powierzchowna filozofia, według niego, skłania się niekiedy do ateizmu, ale filozofia głębsza doprowadza do znajomości Boga.

Ciekawe są też poglądy społeczne Bacona. Szlachtę uważa za pożyteczną w ustroju monarchicznym, gdzie ona miarkuje i osłabia despotyzm władzy najwyższej. Państwa demokratyczne nie mają tej potrzeby, przeciwnie, są nawet spokojniejsze i mniej podlegają zaburzeniom, gdy nie posiadają rodów szlacheckich. Za bardzo ważną instytucję w państwie uważa Bacon radę przyboczną monarchy i dokładnie podaje sposoby odpowiedniego urzędzenia. Jak na jego czasy, są to poglądy oryginalne, odbiegające od panujących wówczas.

Tłómaczenie pozostawia wiele do życzenia pod względem językowym. Brak również komentarzy, którymiby powinno być opatrzone wydanie dzieła historyczno-naukowego. Przyczyna leży w tem, iż tłómacz nie jest wcale fachowym filozofem.

WACŁAW DUNIN.

WOJCIECH SZUKIEWICZ. *Spółdziałanie* (kooperatyzm). Warszawa, księg. St. Sadowskiego, 1909, str. 109. Cena 60 kop.

Jest to popularna broszura, mająca na celu zapoznanie szerszego ogółu polskiego z zasadami spółdzielczości. Pan Szukiewicz przedstawia po kolei wszystkie korzyści tego rodzaju stowarzyszeń, zatrzymując się głównie na kooperacyi spożywczej.

A więc spółdzielczość daje możliwość czynienia znacznych oszczędności bez żadnego uszczerbku. Przez usunięcie pośredników handlowych, zysk, dawniej przez nich otrzymywany, idzie na rzecz stowarzyszonych, którzy w końcu roku dzielą go między sobą.

Stowarzyszenia spożywcze, sprzedając wszystko za gotówkę, usuwają wyzysk i pokusę kredytu. Przekupień prywatny udzielając chętnie kredytu, zamienia w końcu kupującego w swego niewolnika, zmuszając go do brania lichego towaru po wysokiej cenie. Wobec słabości przeważnej liczby ludzi kredyt jest pokusą, ułatwiając bowiem nabycie towaru, zachęca jednocześnie do kupowania rzeczy zbytecznych, którychby się nie nabyło przy konieczności płacenia gotówką. Przy kredycie jest zawsze pewna

liczba dłużników niewypłacalnych; poniesione skutkiem tego straty kupiec odbijać sobie musi na reszcie kupujących. Przy kooperacji nikt za cudze winy nie odpowiada.

Kolosalne usługi oddaje kooperacya w razie bezrobocia. Utworzone przy zrzeszeniach kasy pożyczkowe udzielają potrzebującym pożyczki za poręczeniem dwóch spółzrzeszonych, strącając raty z czystych zysków, jakie się dłużnikowi należą. Utworzone oddziały ubezpieczeniowe, oparte na zasadach solidarności zapewniają pomoc materyalną w razie choroby lub śmierci.

Stowarzyszeni rozporządzając większym kapitałem, mają możność zastosowania wszystkich ulepszeń i udoskonaleń technicznych, co wpływa na gatunek i taniść towaru.

Istnienie licznych i dobrze rozwijających się kooperatyw normuje ceny w danej miejscowości, przynosząc w ten sposób korzyść wszystkim mieszkańcom.

Spożywcy, zorganizowani w kooperatywę, mają tę pewność, że za swe pieniądze dostają istotnie towary dobre, a nie jakieś falsyfikaty. Jest to rzecz bardzo ważna, wobec niebywałego rozwinienia się sztuki falsyfikacji.

Organizacya spółdzielcza normuje swą produkcję, może bowiem zawczasu obliczyć, ile potrzebuje nabyć na pokrycie potrzeb swych członków. Ułatwia jej to konkurencyę z prywatnymi wytwórcami, samo usunięcie już reklamy kupieckiej pozwala organizacyi spółdzielczej czynić znaczne oszczędności.

Kooperacya posiada też duże znaczenie etyczne, uwalniając handel od nienormalnej gonitwy za zyskiem materyalnym, nakłaniającym do popełniania całego szeregu najwstrętniejszych nadużyć, oszustw i wyzysku. Na miejsce pobudek egoistycznych wprowadza kooperacya dążności solidarystyczne, szerząc hasło: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.“

Pan Szukiewicz jednak, jako gorący zwolennik kooperacji, daje się zanadto unosić swoim sympatyom, oczekując od ruchu spółdzielczego rozwiązania zupełnego kwestyi społecznej i wielu innych. Dość powiedzieć, że spółdzielczość, według niego, ma doprowadzić do zniesienia wojen!

Zupełnie zbyt cieżkiem jest „postępowe“ w stylu warszawskim zabarwienie całego ruchu kooperacyjnego, który przecież wybiega poza ramy poglądów partyjnych. Rażą w ustach Polaka i w książce dla szerokiej warstw przeznaczony takie zdania, że dwaj wolnomyśliciele, z których jeden mieszka w Japonii, a drugi w Polsce, czują się bardziej bliżej siebie, aniżeli dwaj Polacy, z których jeden jest wolnomyślicielem, drugi zaś klerykałem i wstecz-

nikiem. Nie na miejscu też jest wycieczka przeciw kościołowi, który jakoby ma być wrogiem świeckiej solidarności rodzaju ludzkiego.

Książka jest pisana za mało naukowo, a przytem nieco chaotycznie.

W. D.

JERZY KURNATOWSKI. *Doktryny ekonomiczne*. Warszawa. Druk Noskowskiego. Księg. Ludwika Biernackiego i Ski. 1909.

Zaczyna autor od konserwatyzmu społecznego, rozprawiając się z Le Play'em, zwolennikiem patronatu fabrycznego. Nieśluszenie narówni z konserwatyzmem stawia nacjonalizm ekonomiczny. Łatwo mu też przychodzi uporanie się z nim wobec tego, że przedstawia jego poglądy karykaturalnie. Nacjonalizm ekonomiczny nie uważa bynajmniej, że państwo w jego dzisiejszych granicach jest wystarczającą sobie jednostką gospodarczą, dąży tylko do tego, by wytwórczość krajowa skierowywała się przedewszystkiem na potrzeby danego narodu i by ten był możliwie najmniej zależny od rynków obcych.

Liberalizm ze swym postulatem indywidualnej wolności pracy rozsadził średniowieczne cechy, jarmarki, średniowieczną hierarchię pracy, wykonywanej przez uczniów, czeladników i majstrów. Dokonawszy jednak tego, liberalizm przeżył się i jego indywidualne zasady muszą ustąpić miejsca nowożytnym zrzeszeniom: trustom i kartelom, związkom zawodowym i kooperatywom.

Zbija dalej autor cztery dogmaty marksizmu ortodoksyjnego: koncentracji kapitału, teorii wartości, walkę klas i materializm dziejowy. Zwalcza również syndykalizm rewolucyjny, który się rozwinął głównie we Francji. Kierownicy tego ruchu chcieliby zagarnąć w swe ręce dyktaturę proletaryatu za pomocą stowarzyszeń robotniczych i poprowadzić masy robotnicze do walki z dzisiejszym ustrojem. Autor wykazuje niemożliwość wykonania tego w obecnych warunkach.

Przychylniej traktuje p. Kurnatowski reformizm albo rewizjonizm socjalistyczny, który powstał w Niemczech, jako reakcja przeciw ortodoksji marksowskiej. Reformizm socjalistyczny znajduje się w ścisłym związku z syndykalizmem reformistycznym, który najsilniej rozwinął się w Anglii w związkach zawodowych, zwanych Trade-Unionami. Rozpatruje wreszcie autor ruch bardzo doniosły, również pochodzenia angielskiego — spółdzielczość. Ru-

chowi temu stawia jeden tylko zarzut, że kooperatyści zamało doceniają znaczenie państwa.

Sam autor jest zwolennikiem nowej idei solidaryzmu, znajdującej coraz więcej zwolenników. Prawa solidarności określa on w sposób następujący. Walka wszelkiego rodzaju nie jest i nigdy nie była jedynym czynnikiem rozwoju. Współrzędnie z nią istnieje i zawsze istniał czynnik współdziałania, który łączy nie tylko członków jednej grupy, lecz stwarza także stosunki obustronnie korzystne pomiędzy różnymi grupami. Istotą życia zarówno jednostkowego, jak zbiorowego, jest wymiana usług. Jeżeli życie jest współdziałaniem, zdolnymi do życia są tylko te grupy i jednostki, które działają. Jeżeli jest wymianą usług, to twórcami życia są jedynie ci, którzy wzamian za otrzymywane od innych usługi, zdolni są sami wyświadczyć je innym. Pasożytami będą ci, którzy, korzystając z cudzych usług, nie za to wzamian od siebie dać nie mogą.

Z zasad tych wysnuwa autor społeczną praktykę demokracji. Uważa on, że życie społeczne rozwija się stopniowo dwiema drogami: drogą samopomocy społecznej przez najrozmaitszego rodzaju zrzeszenia i drogą pomocy i przymusu prawnego ze strony państwa.

Broszura jest napisana popularnie. Do naukowości pretendować nie może.

W. D.

J. L. POPŁAWSKI. *Szkice literackie i naukowe*. Warszawa, 1910. Wende i S-ka, str. 263 w 8-ce.

Blisko przed ćwierć wiekiem grono młodych wówczas literatów założyło w Warszawie tygodnik *Głos*. Nie brakło w tej rwącej się do życia gromadce ludzi zdolnych, skoro z pośród nich wyszedł i Wł. St. Reymont, i St. Żeromski, i pierwsze kroki publicystyczne stawiał w tem piśmie Roman Dmowski. Duszą jednak nowego tygodnika byli J. K. Potocki (Maryan Bobusz) i J. L. Popławski. Pierwszy — wybitny umysł filozoficzny i socjologiczny — bardziej znany jest szerszemu ogółowi; drugi — kierownik polityczny i społeczny pisma, znakomity publicysta, mniej znany, bo często pod pierwszemi tylko literami ukryty, albo zgoła prace jego nie są podpisane. Obaj zeszli ze świata przedwczesnie: Potocki przed kilku laty zniknął bez wieści, Popławski przed dwoma laty padł ofiarą złośliwej choroby. Wielbiciele jego talentu, ci przyjaciele, którym dane było poznać w codziennej pracy nie-

pospolitego człowieka, składają daninę wiunej czci i pamięci Popławskiemu, wydając „Szkice,” o których mówić mamy.

Ówczesny *Głos* odegrał rolę historyczną. Młodzież literacka wystąpiła buńczucznie, przeciwstawiając się ostro wszystkiemu, co dotąd było uważane za dogmat światopoglądu i postępowania. Wiele hałasu narobiło jaskrawo stawiane hasło tygodnika „porządkowania interesów wszystkich warstw interesom ludu.” A przecież w tem hasle była i gorąca miłość ojczyzny i wyraz przekonania, że przyszłość jej jedynie na bycie i dobrobycie tego ludu oparta być winna, bo on jest jej ostoją i podstawą liczebności narodu, bo w walkach narodów ważnym czynnikiem jest także liczba. Poglądy te, podówczas wyrazy radykalizmu, dziś są poglądami przeważnej części inteligencji, działaczy społecznych i politycznych. Na rocznikach *Głosu* wychowała się ta demokratyczna inteligencja prowincjonalna, to demokratyczne obywatelstwo wiejskie, którego przedstawiciele umieli samorzutnie, z własnej, dobrej woli poprawiać byt najemników i służby folwarcznej; ich to widzimy dziś na wszystkich wybitniejszych placówkach służby publicznej. Z *Głosu* wychodziła inicjatywa pracy nad oświatą i podniesieniem kulturalnem ludu wiejskiego; z ziarn, przez pismo to zasiewanych, wyrastały ochronki, szkółki, towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe, idea, jeżeli nie wykonanie kółek rolniczych, rozwój przemysłu domowego, słowem wszystko to, co było objawem zainteresowania się życiem i bytem tego ludu. A jeżeli z hasel radykalnych wyciągano nieraz różne wnioski, jeżeli kierunek rozszczepiał się następnie, jeżeli ówczesnych szermierzy znajdujemy dziś tu i owdzie w obozach przeciwnarodowych, to pamiętajmy, że znaczna większość tych, co się około *Głosu* grupowali, pod wodzą J. L. Popławskiego stworzyli współczesny ruch narodowy i ponosili dla niego ofiary.

To przypomnienie było niezbędne dlatego, że większa część szkiców w książce zawartych, zwłaszcza szkice literackie z tej właśnie epoki pochodzą, a bez przypomnienia niezrozumiała byłaby nieraz jaskrawość ich formy w zestawieniu z artykułami Popławskiego z późniejszej epoki. Te szkice literackie należą do typu krytyki dziś zgoła nieistniejącej, a przecież jak ciekawej — do krytyki publicystycznej. Popławski nie rozpatruje nigdy nowej powieści, jako dzieła sztuki, sam się tego zarzeka, lecz jako objaw społeczny, jako usiłowanie splątania czy rozplątania węzłów społecznych, zastanawia się nad tem, co w tym kierunku czytelnikowi dać może i co — właściwie zrozumiana — dać powinna. Można się oczywiście sprzeczać o zasadę istnienia krytyki publi-

cystycznej, trzeba jednak stwierdzić, że typ to równie uprawniający, jak inne, i zarazem stwierdzić fakt, że Popławski był takim i tylko takim krytykiem. Nie pisał też o wszystkich powieściach. Ale pamiętajmy, że była to także epoka powieści t. zw. społecznych. Wtedy to wyszła „Lalka“, „Nad Niemnem“, „Szkice“ Szymańskiego, poezje Kasprowicza z pierwszego okresu jego twórczości, „Wysadzony z siodła“ i inne.

O tych wszystkich dziełach wypadło pisać Popławskiemu. Interesował go w nich przede wszystkim stosunek szlachty do ludu i stosunek do przeszłości narodu. I tak np. w „Lalce“ zwróci szczególną uwagę na „pamiętnik starego subiekta“ w jego części bohaterskiej, jak również typowej, zdzieciniałej wiary w pomoc zewnętrzną, uosobioną w Napoleonidach;—na chwilę przed zamierzonym a niedokonanym samobójstwem Wokulskiego, kiedy ginącemu człowiekowi pozostała wierna tylko „ziemia, prosty człowiek i Bóg“, w czem Popławski widzi trzy symbole: miłości ojczyzny, miłości ludu i miłości Najwyższego ideału; podkreśli piękną scenę, kiedy Rzecki samotny puszcza w sklepie wszystkie zabawki mechaniczne i zadaje melancholijne pytania, poco, dokąd to wszystko dąży (tytuł krytyki brzmiał „Świat Marynetek“); wreszcie podniesie zakończenie powieści, demoralizację społeczeństwa, z którego wynoszą się idealisci, a pozostają Szlangbaumy i Maruszewicze, czyli łotry, najlepiej przystosowujący się do wszelkiej rzeczywistości. W „Nad Niemnem“ uderzy go tradycja wspólnych walk mieszkańców bogatego dworu i zaścianka, zatarta następnie przez drobne, codzienne zatargi powszednie, spory graniczne i t. d., wspólność, odrodzoną potem przez zapal młodego demokracji i zejście do zaścianka panienki ze dworu. „Wysadzony z siodła“ posłuży jako przykład dla tezy, że człowiek lekkomyślny, bez wyrobionego charakteru, pozbawiony naturalnej, materialnej podstawy życiowej, zdolny jest do stoczenia się aż w głębie najniższego upadku. Ze „Szkiców“—ocena ubrana jest w formę listu krytyka do autora, towarzysza więzienia i wygnania—pominie utwory o charakterze lirycznym i zwróci szczególną uwagę na tragiczną historię „Przewoźnika“, który powrócił na Syberję z kraju ojczystego, bo znalazł tam tylko hańbę i upodlenie. W „Poezjach“ Kasprowicza podkreśli, że „wśród poetów naszych jest to pierwszy autor, który występuje świadomie i z otwartą przyłbicą, jako szermierz sprawy ludowej.“ Przytaczamy tu oczywiście tylko krytyki najwybitniejsze. We wszystkich podnieść musimy bezlitośne schłostanie wszystkiego, co jest znieprawieniem duszy i charakteru, braku troski dla upośledzonych, karyerowiczostwa, a na-

dewszystko tak typowego u nas niedołęstwa, ludzi niepotrzebnych, których liczną galeryę znajduje krytyk w ocenianych powieściach.

I jeszcze jedno. Książka jest nowa, a czytelnik ma wrażenie, że przegląda pozółkłe karty starych roczników *Głosu*; i czytając to, na co kiedyś z taką niecierpliwością co tydzień oczekiwał, nietylko czuje, że ogarnia go powracająca fala młodości, ale przekonywa się w dodatku, że poza pewnymi szczegółami i ubocznymi uwagami jaskrawemi, które go dziś raża, wszystko to, co pisał Popławski, jest i słusne i trafne. A ponieważ umysłowi ludzkiemu obce jest realne pojęcie wieczności, że snadnie to, co przetrwało dwadzieścia i dwadzieścia pięć lat można uznać za wiecznotrwałe, trzeba przyznać pracom Popławskiego pierwiastek przenikania treści, widzenia na odległość.

Do nieco innej kategorii należy późniejsza już rozprawa, zamieszczona w książce zbiorowej „Melitele“ — „O Modernistach“ (r. 1899-y). Popławski stawia w niej oryginalną tezę, że podkładem społecznym modernizmu jest wkroczenie do literatury barbarzyńców, opierając to twierdzenie na analogii z epoką dekadencji łacińskiej, kiedy do literatury łacińskiej wkroczyli pisarze, pochodzący z plemion barbarzyńskich, aczkolwiek już zasymilowani. „Stany psychiczne—mówi—które wstrząsają duszami pierwotnymi barbarzyńców współczesnych, wydają się im wyjątkowymi dlatego, że ich nie znają, że nie umieją ich analizować; wrażenia wydają się szczególnie subtelnemi, bo są dla nich nowością. Człowiek, mający dziedziczną kulturę duchową, którego umysłowość i wrażliwość wyrabiały się w szeregu pokoleń, inaczej odczuwa wrażenia i inaczej je analizuje, niż „naga dusza“ człowieka pierwotnego lub barbarzyńcy.“ I oświecla tezę przykładem Przybyszewskiego: „robi on wrażenie urodzonego i wychowanego w lesie, poczciwego, naiwnie zmysłowego Fauna, który nagle znalazł się wśród cywilizacyi współczesnej i rozgląda się dookoła taki zdziwiony tem, co widzi, taki biedny i nieporadny. Kiedy ten człowiek myśli, wszystkie mięśnie naprężają mu się na czole, widocznie myśl z trudem wielkim wydobywa się z mózgu, bo niema jeszcze dróg utworzonych dziedziczną kulturą duchową.“

W drugim dziale książki „Roztrząsania naukowe“ znajdujemy cztery rozprawy: „Badania historyczne“ (o Historji Polski Edm. Bogusławskiego), „Polska współczesna,“ „Kaszubi i ich mowa,“ „Wzrost i genialność.“ Widzimy w nich wybitne zalety umysłu Popławskiego, których poprzednio zaznaczyć nie mieliśmy sposobności, niepospolitą erudycyę i ogromne opanowanie materiału faktycznego, dzięki niesłychanej wprost pamięci. Z tych

rozpraw na szczególne wyróżnienie zasługuje największa z nich „Polska współczesna,“ dokładna, jasno i przejrzyście wyłożona treściwa monografia kraju i narodu. W określeniu zmiennych granic kraju autor uwzględnia zarówno stronę historyczną jak i współczesną; w opisie kraju znajdujemy szczegóły o klimacie, o układzie geologicznym, stanie ekonomicznym, rozwoju przemysłu i handlu, składu etnograficznego ludności różnych okolic. W opisie narodu, po wstępie historycznym, dającym krótki rys jego powstania, znajdujemy szczegółową i możliwie dokładną statystykę Polaków w różnych państwach.

W trzeciej części nakoniec, obejmującej trzy rozprawki różnej treści, należy zaznaczyć to, co Popławski pisze o emigracji brazylijskiej, oceniając przeważnie przychylnie prace różnych podróżników i składając również dowody przenikania przyszłości; wnioski jego okazują się szczególnie dziś prawdziwe.

Ogłoszone prace to zaledwie część puścizny literackiej po Popławskim. Dobrze jest, że zostały ogłoszone, lepiej będzie, gdy ogłoszone zostaną następnie pisma polityczne, był on bowiem przede wszystkim znakomitym pisarzem politycznym. Dobrze, że zostały ogłoszone, bo Popławski w stosunku do swoich wybitnych zalet unysłowych i pisarskich, w stosunku do roli, jaką odegrał, jest zbyt mało znany szerokiemu ogółowi czytającemu. Nie szukał on nigdy rozgłosu, wielu artykułów i prac swoich nie podpisywał, niezłomność przekonań nie pozwalała mu przystosowywać się do nikogo, więc nie mógł pracować i nie pracował nigdy w pismach o szerokiej, powszedniej poczytności, które łatwą i taną sławę jedną. Dlatego był zbyt mało znany. A chociaż pogrzeb jego stał się wspaniałą manifestacją narodową, większość tłumu, który szedł za jego zwłokami, nie znała i nie oceniała go, jako pisarza. Oby go teraz ocenił ten ogół, ten naród, dla którego miłości całe życie w nieustannej walce z potrzebami materialnymi życia codziennego pracował.

Wierzy w to p. Józef Hłasko, długoletni przyjaciel i towarzyszy pracy, którego słowami z przedmowy do „Szkieł“ Popławskiego zakończyć chcemy: „Publicysta może hojną ręką rozwiewać myśli i uczucia, może widzieć, jak przenikają one w dusze i jak je przekształcają, ale z góry rzec się musi nadziei, by imię jego utrwaliło się w pamięci ogółu... Popławski przedwcześnie zszedł z pola, ale myśli jego szerzą przyjaciele, którym los dłużej pracować pozwolił. A gdy rówieśników zabraknie, u steru pracy narodowej znajdują się młodzi, którzy Popławskiego za swe-

go kierownika i nauczyciela uznają. Pamięć o nim żyje w sercach tych wszystkich, co go znali...“

LUDWIK WŁODEK.

„Pamiętniki Stanisława Augusta.“

Naczelnny dyrektor archiwów państwowych rosyjskich, p. Sergiusz Goriainow, znany historykom kwestyi wschodniej z ogłoszenia pracy o „Bosforze i Dardanellach,“ a naszemu dziejopisarstwu specjalnie jako wydawca korespondencji Katarzyny II-ej z Williamsem, przyjacielem i mentorem młodego Stanisława Augusta, umieścił w jednym z ostatnich zeszytów czasopisma „Russkij Archiw“ rzecz o elekcyi ostatniego króla polskiego. Niewiele już można było dodać do przedmiotu, nad którym trudziły się pióra Schmitta, Szujskiego, Roepella, Askenazego, nie mówiąc już o dawniejszych rozmaitej powagi dziejopisach. To też nie jako samodzielne studyum, lecz jako zapowiedź doniosłej publikacyi obchodzi nas tu głównie artykuł p. Goriainowa. Nareszcie można z całą pewnością zapowiedzieć rychłe wyjście na świat całych „Pamiętników“ Stanisława Augusta, nareszcie przestaną one być tajemnicą państwową. Czem będą dla nauki historyi, można po części wnioskować z ustępów, podanych albo streszczonych przez p. Goriainowa. Niebrak tu rzeczy skądinąd znanych, albo takich, które będą znane polskiemu czytelnikowi przed wyjściem III tomu pamiętników (dwa pierwsze odpowiadają edycyi drezdeńskiej polskiego przekładu, 1870); stosunki np. stolnika litewskiego z wujem, Augustem Czartoryskim, wiadome są w swej istocie od półwieku (1862); sporo światła dorzuci fragment oryginalny polski, przeznaczony przez prof. St. Ptaszyckiego dla „Przeglądu historycznego.“ Bądź co bądź w obecnej chwili przedelekcyjny okres życia pamiętnikarza (1758—63) i wszystko, co nastąpi po r. 1765, pokryte jest gęstą mgłą, którą dopiero panu Goriainowi dane będzie rozpedzić. Widać już dziś, że niezależnie od osobistych uprzedzeń i tendencyj Poniatowskiego, od jego chętki samoobronczej, od braku głębszego sądu nad sobą samym i innymi, pamiętniki jego dadzą moc przyczynków pierwszorzędnych, ciekawych rewelacyj, pozwolą ugrupować i powiązać wiele wiadomości luźnych, wogóle odstąpią wiele prawdy.

A czem byłyby owe „Pamiętniki,“ gdyby je ogłoszono w całości pięćdziesiąt lat temu, zanim poznaliśmy niektóre fragmenty

i polski przekład pierwszych części? Byłyby dla nauki zjawiskiem niemal epokowym, dla przypadkowych właścicieli i wydawców—interesem wybornym, dla sfer, którymby zależało na szerzeniu pewnego oświecenia naszej przeszłości—poważnym atutem politycznym. Ież to rzeczy wówczas absolutnie nowych okaże się dzisiaj jeno potwierdzeniem wyników inaczej osiągniętych, sprawi trochę przyjemności temu lub owemu historykowi, że się potrafił obyć bez „Pamiętników,” i trochę żalu, że tyle czasu i pracy nadłożył, krążąc naokoło tajemnic państwowych... Obrońcy owych przestarzałych tajemnic z pod znaków nowowremieńskich nie wiedzieli chyba, że w oświeceniu saskim, austriackim, francuskim, angielskim czy pruskim, niezależnie od zapieczętowanych wspomnień Poniatowskiego, a dzięki znanym oddawna wspomnieniom Katarzyny II, zarówno „romans,” jak i jego dekoracje, wyglądają ciekawiej, niż w opowiadaniu Stanisława Augusta. Dziś już niewiele jest takich sekretów zaprzeszłowiecznych, do którychby droga nie prowadziła przez dostępne archiwa zagraniczne.

Że raz nareszcie położono koniec tej ciuciubabce, zawdzięczać to będziemy niez mordowanemu, zwyciężkiemu zabiegom Goriai-nowa. Wysoki autorytet petersburskiej Akademii Nauk, pod której auspicjami podobno wyjść mają pamiętniki, budzi otuchę, że wydawnictwo stanie na wysokości swego znaczenia. Wydawca, dobry znajomy Poniatowskiego i jego komparsów, pod jednym szczególnie względem budzi zaufanie—pod względem braku uprzedzeń. Nie piszemy tu jeszcze recenzji—gdzieindziej będzie na nią czas i miejsce—ale właśnie dla podniesienia zalet wydawcy wypada zaznaczyć, że artykuł, o którym mowa, ozdobiony został dwoma przypiskami redaktora, pana P. B. Jeden zawiera błędną informację, jakoby Zachar Czernyszew był pierwszym ulubieńcem Katarzyny II: wiadomo, że ów pan miał na imię Andrzej. Drugi opiewa dosłownie: „Wydaje się nam, że czcigodny autor w swym sądzie o Katarzynie, patrzy przez cudze okulary i zapomina, że Katarzyna, mając prawo uważać siebie za założycielkę dynastji, wybrankę ludu, który wręczył jej swoje losy przez przedstawicieli wszystkich stanów w gwardji, wspierała się przy intronizacji na duchowieństwie... Przytem działała w Polsce według testamentu Piotra Wielkiego. Co stałoby się z prawosławną ludnością Polski, gdyby państwowość jej wzmocniła się! Przecież i tak nasze cerkwie oddawano w dzierżawę Żydom, i chcąc pomodlić się, trzeba było kupić pozwolenie u wroga imienia Chrystusowego. Przez wstawienictwo za t. zw. dysydentami Katarzyna zjednywała sobie współczucie najlepszych ludzi w Eu-

ropie i wzmacniała miłość ku sobie narodu rosyjskiego, P. B.“ (str. 420).

Nie chcieliśmy wierzyć z początku, że takie komentarze daje swoim współpracownikom ten sam P. B., Piotr Barteniew, który, wydając przed kilkudziesięciu laty Archiwum Woronców, przypisał wpływom pruskim opór Rosyi przeciw zwiększeniu sił zbrojnych Rzpltej. Widocznie czasy się zmieniają.

Czasy zmieniają się szybko, bo oto dalszy ciąg pracy p. Goriainowa, obejmujący lata 1765-8, otrzymał z łaski redaktora oprawę jeszcze wytworniejszą. W tym artykule rzeczywiście omawiana jest sprawa dysydencka; tu zapewne przeznaczony był powyższy ustęp, który p. Barteniew pod naciskiem wezbranych uczuć pośpieszył wydrukować o miesiąc zawczasie. Przybywają, dzięki p. Goriainowowi, nowe, nader zajmujące szczegóły o stanowisku wojewody ruskiego wobec siostrzeńca-elekta, o kłopotach pieniężnych tego ostatniego, o smutnych losach próby reformy sejmowej w r. 1766; sylwetki Michała Poniatowskiego i Antoniego Przeździeckiego, ważna wiadomość o sprawcach uwięzienia Sołtyka, jakimi według „Pamiętników“ byli Podoski i Stan. Brzostowski, a już napewno nie król. Autor po dawnemu z całym obiektywizmem *relata refert*; redaktor zdobi artykuł przypiskami. Na wstępie wzniosły wiersz Dierżawina: „O Ross, o rod wielikodusznyj, O twiordo-kamiennaja grud', O ispolin, cariu posłusznyj!...“ Z powodu księcia generała ziem podolskich uwaga: „Ks. Adam Czartoryski, ojciec tego, który tak uwodził (obolszczał) później Aleksandra Pawłowicza, P. B.“ Z powodu pułkownika Karra czytamy: „Karr, podobnie jak Bibikow, musiał dobrze znać Polaków, i dlatego może Katarzyna posłała ich na uśmierzenie buntu Puhaczewa, w którym oczywiście główny udział brali Polacy. P. B.“ Oczywiście! na półszosta tysiąca zesłanych konfederatów barskich, na półmiliona zbuntowanego ludu znalazło się kilkunastu „głównych“ uczestników—Polaków!

I znowu oczom niechcemy wierzyć: jestże to pismo naukowo-historyczne? Patrzymy na kartę tytułową: „Russkij Archiw... izdawajemyj Pietrom Barteniewym.“ „O Ross, o rod wielikodusznyj...“

Załączając wyrazy współczucia dla uczciwej historyografii rosyjskiej, czekamy na dalsze *signa temporis*.

WŁ. KONOPCZYŃSKI.

IGN. TAD. BARANOWSKI. *Sądy Referendarskie*. Warszawa, 1909. Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“

Instytucja sądów referendarskich, do których kompetencji należały — już według dotychczasowej opinii, rozszerzonej przez autora niniejszej pracy — sprawy pomiędzy poddanymi dóbr królewskich, a tychże dóbr posesorami, a więc starostami, dzierżawcami i rządcami królewszczyzn i ekonomii, regulowała zarówno zakres władzy bezpośredniego zwierzchnika patrymonialnego nad osobą poddanego królewskiego, jak i przedewszystkiem wysokość ciężarów poddańczych, a więc całe niemal położenie ekonomiczne znacznej części ludności Rzeczypospolitej, bo poddani dóbr królewskich według rachunku Korzona za r. 1791 („Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta,“ t. I, str. 320, tab. 62) stanowili $\frac{1}{6}$ ogółu ludności włościańskiej. Mimo tak olbrzymiego znaczenia tej instytucji w historii wewnętrznej Polski, nie miała ona dotychczas swojej monografii.

Lukę tę wypełnić w ogólnych zarysach ma za zadanie niniejsza praca d-ra Baranowskiego.

Po wstępie, nieco pesymistycznie malującym tło, na którym występują początki sądów referendarskich, autor wyjaśnia ich genezę. Wyłoniły się bezpośrednio, jak wszystkie sądy wyższe, z jurysdykcji osobistej królów. Nietknięte przez organizację trybunałów (1578), a więc pozostawione w ogólnej organizacji sądów sądowych, ukazują się jednak niemal równocześnie z trybunałami (1-y znany wyrok w r. 1582), jako oddzielna dykasterya sądów sądowych. Referendarze stają się mianowicie wyłącznymi i stałymi zastępcami królów w dziedzinie ich patrymonialnego sądownictwa w swoich dobrach, kiedy poddani przychodzą do króla, jako do swojego „pana“ ze skargami na rządców i dzierżawców, albo ci ostatni ze skargami na chłopów, nie wypełniających należycie zcedowanych na ich rzecz obowiązków. Asesorami byli niżsi urzędnicy królewscy — wystarczała jednak obecność referendarza i pisarza referendarskiego. W razie niemożności należytego rozpatrzenia sprawy przez sąd w miejscu urzędowania (na dworze królewskim, a więc tam, gdzie król w danej chwili przebywa) referendaryja mianowała komisję z kilku osób złożoną do zbadania sprawy na miejscu i wydania wyroku lub złożenia tylko rezultatu śledztwa w referendaryi, do której też od wyroku komisji można było apelować. Komisje te zrazu składano z sekretarzy królewskich, później przeważnie z okolicznych ziemian i proboszczów dla zapewnienia sprawiedliwości obydwu stronom.

Kompetencya sądów referendarskich rozciągała się na wszystkie sprawy poddanych a nawet i szlachty w dobrach królewskich, o ile ta siedziała *iure colonario*; w końcu XVIII w. znalazł autor sprawy, dotyczące wsi miejskich, a nawet klasztornych, rozstrzygane przez referendaryę. Oprócz tego niektóre dekrety referendarskie mają charakter ustawodawczy: przytacza np. autor dekret z r. 1712, w którym zakreślono granice, do jakich może sięgać wysokość kar, nakładanych na chłopów przez sądy wiejskie; w końcu zaś w. XVIII cały szereg ustaw i rozporządzeń administracyjnych referendaryi reguluje funkcjonowanie samorządu i całego życia wiejskiego.

Referendaryja (nie referendaryat, jak to stale pisze autor) była jedyną instytucją, ograniczającą władzę dzierżawców, nosiła na sobie cały ciężar opieki prawnej króla i państwa nad ludnością dóbr królewskich. Tam rozstrzygała się sprawa ilości dni pańszczyźnianych i wymagalności najrozmaitszych ciężarów poddańczych, prawa dzierżawców do wprowadzania ograniczeń np. ekonomicznych, jak nakazy kupowania pewnych towarów w karczmie dworskiej lub zakazy sprzedaży własnych produktów poza wieś bez pierwszeństwa dworu, które to ograniczenia wprowadzała szlachta w swoich dobrach dziedzicznych. Jeżeli przytem okazywała referendaryja nieraz zbyt wielką pobłażliwość zwłaszcza w stosunku do możnych starostów, to jednak naogół chęć otoczenia chłopca opieką i wymierzenia mu sprawiedliwości przebija stale w wyrokach sądów referendarskich. Działalność ich w tym kierunku tem była owocniejszą, że referendaryja miała prawo nietylko rozstrzygania sporów cywilnej natury, nietylko karania chłopów, niewypełniających swoich obowiązków, ale też karania kryminalnego starostów, tak, że nawet wyrok banicyi na występne go starostę znalazł autor w księgach.

Stąd znany fakt, że położenie chłopów lepszem było w dobrach królewskich, niż w szlacheckich a nawet duchownych, uważa autor w znacznej mierze za zasługę sądów referendarskich.

Kronika miesięczna.

Odsłonięcie pomników Kościuszki i Pułaskiego i Kongres narodowy polski w Ameryce. — Gorączka syberyjska. — Nasze piśmiennictwo ludowe. — Związek Narodowy w Poznańskim. — Pamięci Kazimierza Wielkiego. — Wielki Kraków. — Wybory do władz T. K. Z. dawniej i dziś. — Wystawa „Czystość — to zdrowie.“

W ubiegłym miesiącu urzędowa Ameryka i zamorscy rodacy nasi obchodzili uroczystość, poświęconą pamięci dwóch wielkich, czystych, pięknych bohaterów naszych: 11 maja odsłonięto w Waszyngtonie pomniki Pułaskiego i Kościuszki. Historia tych pomników jest następująca: Przed kilku laty pułk. Smoleński, jeden z sekretarzy wydziału wojny w Waszyngtonie, odnalazł w archiwach stare postanowienie kongresu jeszcze z XVIII stulecia, wyznaczające 100,000 dol. na wystawienie pomnika Pułaskiemu, dotąd niewykonane. Akt kongresu z dn. 2 kwietnia 1904 r. uchwalił tę potwierdził, zmniejszając jednak kredyt do połowy. Pomnik Pułaskiego miał stanąć na jednym z czterech rogów placu przed Białym Domem, razem z Lafayettem, Rochambeau, de Kalbem. W takim razie jednak pomnik musiałby być pieszym, a że z pojęciem Pułaskiego zrosło się pojęcie świetnego kawalerzysty, więc przeciw takiej uchwale zaprotestowali Polacy amerykańscy. I zaproponowali, że na ów czwarty róg placu przed Białym Domem oni ofiarują Stanom pomnik Kościuszki, a konny pomnik Pułaskiego wystawi rząd na innym miejscu.

Tak się też stało. Chłopi-robotnicy polscy groszami złożyli 30 tysięcy dolarów na pomnik ukochanego Naczelnika; ogłoszono konkurs, na którym pierwszą nagrodę otrzymał bardzo ładny w istocie, ze świetnie postawioną postacią Kościuszki, projekt p. Antoniego Popiela ze Lwowa i ten został wykonany. Pomnik Pułaskiego zaś obstalowano u artysty-rzeźbiarza, Polaka, p. Ka-

zimierza Chodzińskiego w New-Yorku. Ostatniej wykonanej pracy nie znamy; projekty, poprzednio reprodukowane w pismach, były mniej szczęśliwe.

Uroczystość odświeżenia miała charakter świetny i urzędowy. Przy pomniku Pułaskiego przemawiali JE. ks. biskup-sufragan chicagoski (Polak), Rhode, p. Jan Smulski, wybitny działacz polski w Stanach Zjednoczonych, którego niedawno widzieliśmy w Warszawie, prezydent Stanów Zjednoczonych, Wiliam Taft, i p. Franciszek Pułaski z Warszawy, potomek bohatera, poczem odbyła się parada wojskowa i pochód towarzystw polskich. Potem udali się wszyscy do pomnika Kościuszki, gdzie przemawiali cenzor i prezes Związku Narodowego Polskiego, pp. Antoni Schreiber i Maryan Stęczyński, oraz sekretarz wydziału wojny Stanów Zjednoczonych, p. Dickinson. Były prezydent Roosevelt nadesłał depeszę pełną serdecznych wyrazów.

Na tem zakończyła się urzędowa część uroczystości. Naza jutrz otwarte zostały obrady Kongresu narodowego polskiego, które trwały dni cztery; sprawozdań w tej chwili jeszcze nie mamy.

Sprawa Kongresu stała się nową kością niezgody wśród krewkiej i kłótlivej Polonii amerykańskiej. Inicytywa wyszła od Związku Narodowego Polskiego, najstarszej, najliczniejszej (kilkadziesiąt tysięcy członków) i najruchliwszej organizacyi polskiej w Ameryce. Związek jest instytucją świecką, nie mającą charakteru wyznaniowego, jakkolwiek naturalnie olbrzymią większość jego członków stanowią szczerzy katolicy. Obok Związku istnieje Zjednoczenie, organizacya polska i zarazem wyraźnie katolicka i kilka innych o tym samym charakterze. Na tle rywalizacyi tych stowarzyszeń toczą się w Ameryce ciągłe walki. Wystarcza, aby Związek Narodowy podjął jakąś inicytywę, żeby przeciw niej wystąpili współzawodnicy. Tak było w sprawie zbierania składek i wystawienia pomnika Kościuszce, którego dokonał prawie sam tylko Związek, własnymi siłami, to samo zaszło obecnie w sprawie Kongresu: żywioły zachowawcze Polonii amerykańskiej udziału w nim nie biorą.

W pomysłcie inicytatorów Kongres pojęty został szeroko, zbyt szeroko nawet. Zaproszenia otrzymały wszystkie instytucye północno-amerykańskie, wiele instytucyj i wybitnych jednostek w „starym kraju“ ze wszystkich trzech zaborów — słowem miał to być Kongres polski w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Ale takim nie był. Tylko Galicya ma regularną reprezentacyę miast stołecznych i niektórych kół politycznych; z Prus, o ile nam wia-

domo, nie pojechał nikt, z Królestwa zaś zaledwie parę osób, gości zupełnie przypadkowych, nie mogących mieć i nie mających żadnego charakteru jakiegoś przedstawicielstwa. A niewątpliwie przyczyną abstynencji była obawa przed niepolitycznymi krokami, zbyt gorącymi uchwałami, które można przeczuwać, przegładając program Kongresu.

Podzielony on jest na pięć sekcji: polityczną, ekonomiczną, oświatową, naukową i emigracyjną. Program prac sekcji obejmuje: I. W sekcji politycznej odczytane będą 3 referaty, traktujące o politycznem położeniu Polski i postulatach na przyszłość. Po wygłoszeniu tychże nastąpi dyskusya i przyjęcie rezolucyi. II. W sekcji ekonomicznej wygłoszone będą 3 referaty, traktujące o ekonomicznem położeniu Polski i postulatach na przyszłość. Dyskusya i rezolucye. III. W sekcji oświatowej wygotowane będą cztery referaty o szkolnictwie, po jednym z każdego zaboru i dla wychodźstwa; piąty referat w tej samej sekcji podający środki szerzenia oświaty między ludem niezależnie od szkoły urzędowej. Dyskusya i rezolucye. IV. W sekcji naukowej wygłoszona będzie dowolna ilość referatów o udziale Polaków w nauce świata. V. W sekcji emigracyjnej wygłoszone będą referaty na następujące tematy: 1) Emigracya europejska; 2) Emigracya w Ameryce Północnej; 3) Emigracya w Brazylii; 4) Emigracya w Rosyi i Azji; 5) O jedności organizacyjnej dla Ameryki Północnej.

Poważne wątpliwości muszą budzić przedewszystkiem prace sekcji pierwszej, zwłaszcza o ile chodzi o rezolucye co do postanowień na przyszłość. Bezpowrotnie minęły te czasy, kiedy emigracya dawała wskazania polityczne krajowi macierzystemu, ale nawet wówczas była to emigracya polityczna, kwiat kulturalny narodu, a nie—ekonomiczna, na którą składają się jego warstwy ciemniejsze i mniej wyrobione. Tymczasem taką tendencję widzimy w Kongresie, a nie osłabi jej uczestnictwo Polaków ze „starego kraju,“ udział to bowiem zupełnie przypadkowy. I płomienne rezolucye, wyłożone w piorunowych słowach, mogą być następnie nieustannie wygrywane przeciw nam przez wrogów naszych, których inię jest legion.

Gdyby Kongres polski w Waszyngtonie ograniczył się do usiłowań, dotyczących zjednoczenia i interesów Polonii amerykańskiej oraz stosunków jej ze „starym krajem,“ byłby dziełem niezmiernie pożytecznem. Ten zakres działania udaremnia jednak pożałowania godna abstynencya odłamu zachowawczego. Nie będzie zatem połączenia obozów w społeczeństwie polsko-amery-

kańskiem; nie zostaną założone podwaliny pod Macierz Szkolną, co miało być jednym z głównych zadań Kongresu; wszystkie szkoły polskie w Stanach Zjednoczonych znajdują się dotąd w ręku duchowieństwa; bez niego Macierzy zakładać niepodobna, a duchowieństwo w swojej masie udziału w Kongresie nie bierze.

Te uwagi krytyczne, które nasuwa Kongres, nie zmniejszają w niczem uczucia solidarności polskiej, które przepełniało serca ziomków w dniu 11-ym maja i którego wyrazem były liczne telegramy, wysłane na ręce komitetu pomnikowego. Myśli nasze biegły ku dalekiemu, pięknemu, białemu i cichemu, skąpanemu w zieleni miastu, gdzie tłum wielotysięczny składał hołd naszym drogim bohaterom. Stały tam widome znaki, że nie było na świecie pola walki o wolność, gdzieby nie bieleły kości polskie, widome znaki wzniesiono na cześć tych, którzy pierwsi rozpoczęli korowód, ciągnący się nieprzerwanym szeregiem cieniów od Savannah, przez legiony, przez pola węgierskie i włoskie, aż do Sedanu. A że rodacy nasi głęboko chowają w sercach pamięć bohaterkiej przeszłości, że z groszy, zarobionych ciężko przez namulone dłonie stawiają jej pomniki, za to cześć im i uznanie po wszystkie wieki.

*

*

*

Podczas, gdy nasza emigracja zarobkowa regularna święci nietylko pamięć bohaterów, ale i rezultaty swoich usiłowań, swojej pracy, w nieszczęsnym „starym kraju“ wybucha nowy prąd emigracyjny, nowa szkodliwa gorączka, rzucająca tłumy na pewne stracenie, kierująca je na tereny, zgoła dla osadnictwa polskiego nieodpowiednie. Życie wysuwa na porządek dzienny nowy dowód konieczności uregulowania ruchu, niezbędności instytucji, któraby sprawę tę wzięła w ręce, instytucji, która zaledwie powstała (Towarzystwo opieki nad wychodźcami), a już stanęła wobec ciężkiego i ważnego zadania przeciwdziałania masowemu wychodźtwu na Syberję.

Tak często i lekkomyślnie mówi się u nas o owczym pędzie, który jakoby jedynie rozprasza po świecie lud nasz, że warto podkreślić realną i istotną nędzę, która temu ludowi w Zagłębiu każe nawet krainę męczenników uważać za ziemię obiecaną. Zbyt smutnie znane są warunki przemysłowe Zagłębia, abyśmy je tutaj

obszerniej charakteryzować mieli. Brak wszelkich urządzeń kulturalnych, brak wszelkiej pieczy nad robotnikiem, owszem, uważanie go w towarzystwach zagranicznych, zwłaszcza francuskich, tylko za bydlę robocze. Do tego dochodzi teraz przesilenie. Kopalnie pracują tylko pięć dni w tygodniu; zima była lekka, zapasy węgla są duże, więc prowadzone są jedynie roboty przygotowawcze, o wiele gorzej płatne. W hutach znowu usiłują powrócić do niższych płac przedstrejkowych; więc wydalają setki robotników dawnych, którzy mieli płace wyższe, i przyjmują nowych—na poprzednich, gorszych warunkach. Obrony robotnik nie znajdzie żadnej; związki zawodowe są stale krępowane w swej działalności i prześladowane przez władze. Nadzieje różowe, rysowane przez agitatorów w okresie t. zw. wolnościowym, zawiodły zupełnie. Jest gorzej, niż było. Panuje apatya i zniechęcenie i pragnienie wyrwania się z tego otoczenia za wszelką cenę. I jakkolwiek wyraz padnie na takie podłoże, choćby tym wyrazem była „Syberya,“ stanie się hasłem, zawołaniem tysięcy ludu.

Istnieje w Petersburgu komitet przesiedleńczy rządowy, zajmujący się kolonizacją Syberyi. Działalność jego mało była u nas znana, ponieważ dotąd nie było nigdy ruchu masowego, za Ural zdążającego. Działalność ta zresztą nie ma w sobie nic agitacyjnego. Przeciwnie—broszura, którą mamy pod ręką, obok podania warunków przesiedlenia, zwraca uwagę, że jest to najcięższy sposób poprawienia sobie bytu, ostrzega raczej, niż namawia. Więcej. Władze miejscowe były przeciwne emigracji ludu na Syberję, pozwoleń nie udzielały. Aż podania demagogiczne, wysyłanie delegatów do Petersburga cel osiągnęły. Dziś już urzędownie przesiedlać się można; komisarz włościański przyjmuje zapisy na miejscu.

Polacy, jak zwykle, są naturalnie upośledzeni i w przesiedlaniu się. Bliższe, lepsze pod względem klimatycznym i rolniczym okolice Syberyi są przeznaczone dla wychodźców z gubernij centralnych, dla naszych zostały gubernie irkucka i jeniejska, miejsca zesłania, o zimnym klimacie i krótkim okresie wegetacyi. Tam przesiedlenie dostanie 15 dziesięcin (około 30 mg.) ziemi na każdego mężczyznę w rodzinie i pożyczkę bezprocentową w wysokości 100 rb., spłacaną ratami w ciągu lat dziesięciu i na czas jakiś będzie od podatków zwolniony. Cóż z tego? Ziemi nie uprawi, bo to gęsty las, który najpierw wykarczować trzeba, a tu trzeba także postawić ciepły dom na zimę; pożyczka rozejdzie się prędko; wreszcie, jeżeli nawet który z wychodźców przewycięży wszelkie trudności, okaże się, że ziemia jest nie jego, że sprze-

dać jej nie może, że jeżeli porzucić ją będzie zmuszony, nikt mu porobionych nakładów nie zwróci.

Nie wesołe warunki—prawda? A jednak setki ludzi wyprzedaje się z ostatnich gratów, czekając hasła wyjazdu. Najnudziej-si sprzedali lub pozostawiali literalnie wszystko, byle móżdż uczestniczyć w składce na wysłanie kilkudziesięciu delegatów, którzy wyjechali do gub. irkuckiej i jenisiejskiej, aby zbadać stan rzeczy na miejscu.

Za tą emigracją agitują zesłańcy i żołnierze dawni. Zesłańcy administracyjni, przeważnie robotnicy lub rzemieślnicy, zarabiają na Syberji dobrze, więc wszystko widzą w różowych kolorach i listownie zachęcają swich krewnych i znajomych do przesiedlenia. Nie liczą się z tem, że zarabiają dobrze, póki ich jest mało; masowa podaż rąk do pracy musi płacę obniżyć, a w końcu i pracy dla wszystkich zabraknie. Z drugiej strony żołnierze, którzy uczestniczyli w wojnie japońskiej, widzieli żyzne pola Dalekiego Wschodu i Mandżuryi i skłonni są wrażenia swoje uogólniać fałszywie na całą Syberyę. Opowiadają np. w dobrej wierze, że różnice klimatu w stosunku do naszego są bardzo nieznaczne.

A rezultaty tej agitacji? W roku 1909 wyjechało 159 osób, w r. b. dotąd 197. Zdawałoby się—nic. Ale zapisanych jest w tej chwili do gub. irkuckiej 3,748 osób i do jenisiejskiej 1,147 osób. Mówią tam na miejscu, że na rok przyszedł wyjedzie z Zagłębia na Syberyę dwa i trzy razy tyle. W tym roku, ponieważ okres przesiedleńczy kończy się 20 czerwca, wielu wychodźców już nie przybędzie.

Dobrze jest, że dotąd wyjechało jeszcze niewiele osób. Bo będzie można zapewne zaradzić złemu. Jeżeli delegaci przywiozą wieści dobre, te zapisane tysiące ruszą. A wtedy wypadnie poszukać terenów osadniczych dla tych tysięcy, które na rok przyszedły ruszyć zamierzają, kładąc krzyż na tegorocznych—straconych. Jeżeli zaś delegaci przywiozą wieści złe, wypadnie zaraz pomyśleć o jakimś ulokowaniu obecnie zapisanych. Bo żadne baryery, żadne najświętsze nawet zaklęcia nie powstrzymają ruchu, wywołanego przez stałe zagnieżdżenie się w ogniskach rodzinnych straszego gościa—głodu. Można i trzeba tylko myśleć o tem, jak go skierować, aby ludzie nie szli na oczywistą zgubę.

*

*

*

Tego rodzaju gminoruchy, jak obłądne gorączki emigracyjne—nie emigracya, bo ta jest zjawiskiem koniecznym—byłyby niemożliwe, gdyby poziom oświaty pośród naszych warstw ludowych był wyższy. W kraju, w którym mamy blisko połowę analfabetów, nawet perswazyja za pośrednictwem słowa drukowanego nie ma poprostu drogi dojścia. A jeżeli jest nawet pewien postęp w dziedzinie oświaty, to jest on i bardzo nieznaczny i bardzo przypadkowy.

P. Wiktor Ambroziewicz ogłasza w „Kuryerze Warszawskim“ ciekawe rezultaty badań swoich nad naszym piśmiennictwem ludowym. W ciągu dwóch lat ostatnich wyszło 38 książek dla ludu przeznaczonych. Pod względem różnych działów, jakim zostały poświęcone, przedstawiają się, jak następuje:

	Wydano w ciągu 2 lat
Książeczek rolniczych	9
„ dla dzieci	7
„ geografia, etnografia, podróże	4
„ powieści	4
„ na tematy społeczne i prawne	3
„ podręczników początkowych	3
„ varia	3
„ lekarskich	2
„ historycznych	1
„ przyrodniczych	1
„ pedagogicznych i oświatowych	1
„ życiorysów	—

Jeżeli zestawić ze sobą te działy, które zmierzają do nauki młodego pokolenia i te, które zmierzają do udoskonalenia warsztatu pracy ludowej (rolnicze, społeczno-prawne i różne), to otrzymamy na te dwie kategorie 30 i 33% ogółu wydawnictw, co autorowi pozwala wyprowadzić wniosek, że lud samorzutnie przystąpił do pracy ekonomicznej nad polepszeniem swego bytu i do kształcenia młodego pokolenia.

Wniosek słuszny. Chcielibyśmy zaś przedewszystkiem podkreślić dzisiejsze samorzutne dążenie ludu do oświaty, może właśnie zbyt ograniczone do tych kierunków, który wymienił p. Ambroziewicz, może nawet węższe, mniej optyczne, niż dawniejsze bardziej masowe rozpowszechnianie książek, ale pewniejsze. Źródłem najdawniejszym—jeszcze przedpowstaniowem—oświaty ludowej były humanitarne dążenia księży i właścicieli ziemskich, oparte

o uzasadnione pragnienie posiadania robotnika bardziej oświeconego. Była to oświata propagowana, narzucana z góry, jeżeli się tak wyrazić można, a dzieła jej — najstarsze broszury i pisma ludowe — odzwierciedlały dążenia propagatorów, mając charakter czułościowego i sielankowego demokratyzmu, wdrażając obok tego silnie w umysły poczucie karności i hierarchii społecznej. Kiedy w lat dwadzieścia po powstaniu obok powyższych stanęła do warsztatu pracy nad ludem inteligencja miejska, ożywiona szczeremi, czasem zbyt jaskrawemi uczuciami demokratycznymi, naczelnem dążeniem epoki było ugruntowanie w umysłach ludowych podstaw wiedzy ogólnej i ścisłej. Z kolei, w miarę wzrostu ruchu narodowego ukazuje się, importowana z zagranicy, ale na umysły ludu w Królestwie obliczona literatura historyczno-narodowa i polityczna, obliczona przedewszystkiem na rozbudzenie i pogłębienie świadomości narodowej wśród ludu. I jedne i drugie książeczki rozpowszechniają również ochotnicy z plebanii, ze dworów, studenci, panienki, inteligencja z miast; dążenia oświatowe przenikają niby przez niewidzialną a jednak gęstą sieć pośredników. Następuje przełom. Zakładamy Macierz Szkolną i do niej niejako z urzędu przechodzi zadanie szerzenia ścisłej wiedzy, wolnej od wszelkich wpływów ubocznych, opartej o szkoły i o biblioteczki specjalne; inne zadania, wychowawczo-polityczne, przechodzą już do ugrupowań politycznych. Tymczasem Macierz została zamknięta, tętno działalności polityczno-narodowej słabnie; lud faktycznie jest pozostawiony sam sobie. Bezpośredni następstwem zamknięcia Macierzy było znaczne osłabienie wydawnicze w kierunku książek ludowych. A zestawienie, wyżej przytoczone, dotyczy tego okresu czasu, kiedy już sam lud regulował swoje potrzeby oświatowe. Że zaś działalność wydawnicza idzie zawsze w kierunku pragnień spożywców, więc zestawienie to świadczy, że lud chce przedewszystkiem kształcić się w kierunku bezpośrednich potrzeb życia (książki rolnicze i prawne) i że rozumie konieczność uczenia dzieci (podręczniki szkolne i literatura dziecięca). Sam więc zdąża do pokrycia swoich potrzeb najpilniejszych.

Inna rzecz, czy nie należałoby mu pospieszyć z pomocą. I to nie tyle może w kierunku dobrowolnego i bezinteresownego kolportażu, ile raczej w uprzystępnieniu wydawnictw ludowych. Książki dla ludu przeznaczone są u nas zbyt drogie. Może dlatego, że wydawcy rozporządzają zbyt małymi kapitałami, przez co z jednej strony mogą wydawać książeczki w nieznaczej względnie liczbie egzemplarzy, z drugiej zaś muszą dążyć do względnie prędkiego pokrycia kosztów nakładu. Tu więc nasuwałaby się

potrzeba stworzenia jakiejś instytucji zbiorowej, jakiegoś towarzystwa wydawniczego, opartego o kapitały znaczne, zadawającego się skromnym zyskiem i nie posiadającego wymienionych wyżej braków. Z drugiej strony, nie negując pomocy kolportażu dobrowolnego i bezinteresownego, należałoby obmyśleć środki kolportażu za pośrednictwem kupców wędrownych, środki dotarcia książki do najgłuchszych zakątków kraju. Skoro tą drogą rozchodzą się najrozmaitsze głupstwa i bezceństwa, dlaczego nie można jej wyzyskać dla książek dobrych i pożytecznych?

To byłyby na dziś dwa główne postulaty w dziedzinie oświaty ludowej.

*

*

*

Kiedy w poprzedniej kronice pisaliśmy o ostatnich wyborach poznańskich, przewidywaliśmy, jako ich następstwo, skonsolidowanie żywiołów zachowawczych w ziemiach polskich pod zaborem pruskim. Przewidywania te spełniły się tylko częściowo; nie założono stronnictwa zachowawczego, lecz stowarzyszenie jednoczące, którego inicjatywa wyszła z tych sfer właśnie pod nazwą „Związek Narodowy.“ O celach mówi § 1 ustawy, który brzmi, jak następuje: „Związek Narodowy“ jest stowarzyszeniem z siedzibą w Poznaniu i ma na celu: 1) uświadamianie społeczeństwa w sprawach narodowych, społecznych i politycznych na podstawie polskiej i katolickiej, 2) przygotowanie jednolitej akcji całego społeczeństwa w sprawach publicznych, o ile interes narodowy takiej jedności wymaga, 3) bezwarunkowe popieranie legalnych władz wyborczych, przez społeczeństwo sobie nadanych.

Rozwinięciem poglądów inicjatorów jest dołączona do ustawy odezwa. Dowiadujemy się z niej, że nie zakładają partii dlatego, że „w stosunkach naszych prawie niepodobna ustalić programu polityki partyjnej. Przedewszystkiem jednak w naszym położeniu politycznym ogromnie trudno, może wogóle niepodobna, tak prowadzić partyjną politykę, aby z niej nie powstał rozłam w społeczeństwie i nie wyrosła korzyść dla wspólnego politycznego przeciwnika. Bardzo trudno utrzymać partyjną walką roznamiętnione szeregi w takiej karności, aby właśnie stronnictw zamilkły wobec rozkazu wspólnej władzy wyborczej.“

Kierunkiem działalności Związku będzie danie możności ludziom różnych poglądów spokojnego porozumienia się na wspólnym gruncie, usunięcia rozbieżności zdań przez spokojną i rzeczową dyskusję. Zadania tego nie spełniają dotychczasowe organy życia publicznego, wiece i zebrania, do których zniechęca i zraża ludzi spokojnych krzykliwość agitatorów. Wobec tego koniecznością jest wyrobienie w społeczeństwie myśli politycznej i opinii publicznej, która znajduje się w zaniku. Podstawą tej opinii musi być solidarność, wyrażająca się w bezwarunkowym posłuszeństwie legalnie wybranym władzom wyborczym. Działalności „Związku“ ma przyświecać ideał etyczny, ciągłe przypomnienie społeczeństwu, że „źródłem siły narodu jest moralne jego zdrowie, jest wiara w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.“ Pozatem — żadnych dogmatów politycznych.

Życząc oczywiście powodzenia tej inicjatywie jednoczącej, nie możemy się powstrzymać od wyrażenia pewnego sceptycyzmu na tle rezultatów działalności Związku. Polityk zachowawczy i Poznańczyk z rodu, prof. Józef Milewski, mówi słusznie w swej cennej pracy, że wszelkie dotychczas usiłowania tworzenia organizacji, obejmujących całe społeczeństwo bez różnicy zdań, były zawsze oparte na cichej nadziei tworzącego je stronnictwa, że przy takiej pomocy owdadnie sterem rządów, opinią; i istnienie ich było tak krótkotrwałe, jak złudzenia inicjatorów, lub spostrzeżenie się ich przeciwników, że dla nich właśnie pracują. Zachowawczy korespondent „Słowa“ z Poznania nie tai, że „odezwie brak męskiej stanowczości, koniecznego warunku wszelkiego powodzenia na polu politycznym,“ że sprawia ona wrażenia „toastu na temat „kochajmy się,“ hasła, „które zrobiło już wiele złego w Polsce“; walka w imię ideałów, w obronie harmonii społecznej, wobec niebezpieczeństwa anarchii, to walka szczytna, to obowiązek społeczny, tymczasem odezwa „unika wszelkiej walki,“ a „tą drogą nie może kroczyć polityka, a tem mniej organizacja polityczna.“ Wybitny polityk zachowawczy na szpaltach „Dziennika Poznańskiego“ domaga się wyraźnego zorganizowania prawicy, poczem dopiero może i powinno nastąpić zbliżenie dwóch obozów przeciwnych na terenie neutralnym wspólnego programu w sprawach narodowych. Współdziałanie na tym terenie neutralnym, ta spójnia zmniejszyłaby do pewnego stopnia nieufność wzajemną.

Założenie Związku jest posunięciem, skierowanym pośrednio i bezpośrednio przeciw zorganizowanej demokracji poznańskiej. Nic też dziwnego, że z tej strony założenie Związku zostało przyjęte nieprzychylnie. I dlatego umyślnie przytoczyliśmy głosy

z obozu zachowawczego, aby uprzytomnić czytelnikom, że z tej właśnie strony wytoczono także przeciw Związkowi poważne argumenty. Dla nas błędem jest przedewszystkiem założenie odezwę, uważającej za niemożliwe istnienie stronnictw na gruncie społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, co jest dobrowolnym zamykaniem oczu na rzeczywistość—skoro tak niedawno widzieliśmy tam namiętny wybuch walki stronnicej—i na konieczność różniczkowania się wszelkich społeczeństw, a więc i polskiego. Nieporozumienie polega tu na pomieszaniu dwóch pojęć zgoła różnych: solidarności w czynach, czyli w wystąpieniach na zewnątrz i solidarności w poglądach. Pierwsza jest konieczna, może i musi być rezultatem jasnego i wyraźnego porozumienia się wyraźnych stronnictw, gdy druga jest niemożliwa i nieosiągalna. Tyle — co do teorii. W praktyce, gdyby Związek został zaakceptowany przez wszystkich, następstwem musiałoby być rozwiązanie Towarzystwa demokratycznego i gremialne przystąpienie jego członków do nowej organizacji. Byłoby to niczem innym, jak przeniesieniem walki z szerokiej areny społeczeństwa, do węższej, zamkniętej Związku, prowadziłoby z konieczności do usiłowań majoryzowania zwolenników jednych poglądów przez innych i musiałoby doprowadzić do rozbicia instytucji. Skoro zaś tego nie będzie, skoro demokraci pozostaną u siebie, Związek nie obejmie całego społeczeństwa, lecz tylko jego żywioły zachowawcze. Dlaczegoż do tej flagi nie przyznać się odrazu? Nie zwycięża w życiu, kto niema odwagi swoich poglądów i swoich czynów.

*

*

*

Cicho i skromnie obchodziliśmy w ubiegłym miesiącu uroczystość narodzin wielkiego króla, przenoszącą nas w bardzo dawne i piękne czasy potęgi polskiej. 30 kwietnia 1310 r., jako szóste z rzędu dziecko Łokietkowe, przyszedł w Kowalu na świat Kazimierz Wielki i na pamiątkę tego wmurowana została w miejscowym kościele tablica pamiątkowa. Wielkość faktu w zestawieniu ze skromniutkim obchodem uwytknęła może jeszcze jego znaczenie: przypomniawszy ona pamięci społeczeństwa polskiego jedynego króla, któremu historia nie poskąpiła przydomka „Wielkiego.“ Osiągnął on sławę wielką i niepożyta; żyje w pieśni

gminnej, w sercach ludu i w pamięci dziecka, jako „król chłopków“ i jako ten, co „zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną.“

Kazimierz nie był wojownikiem; nie w rozszerzaniu granic z bronią w ręku tkwi jego wielkość, lecz przeciwnie w skupianiu, w zbieraniu państwa polskiego, aby zaprowadzić w nim ład, posłuszeństwo prawu, podnieść jego potęgę ekonomiczną. Był on w tem wyrazem nastroju chwili, wyrazem społeczeństwa, pragnącego spokoju po burzliwych, wojennych czasach Łokietkowych. Ale, jeżeli niechętnie dobywał miecza w walce zewnętrznej, bez wahania i surowo ścinał i wykorzeniał mieczem prawa wszelkie swawole, bez względu na to, czy swawolnika okrywała delia wojewody, czy mitra biskupia; nie zapewniało to nikomu bezkarności, bo prawu wszyscy musieli być posłuszni. Wielki król był znakomitym dyplomata, wiekopomnym prawodawcą, budownikiem przyszłej potężnej Polski Jagiellonowej.

Po bitwie pod Płowcami, zwycięskiej, ale krwawej, kraj był wycieńczony. Więc Kazimierz okupił pokój od krzyżackiej strony odstąpieniem żartocznemu zakonowi Pomorza. Na tron polski czyhali książęta niemieccy Czech, tocząc nieustanne boje. Kazimierz uspokoił ich odstąpieniem Ślązka i za zgodę z cesarzem otrzymał w lenne władanie Mazowsze, przygotowując w ten sposób połączenie tego księstwa z Polską. Natomiast, korzystając z wygaśnięcia rodu, zagarnął dla Polski Ruś halicką, Wołyń i zhołdował Podole; przeczuł dziejową rolę Polski na wschodzie, do której nie dorośli potomni. A jakiegokolwiek żale roztaczałibyśmy my, współcześni, z powodu utraty Ślązka i Pomorza, a przez to pośredniego wzmożenia dalszego rozwoju potęgi niemieckiej, wierzy historykom, o źródła opartym, że taka polityka Kazimierzowa była w danej chwili i najlepsza i najodpowiedniejsza. W dziedzinie polityki wewnętrznej przypomnijmy kodyfikację praw polskich w Statucie Wiślickim, obowiązującym całe państwo z uznaniem praw zwyczajowych Wielkopolski przez Statut Piotrkowski, przez co silnym węzłem złączona wstała Wielkopolska z Małopolską, dalej stworzenie najwyższego sądu wedle prawa magdeburskiego w Krakowie, aby mieszczanie nie apelowali poza granice kraju. Założenie Akademii w Krakowie, przyozdobienie i rozszerzenie stolicy, rozwój handlu i przemysłu w kraju — oto inne zasługi Kazimierza. I znowu zastrzedz się trzeba: jeżeli żałujemy często, że ten rozwój ekonomiczny nastąpił kosztem sprowadzenia do Polski Żydów, niech nam ten krok królewski nie przysłania wielkich zasług monarchy.

Bo mało mamy w historyi takich postaci, jak król Kazimierz Wielki; za żadnego monarchy przedtem, ani potem, nie jaśniała Polska taką spokojną potęgą, chociaż były panowania barwniejsze, bardziej bohaterские. Stoi on na przełomie dziejowym, jak symbol i twórca państwa z szeregu drobnych księstw, jako krzewiciel kultury zachodniej, jako stróż prawa—i nasuwa myśl, że gdyby Polska rozwijała się wedle wskazanych linii wytycznych, gdyby wytrwała w poszanowaniu prawa, może inne byłyby losy spuścizny Kazimierzowej, niż dzisiejsze.

*

*

*

Od wielkiego monarchy łatwe jest przejście do ukochanej jego stolicy, którą murowaną zostawił i pięknymi gmachami przyozdobił. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym miesiącu, kiedy my wmurowywaliśmy w Kowalu tablicę, upamiętniającą sześćsetlecie urodzin Kazimierza, Kraków święcił uroczystość rozszerzenia swoich granic. Mocą uchwały Sejmowej wcielony został w życie projekt stworzenia „Wielkiego Krakowa“; dwanaście gmin podmiejskich i trzy obszary dworskie włączono w obręb miasta, dzięki czemu obszar jego wzrósł kilkunastokrotnie, a ludność kilkakrotnie. Rozstrzygnięty został konkurs, którego trudne zadanie polegało na tem, jak rozwiązać sprawę przyłączenia, aby kresy miasta korzystały w pełni z urządzeń wielkomiejskich, komunikacyjnych, higienicznych, oświatowych, estetycznych, łącznie ze zmianami, wymaganymi przez względy techniczne, skanalizowaniem Wisły, zmianą koryta Rudawy, budową dworca osobowego i towarowego. Słowem, chodziło o to, aby najciańsze dziś z miast zamienić na takie, w którym byłoby łatwo oddychać i krążyć. Najciańsze, bo gdy w Wiedniu przypada na kilometr kwadratowy terytorium miejskiego 7,226 mieszkańców, w Gracu — 7,276, w Berlinie — 6,432, we Lwowie — 4,996, w Krakowie dzisiejszym na tej samej przestrzeni mieszka aż 17,040 ludzi!

Nagrodzony na konkursie projekt nowego urządzenia miasta rozwiązuje złożone zadanie w ten sposób, że przewiduje jakby istnienie kilku miast w jednym, przyczem każda z tych dzielnic ma być we środku zabudowana gęsto, dalej sieć ulic ma rzędnąć, aż wreszcie rozlewać się w okalających je ogrodach. To rozwią-

zanie pozwala stopniowo zużytkowywać dla celów mieszkalnych dzisiejsze ogrody podmiejskie, a więc regulować gęstość zaludnienia miasta i tym sposobem zabezpieczać je od zgubnego przełudnienia. Inny nagrodzony projekt uwzględnia szeroko estetykę przyszłości. Jeżeli plany te zostaną nawet w odległej przyszłości wykonane, Kraków stanie się jednym z najpiękniejszych miast świata, zdobnym w takie artystyczne budynki, jak teatr Wyspiańskiego, dom kąpielowy i wieżę świetlną, takie piękne urządzenia, jak regulacja Wisły pięknymi półkolami, ogród Kazimierza Wielkiego i t. d.

Rada miasta na pamiątkę uchwały Sejmowej, „Wielki Kraków“ erygującej, przyjmowała dostojnych gości, naczelników władz, wybitne osobistości krajowe, posłów sejmowych. W mowie programowej prezydent miasta stwierdził, że tego rodzaju reformy, jak rozszerzenie granic, nie można wykonywać powoli, krok za krokiem, lecz trzeba dokonać odrazu, jednym zamachem. Dlatego domagano się uchwały Sejmowej, a Sejm zrozumiał pobudki i przyjął projekt jednomyślnie. Rada miejska rozumie wielkość swoich zadań, ale ufa, że nie zbraknie sił do ich spełnienia. Wierzy, że w tym Krakowie, w którym spełniały się wielkie w kraju wypadki, jeszcze inne wielkie spełniać się będą i z umiłowaniem tworzyć będzie dla nich otoczenie odpowiednie. Powodzenia w tej pracy życzyć im będzie każdy Polak, bo w sercu każdego z nas poczesne miejsce zajmuje pierwsza historyczna stolica Polski, droga pamiątka wielkiej przeszłości.

*

*

*

Zbyt skłonni jesteśmy do twierdzenia, że w życiu Królestwa nic się nie zmieniło w ciągu ostatnich lat kilku. Tymczasem stosunek nasz do różnych, powtarzających się peryodycznie faktów zmienił się zasadniczo, świadcząc dowodnie, że i czasy się zmieniły i coś się zmieniło w rzeczywistości. A oto przykład. Szanowna, doskonale, rozważnie i solidnie prowadzona instytucja ziemiańska, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, odnawia częściowo w roku bieżącym skład swoich zarządów, zarówno prowincjonalnych, jak i stołecznych. Jeszcze przed laty kilku wybory do władz T. K. Z. były wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia w na-

szem życiu publicznem. Mówiono i pisano o nich przedtem; na wybory wysyłały pisma specjalnych korespondentów, którzy streszczali obszernie postawione wnioski, treść rozpraw przedwyborczych, podawali w całości mowy urzędowe, telegrafowali spieszenie rezultaty wyborów. A ponieważ chodziło ostatecznie tylko o instytucję finansową, kredytową, to zainteresowanie, w zestawieniu chociażby z zajmującymi tylko bezpośrednio zainteresowanych wyborami np. do „lanszaft“ pruskich sąsiednich, wywoływało nieraz ironiczne wzruszenie ramion. I wywoływało niesłusznie. Bo te wybory to był jedyny objaw wyraźny i legalny życia zbiorowego w całym kraju i nie mogły nie wywierać wrażenia w społeczeństwie, które nie straciło jeszcze długoletnich tradycji instytucyj reprezentacyjnych; stąd też i postać radcy otoczona była jakąś aureolą wybrańca, męża zaufania powszechnego. Działo się tak, chociaż wybory te nie miały nic wspólnego ani z polityką, ani z ogólnem życiem społecznem kraju; a zainteresowanie ogólne wzbudzało nawet podejrzenia władz rządowych, z których jednak Towarzystwo Kredytowe Ziemskie zawsze wychodziło zwycięzko.

Minęło parę lat zaledwie i zainteresowanie osłabło; wybory do władz T. K. Z. spadły do poziomu zwykłych zmian w wielkich instytucjach finansowych, obchodzących tylko zainteresowanych. Tymczasem życia reprezentacyjnego, chociażby tylko samorządnego nie mamy dotąd, wybory do Izby przypadają rzadko, działalność nawet naszych posłów nie zajmuje ogółu, który jest przekonany, że nic zrobić nie mogą, z drugiej strony właściciele ziemscy odgrywają w społeczeństwie tę samą rolę, co i dawniej. Źródła zmiany należy zatem szukać gdzieindziej. Upatrujemy ją w niewielkiem, ale niewątpliwem rozszerzeniu swobody prasy. Czytelnik szuka dziś w pismach informacji, ale i oświecenia zjawisk mniej lub więcej jasnego, odpowiedzi na palące kwestye dnia, skarg i żądań w przedmiotach, które wszystkich razem i każdego z osobna dotyczą. Czy je znajduje — to inna kwestya. Ale to pewna, że nie będzie czytał łanowych sprawozdań o życiu instytucji — powtarzamy, bardzo szanownej, bardzo pożytecznej, ale tylko finansowej, której losy dotyczą tylko stowarzyszonych. Brak zainteresowania wyborami do T. K. Z. to tylko jeden ze znaków zmiany czasów.

*

*

*

Pod patronatem moralnym Prusa, Towarzystwo Hygieny Praktycznej jego imienia urządziło wystawę p. t. „Czystość—to zdrowie.“ Znakomity pisarz nie widział tego dzieła, w myśl wiele lat przez niego głoszonych zasad poczętego, złożony był bowiem ciężką chorobą, z której teraz dopiero się podnosi. A rzecz sama bardzo warta była widzenia.

Zadajmy sobie najpierw pytanie, dla kogo urządzane są wystawy podobne? Zagranicą — byłyby to prawie jedynie pokaz higieny społecznej, tam bowiem nie trzeba uczyć jednostek czystości, której potrzebę w swoim otoczeniu bezpośrednim uznają i rozumieją. Inaczej u nas: brak czystości jest jednym z głównych grzechów naszego społeczeństwa. I nie mamy tu na myśli ludu, stojącego na niskim poziomie kulturalnym i może nieraz zbyt biednego, aby mógł sobie na stosowanie w życiu niepokalanej czystości pozwolić, nie mówimy o Żydach, których zamiłowaniem do brudu i nieporządku jest cechą wszystkich narodów wschodnich, ale mamy na myśli warstwy średnie, oświecone i niby to kulturalne. Żeby wspomnieć tylko o najbardziej zasadniczych cechach czystości, mycie i kąpiel nie są wcale wśród nich potrzebą; możnaby np. wskazać setki rodzin, w których mycie jest formalnym zwyczajem, a kąpiel ewenementem świątecznym; możnaby wskazać dziesiątki nowych dworów wiejskich, należących do rodzin mniej lub więcej zamożnych, przy których budowie nie uwzględniono łazienki. W takich warunkach życia wystawa „Czystość—to zdrowie“ jest bardziej potrzebna, niż gdzieindziej. I spełnia dobrze swoje zadanie, szerząc zasady higieny racjonalnej (pokoje domowe), społecznej (sale szkolne, łaźnie i t. d.), ludowej. Dwa nasuwają się zarzuty, może raczej należałoby powiedzieć, uwagi. Pierwsza, że higiena nie zawsze zgadza się z estetyką—a należałoby tu zbudować jakiś most połączenia. Bo w szlachetnem dążeniu do stosowania w życiu naszym zasad higieny, stworzono typy idealnych pokojów, które nad miarę przypominają wzorowe zapewne, ale niewesołe szpitale. Zdrowie jest wielkiem szczęściem—niewątpliwie; ale czyż koniecznie trzeba się dla niego wyrzec tkanin na ścianach, wygodnego, starego wolterowskiego fotelu, puszystego dywanu, miękkiej sofy, bardziej skomplikowanego sprzętu drewnianego, bo na nim łatwiej kurz osiada. Dobrze jest, że higiena współczesna i mieszkania i pożywienia kroczy pod znakami ascetyzmu. Ale—czy czasem ten stosowany ascetyzm nie stanie się rodzicem hipochondryi, melancholii, które zniweczą jednym zamachem zaledwie osiągnięte rezultaty lepsze-

go zdrowia? Czy surowi higieniści zapewnią ludzkości większą sumę szczęścia?

Druga uwaga dotyczy przepaści, jaka oddziela ideał od życia. Wystawa—to ideał; życie przeciętne—to manifestacja brudu i niechlujstwa. Czy tak niezmiernie dalekie ideały nie odstraszą zwiedzających, jako niemożliwe do zastosowania w życiu codziennym i czy nie lepiej byłoby, aby pokazano nam jakąś osiągalną przeciętną, jakiś kompromis między ideałem a życiem? Kiedy czytamy nieraz w pismach artykuły, nawołujące do zmieniania bielizny i kąpienia się parę razy dziennie, jesteśmy przekonani, bo artykuły są pisane z talentem, ale zarazem zrozpaczeni, bo nie możemy się do tych przepisów zastosować. Kiedy poznajemy następnie autorów surowych przepisów, przekonywamy się na ich osobach, jak dalece zniechęcająco wpływa odległość ideału od życia, skoro praktyka spada nawet poniżej czystości przeciętnej, i mimowoli nasuwa nam się uwaga łacińska o kuracyi własnej lekarza.

Takie uwagi ogólne dyktuje praktyczność. Nie zawierają one zresztą, broń Boże, krytyki wystawy, dobrych i pożytecznych usiłowań pod hasłem słusznym, bo czystość to istotnie zdrowie, usiłowań, którym tylko życzyć można największego powodzenia i najszerszego rozpowszechnienia.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Eliza Orzeszkowa.

Umarła. Zerwała się nić pracy, snutej zacie i wytrwale blisko przez pół wieku. Przestało bić serce, które nadewszystko ukochało ojczyznę i naród, gdy wola kierowała twórczością w imię służby tym dwóm ideałom. Za miłość wierną, za wytrwałość niezmożoną, za wiarę i otuchę w przyszłość, za krzepiące słowa w najcięższych chwilach, za niezmordowane szukanie najlepszych dróg dla swego narodu—cześć Jej i pamięć wieczna. Cały naród, bez różnicy przekonań, stoi w żałobie u trumny znakomitej powieściopisarki, która do ostatniej chwili wytrwała na obranem stanowisku, niby na rubieży granicznej między Polską i Litwą, wskrzeszając najlepsze tradycje unii i spójności duchowej obu dzielnic dawnej Rzeczypospolitej. Do licznego szeregu znakomych i zasłużonych pisarzy, którzy tej unii byli wyrazem, przybył jeden duch jeszcze—najzaciejniejszy, najszlachetniejszy.

Waliło się wszystko w gruzy w chwili, kiedy Orzeszkowa rozpoczynała swoją pracę. Po olbrzymim napięciu ducha nastąpił straszny pogrom, stokroć jeszcze straszniejszy na Litwie. Po wielkich nadziejach i złudzeniach nastąpiła martwota. A przecież trzeba było trwać, przetrwać, nie uronić nic z duchowej puścizny narodu, owszem, iść naprzód, wzbogacać ją, wskazywać drogę, którą iść należy.

Znakomita powieściopisarka była przedewszystkiem dzielną, niezłamaną niczem obywatelką. I ta cecha pokierowała jej twórczością. Niezmiernie wrażliwa na prądy chwili, umiała je jednak przedziwnie przetwarzać w sobie tak, że z pod pióra jej wychodziły w postaci syntezy, wskazania, któremu obce były wszelka

jednostronność i jaskrawość. Regulatorem była tu głęboka i mądra miłość.

Jako reakcja przeciw romantyzmowi, którego wyrazem był rok 1863, rzucono hasła pozytywistyczne; jako reakcja przeciw hegemonii szlachty, wystąpiła idealizacja mieszczaństwa i inteligencji. Hołduje tym prądom Orzeszkowa i w pierwszych powieściach protestuje przeciw próżności, małostkowości życia zaścianków („Na prowincyi,“ „W klatce,“ „Wesoła teoria i smutna praktyka,“ „Pompalińscy,“ „Pan Graba“), wskazując szersze ideały społecznej pracy. Uderza też jej oczy los kobiet-lalek, kobiet-bluszczów, owiniętych około mężczyzny i wskazuje im nowe drogi samodzielności i pracy („Pamiętnik Wacławy,“ „Marta,“ „Marya“), nie stając się jednak nigdzie rzeczniczką radykalnych hasł emancypantek.

Kiedy młodzież polska, powracając z uniwersytetów rosyjskich, podlega wpływom nihilizmu, znakomita autorka protestuje przeciw temu („Sylwek Omentarnik,“ „Widma“), wykazując marnowanie sił polskich w służbie obcym ideałom. A gdy ta obcość wciska się klinem w społeczeństwo nasze inną drogą, drogą zaszczytów, dostojęństw, bogactwa, słowem—karyery życiowej, Orzeszkowa znowu przestrzega przed niebezpieczeństwem („Australczyk,“ „Bracia“), przeciwstawiając służbie obcemu Baalowi trzymanie się za wszelką cenę ziemi własnej, chociażby kosztem trudnej i znożnej pracy.

W szeregu powieści i nowel, jak „Meir Ezofowicz,“ „Eli Makower“ i „Ogniwa,“ autorka maluje z wielkiem współczuciem niedolę Żydów i staje się gorącą rzeczniczką prądów asymilacyjnych. A w ostatnich latach, kiedy ze smutkiem spostrzegła bankructwo tych prądów właśnie w sferach żydowskich, zamierzała znowu zabrać głos w tej sprawie, na co przedwczesna choroba i zgon nie pozwoliły.

Do klejnotów twórczości Orzeszkowej należą jej powieści z życia ludu i drobnej szlachty—„Cham,“ „Dziurdziowie,“ „Bene Nati,“ „Niziny,“ a zwłaszcza „Nad Niemnem.“ W tej ostatniej, świetnie pisanej, usiłuje autorka dać syntezę sprzecznych pozornie interesów dworów, dworków i chat, a znajduje ją z jednej strony w tradycjach wspólnych walk przeszłości, z drugiej zaś znowu we wspólnej, codziennej, żmudnej pracy dla lepszej przyszłości. I w tem wskazaniu streszcza wszystko, co w danej sprawie powiedzieć można.

Ten wielki talent rozwijał się w sposób niepospolicity. Do ostatniej chwili nie znać było wyczerpania, osłabienia twórczości,

tak pospolitego w starszym wieku. Przeciwnie, zda się, że, jak szlachetne wino, krzepła, tężała i świetniała z wiekiem. Zawsze na pierwszy plan wysuwała się ta sama troska gorąca o dobro publiczne, ale w formie, w staranności i głębokości obrobienia widzimy olbrzymie różnice: dość porównać taki np. „Pamiętnik Wacławy“ z „Argonautami“, aby ten niezwykle postępowy stwierdzić.

Na schyłku pożytecznego żywota doczekała Orzeszkowa czasów lepszych nieco. I mogła podzielić się z narodem wrażeniami podniosłymi i strasznymi, które kształtowały jej duszę młodzieńczą. Ze wspomnień z przed lat blisko pięćdziesięciu powstał zbiór pięknych nowel, głoszących nie „biada!“ lecz „chwała zwyciężonym“ bohaterom („Gloria victis“). A w ostatnich miesiącach życia nosiła się z zamiarem napisania wielkiej powieści na tle wypadków 1863 r. Niestety, los chciał, że ten tomik wspomnień stał się śpiewem łabędzim Jej duszy, zataczając niby krąg od końca do początku życia, krąg na wyższym, najdroższym poziomie twórczości.

Piszemy te słowa pod wrażeniem bezpośrednim bolesnej wieści. Znakomitej autorce poświęcimy obszernie studyum, tymczasem zaś w tej dorywczej notatce można zaledwie zaznaczyć tylko pobieżnie poszczególne punkty w jej płodnej działalności. I stwierdzić zarazem, że bolesne dźwięki grodzieńskich dzwonów żałobnych rozlegają się echem w sercach wszystkich.

Aczkolwiek miejscem wiecznego spoczynku Orzeszkowej powinny być grobowce zasłużonych, na Skałce, prawdopodobnie jednak drogie szczątki spoczną w Grodnie, w owym ukochanym przez autorkę Ongrodzie, w którym całe pożyteczne spędziła życie, gdzie po śmierci jeszcze grób jej mówić będzie, że to ziemia kultury polskiej, która kwitła tu jednym z najbujniejszych jej kwiatów.

L. W.

*

*

*

Eliza Orzeszkowa-Nahorska, z domu Pawłowska, urodziła się w r. 1842 we wsi Milkowszczyźnie (gub. i pow. grodzieński) z ojca Benedykta i matki Franciszki z Kamieńskich. Kształciła się na pensji klasztornej Sakramentek w Warszawie (1852—1857).

W r. 1858 wyszła za mąż za Piotra Orzeszkę, właściciela Ludwinowa, w pow. kobryńskim. Zaraz po powstaniu powróciła do Milkowszczyzny, owdowiała i wkrótce potem wyszła drugi raz za mąż za Stanisława Nahorskiego, adwokata przysięgłego z Grodna. Odtąd aż do śmierci Grodna nie opuszczała, ciesząc się tam powszechnym szacunkiem i uznaniem bez różnicy sfer, wyznania i narodowości.

Pierwszym jej utworem był drukowany w „Tygodniku Ilustrowanym“ w r. 1866 „Obrazek z lat głodowych.“ Potem idą szybko po sobie „Ostatnia miłość“ (1868), „W klatce“ (1870), „Cnotliwi“ (1871), „Pamiętnik Wacławy“ (1871), „Pajęczyna“ (1871), „Pan Graba“ (1872), „Marta,“ „Marya“ (1873), „Na dnie sumienia“ (1873), „Pompalińscy“ (1876), „Meir Ezofowicz“ (1876), „Rodzina Brochwiczów“ (1876), „Widma“ (1881), „Sylwek Cinentarnik,“ „Zygmunt Ławicz i jego koledzy,“ „Na prowincyi“ (1884), „Wesoła teoria i smutna praktyka“ (1885), „Kramarz“ (1885), „Eli Makower“ (1885), „Mirtala“ (1886), „Cham“ (1888), „Niziny,“ „Dziurdziowie,“ „Nad Niemnem“ (1888), „Jędza“ (1891), „Czciciel potęgi“ (1891), „Argonauci“ (1893), „Bene Nati,“ „Australczyk“ (1896), „Anastazy,“ „Ad astra“ (drukowane w naszym piśmie), zbiory nowel „Melancholicy“ (2 t.), „Z różnych sfer“ (2 t.), „Gloria victis,“ rozprawy publicystyczne: „Patryotyzm i kosmopolityzm,“ „Kilka słów o kobietach,“ „O wpływie nauki na rozwój społeczeństwa,“ „O żydach i kwestyi żydowskiej,“ „O kobietach.“ Pisma Orzeszkowej wyszły w zbiorowym wydaniu w 44-ch tomach, w latach 1884—1888, jako dodatek do „Kłosów“ i wybór pism w czterech tomach, w taniem wydaniu, nakładem H. Wawelberga w r. 1899. Na cześć znakomitej autorki wydana została książka zbiorowa pisarzy polskich „Upominek,“ a w r. 1907 obchodzono uroczystie czterdziestoletni jubileusz jej pracy pisarskiej.

Ś. p. Paweł Popiel.

Zmarł w Krakowie wybitny pisarz, publicysta i ziemianin, jedna z najbardziej znanych w starej stolicy postaci, uczony i polityk zachowawczy.

Ś. p. Paweł Popiel urodził się w r. 1837 w Krakowie. Był synem znanego polityka i pisarza Pawła oraz Emilii z Sołtyków, a bratankiem Wincentego, dziś J. E. arcybiskupa warszawskiego.

Dziecinne lata przepędził w Królestwie, w Kurozwękach, nauki pobierał w gimnazyum na Ślązku, poczem wstąpił do uniwersytetu Jagiellońskiego, który ukończył w r. 1861 ze stopniem doktora praw.

Był to okres organizacyi Szkoły Głównej w Warszawie. Zaszczytne opinie o wielkich zdolnościach młodego polityka sprawiła, że margrabia Wielopolski powołał ś. p. Popiela na katedrę pandektów prawa rzymskiego. W okresie powstania zmarły, wraz z innymi swoimi kolegami powstrzymywał studentów od udziału w ruchu. A kiedy Szkoła Główna została zmieniona na uniwersytet z wykładowym językiem rosyjskim, ś. p. Paweł Popiel musiał opuścić zajmowane stanowisko z żalem i stratą dla młodzieży, wśród której umiał budzić zapal i przywiązanie dla starej kultury rzymskiej, której sam młody profesor był wielkim znawcą i miłośnikiem.

Po wyjeździe z Warszawy zamienił tę profesorską na le-miesz starodawny, osiadł bowiem w Ściborzycach, pow. miechowski. Ale nie zerwał przez to z ulubionymi studjami nad literaturą grecką i rzymską. Owocem tych studyów jest dokonany w r. 1869 jeden z najlepszych w literaturze polskiej przekład „Iliady.“

Na schyłku siódmego dziesiątka lat ubiegłego wieku osiadł ś. p. Paweł Popiel w rodzinnym i ukochanym Krakowie i tutaj pracował w zawodzie publicystycznym, zasilając cennymi pracami swojemi „Czas,“ „Przegląd Polski“ i pisma warszawskie. Z licznych prac jego, wymieniamy tu rozprawy: „O Janie Zamoyskim“ i „O panowaniu Leona XII na stolicy apostolskiej.“

Zeszedł do grobu człowiek znaczny, przedstawiciel dawnej wysokiej kultury polskiej, coraz rzadszy typ obywatela, pisarza i ziemianina, harmonijnie w jednej osobie złączonych.

ś. p. Maryan Gawalewicz.

Lwowianin z urodzenia, zmarł we Lwowie, ale całe życie jego, cała karyera literacka rozwijała się w Warszawie. Trzydzieści pięć lat temu przybył do naszej stolicy dwudziestotrzyletni młodzieniec, który wyrobił sobie odrazu stanowisko literackie. Pierwszy jego utwór, zamieszczony w *Kuryerze Warszawskim*, „Hieroglify życia,“ był zwycięstwem młodego pisarza, którego

talent zwrócił już poprzednio uwagę ówczesnego redaktora, Wacława Szymanowskiego. Pracował też Maryan Gawalewicz w „Kuryerze“ przez długie lata, był potem współredaktorem „Tygodnika Illustrowanego“, redaktorem „Bluszczu“, a we wszystkich tych pismach pisywał felietony, lekkie, ślizgające się po powierzchni życia, pełne sentymentu, które bardzo podobały się licznym rzeszom czytelników. Dla tych samych zalet były także bardzo poczytne powieści i nowele Gawalewicza: „O niej“, „Gasnące dusze“, „Filibistry“, „Drugie pokolenie“, „Mechesy“, „Cudak“, „Majster do wszystkiego“, „Królowa Niebios“, „Szubrawcy“, „Mgła“, „Dusze w odlocie“, „Ćma“, „Warszawa“ i inne. Utwory dramatyczne, przeważnie jednoaktowe, jak „Preludium Szopena“, „Barkarola“, „Figiel Benwenuta“, „Z rozpaczy“, „Bibiński“, „Hannibal ante portas“ cieszyły się wielkiem powodzeniem i do dziś dnia są w stałym repertuarze teatrów amatorskich.

Zmiana prądów, pogłębienie życia, większe i poważniejsze wymagania czytelników sprawiły, że w ostatnich dziesięciu latach zbladła gwiazda najpopularniejszego bez zaprzeczenia pisarza, jakim był Gawalewicz. Przypada to mniej więcej na epokę przerzucenia się zmarłego wyłącznie do teatru, który znał, kochał, jak mało kto, a którego dotąd dotykał się jedynie z zewnątrz, jako krytyk dramatyczny. Wielką zasługą Gawalewicza jest prowadzenie teatru polskiego w najtrudniejszych warunkach w Łodzi; większą—prowadzenie go na wysokim poziomie literackim i artystycznym. Mieliszny sposobność przekonać się o tem naocznie podczas licznych gościń trupy łódzkiej, a następnie także, kiedy Gawalewicz ze swą trupą osiadł w stolicy, prowadząc pierwszy i jedyne na tym gruncie stały teatr prywatny, dobrze zapisany w pamięci wszystkich Teatr Mały w Filharmonii. Była to praca kosztowna. Jeżeli pierwszy okres życia Gawalewicza był dla niego materyalnie pomyślny, wprost przeciwnie było w drugim. Zmuszony był w r. z. Teatr Mały porzucić, oddając go w inne ręce. I zaraz przeszedł na wysokie i odpowiedzialne stanowisko dyrektora teatru we Lwowie. Ale tu sterane długoletnią pracą i kilkoletnią szarpaniną teatralną siły odmówiły mu posłuszeństwa. Po paru miesiącach zapadł ciężko na zdrowiu i zgasł w pełni wieku dojrzałego, kiedy mógł jeszcze wiele dokonać na polu umiłowanej sztuki.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— STYPENDYA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na 2 stypendya imienia b. p. Henryka Wohla. O stypendya te, w kwocie 900 koron rocznie, mogą się ubiegać młodzieńcy pochodzenia włościańskiego i młodzieńcy wyznania mojżeszowego, pochodzący z Galicji Zachodniej lub Królestwa Polskiego, uczęszczający do jednego z uniwersytetów galicyjskich lub na uniwersytet warszawski i poświęcający się studjom nad językiem polskim, literaturą polską lub historią polską. Stypendya mogą być wypłacane przez cały przeciąg studyów uniwersyteckich, oraz przez dwa lata po normalnem ich ukończeniu, o ile kandydat zamierza zdawać doktorat. Podania petentów przyjmowane będą do 20 października r. b.

Taż sama Akademia ogłasza konkurs na 5 stypendyów po 5,000 koron rocznie z fundacyi ś. p. Wiktora Osławskiego. Ze stypendyów tych korzystać mogą docenci uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i politechniki lwowskiej, oraz nauczyciele gimnazyów i szkół realnych w kraju lub zagranicą, którzy nie przekroczyli 40 lat życia i pragną kształcić się na profesorów wyższych polskich zakładów naukowych. Przedmiotem studyów może być każda gałąź wiedzy ludzkiej z wyjątkiem nauk teologicznych. Z europejskich uniwersytetów wyłącza się jedynie uniwersytet we Fryburgu w Szwajcaryi. Podania na kandydatów przyjmowane będą do dnia 29 czerwca r. b.

Dwa stypendya imienia ś. p. Maryi Jankowskiej po 900 koron rocznie będą przyznane młodzieńcom pochodzenia polskiego stanu szlacheckiego, religii katolickiej, pragnący kształcić się w wyższych zakładach naukowych w Krakowie lub poza obrębem Krakowa. Zamiast dwóch stypendyów, może być przyznane jedno w kwocie 1,800 koron. Podania składać można do 15 czerwca roku bieżącego.

Stypendyum imienia ś. p. Zenona Pileckiego w kwocie 2,400 koron przyznane będzie Polakowi, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora, lub też na jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem kandydata i pragnie udać się zagranicę dla dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. W r. b. o stypendyum ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się naukom przyrodniczym. Podania przyjmowane będą do 15 czerwca roku bieżącego.

Wreszcie o stypendyum im. Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5,000 franków ubiegać się mogą młodzieńcy, posiadający wyższy stopień naukowy i znani z gorliwej pracy w zawodzie, któremu pragną się poświęcić. W roku bieżącym stypendyum to na dopełnienie studyów naukowych zagranicą przyznane będzie kandydatom, którzy poświęcają się naukom humanistycznym lub przyrodniczym. Podania przyjmowane będą do 15 czerwca r. b.

Bliższych informacyj udziela kancelarya Akademii Umiej. w Krakowie.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 28 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie Komisji historycznej przy Wydziale II Towarzystwa, na którym p. Józef Siemieński naszkicował zarys metody wydawania rękopisów polskich z XVI wieku. Zdaniem referenta należy ich pisownię modernizować, jednocześnie jednak trzeba o ile możności zachowywać dźwiękowe formy zabytków XVI w., a nadto znaleźć podstawy do dokładnego odczytania tekstu. Potrzebom tym zaradzić — zdaniem referenta — może właśnie metoda wydawnicza, przez niego opracowana. Następnie p. Witold Kamieniecki zdał sprawę z inwentaryzacyi archiwum kapitulnego Łowickiego i archiwum konsystorskiego Warszawskiego. Archiwa te, nie wyzyskane dotychczas zupełnie przez historyków, obfitują w źródła, poczynając od XV wieku. Specyalnie podniósł referent znaczenie archiwum konsystorskiego dla dziejów Warszawy i Mazowsza; jest tam materyał bardzo poważny i bogaty, nadający się do wydania w pierwszych tomach Varsaviensiów. Na zakończenie zebrania p. Henryk Mościcki podał wiadomość o rękopisach, pozostałych po doktorze Stanisławie Morawskim, zwłaszcza zaś o jego pamiętnikach, stanowiących ważny materyał do stosunków obyczajowych i społecznych na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia.

W dniu 12 maja odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którym ogłoszone zostały następujące komunikaty: p. Sl. Miklaszewski: „Gleby powiatu zamojskiego“; p. J. Lewiński: „Przyczynek do znajomości utworów górnojurajskich na Kujawach“; p. Z. Wóycicki: „Przyczynek do cytologii tak zw. tkanki hyperhydrałnej“; p. St. Sterling: „O asymetrii czaszki wielorybów“ (przedstawił p. J. Tur); p. W. Smosarski: „O długości usłonecznienia w Warszawie“ (przedstawił p. W. Gorczyński); p. J. Tur: „O rozrastaniu się pola naczyniowego u zarodków normalnych i platyneurycznych.“

W dniu 6 maja odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którym, po załatwieniu spraw bieżących, wysłuchano referatu z dziedziny antropologii,

opracowanego przez p. Schreibera w sprawie zmian opisowych dzieci chrześcijańskich, żydowskich i karaimskich w Galicyi, oraz referatu p. Biegańskiego o logice. Następnie p. Tadeusz Banachiewicz zwrócił uwagę na rzadkie dzieło Lubienieckiego z r. 1667 p. t. „Theatrum cometicum.“

W dniu 11 maja odbyło się posiedzenie wydziału pierwszego, na którym wygłosili następujące referaty: p. St. Krzemieński: „O miejscu urodzenia Hugona Kołłątaja,“ a w nim, na podstawie dwu dokumentów konsystorza krakowskiego z roku 1769, z których jeden odkrył prof. Waław Tokarz, drugi p. Maryan Dubiecki—obu ogłoszonych w samym komunikacie—stwierdził fakt żadnej już zgoła wątpliwości nie ulegający, że mąż znakomity w narodzie przyszedł na świat w Dederkałach nad Horyniem, w pow. krzemienieckim, o kilka mil od Krzemieńca, w dniu 1 kwietnia 1750 r. Podanie zatem Jana Śniadeckiego o urodzeniu się Kołłątaja w Niesławicach pod Stopnicą ostatecznie, po stu blisko latach, upada. P. M. Kridl (przedstawił p. G. Korbut): „Działalność Mickiewicza w Towarzystwie Filomatów,“ na podstawie nieznanych pism poety, znalezionych w niedawno odkrytym Archiwum Filomatów, które ujawniły niezwykle talent organizacyjny, zadziwiające doświadczenie, przenikliwe oryentowanie się w sytuacji oraz trzeźwość zapatrywań młodego poety.

W dniu 19 maja odbyło się posiedzenie Komisji Meteorologicznej przy Wydziale III. W dziale spraw bieżących przewodniczący Komisji p. S. Dickstein podał wiadomość o rozpoczęciu budowy Obserwatorium Meteorologicznego pod Warszawą przez Zarząd Sieci Meteorologicznej Warszawskiej. Następnie omawiano sprawę organizacji punktu heliograficznego w Karpatach i rozpatrzono ostatnie wydawnictwa polskie z dziedziny meteorologii. W dziale komunikatów p. W. Szaniawski z Przegalin opisał nową konstrukcję wiątromierza, którą nazwał anemofonem; w przyrządzie tym zastosowano telefon do oceny kierunku i prędkości wiatru. Wreszcie p. Wł. Gorczyński wygłosił referat o klatce termometrycznej nowego typu.

— **DZIEJE POROZBIOROWE LITWY I RUSI.** Wydawnictwo popularno-naukowe pod tytułem powyższym zapowiada redakcyja „Kuryera Litewskiego.“ W dziele tem zostanie zobrazowana przeszłość ziem litewsko-ruskich pod względem prawnopolitycznym, społecznym i kulturalnym, od 1772 r. aż do chwili obecnej. Opracowania „Dziejów“ podjął się p. Henryk Mościcki, przedmowę napisze prof. Stanisław Smolka.

Redakcyja „Kuryera Litewskiego“ zwraca się do wszystkich osób, które przeszłość Litwy i Rusi obchodzi z prośbą o nadsyłanie dla ewentualnego użytkowania w zamierzonym wydawnictwie: pamiętników rękopiśmiennych, wspomnień i zapisek rodzinnych, oświetlających bądź jakieś wydarzenie historyczne, bądź też stanowiących przyczynek do charakterystyki danej epoki; korespondencyj wybitniejszych działaczy społecznych i politycznych, literatów i t. p., druków ulotnych, odez w władz, i t. p.; fotografii z nieznanych portretów zasłużonych obywateli, urzędników zarówno Polaków jak Rosyan; scen historycznych, gmachów, pamiątek, rzadkich sztychów i t. d. Wszelkie prze-

syłki i listy należy adresować: Wilno, Redakcyja „Kuryera Litewskiego“—dla wydawnictwa „Dziejów Porozbiorowych Litwy i Rusi.“ Można również porozumiewać się bezpośrednio z autorem „Dziejów“ p. Henrykiem Mościckim (Warszawa — Aleje Ujazdowskie № 16).

N O W E K S I A Ź K I.

— *Kwartalnik litewski.* Wydawnictwo poświęcone zabytkom przeszłości, dziejom, krajoznawstwu i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant. Wychodzi w Petersburgu pod redakcyą Jana Obsta. Rok 1910. Zeszyt I. „Kwartalnik litewski“ podejmuje szczytne choć trudne zadanie odrodzenia ruchu umysłowego na Litwie. Zeszyt pierwszy prócz pięknej odezwy do czytelników, pióra redaktora, wyjaśniającej cele i program wydawnictwa, zawiera szereg interesujących artykułów: d-ra Wł. Zahorskiego o obrazie N. M. Panny Ostrobramskiej; St. Cerchy o pomniku Wojciecha Gasztolda w katedrze wileńskiej, dłuta Jana Cini; L. Zasztowt podaje ciekawą notatkę Homolickiego o grobach królewskich w katedrze wileńskiej; H. Mościcki w artykule: „Przed daleką, nieznajomą drogą“ opowiada na podstawie świadectw archiwalnych o wywiezieniu Filaretów z Wilna w 1824 r.; L. Uziębło kreśli sylwetkę księdza Józefa Mickiewicza; treść zeszytu uzupełniają prace: Szukiewicza „Ślady epoki kamiennej w gub. Wileńskiej“; Méyeta „Słowacki i Stattler“; Marka Gozdawy „Wspomnienie o pijarach witebskich“; Glogera „Inwentarze ruchomości domowych w dawnych wiekach na Litwie“; J. O. rozpoczyna „Herbarz litewski,“ a nadto ogłasza interesujący artykuł z dziedziny ludoznawstwa o „środkach leczniczych ludu naszego“; d-r Czarkowski pisze o „niektórych rzadkich drukach, znajdujących się w księżnicy Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie“; ks. W. Czeczott o „Adamie Wendorffie, ostatnim podkomorzym słuckim“; G. Manteuffel o „Słupim rogu.“ Obfity dział „Silva rerum“ zamyka pierwszy zeszyt „Kwartalnika.“ Zasługuje na zaznaczenie piękna szata zewnętrzna, staranny dobór rysunków i ozdób drukarskich, skopiowanych z oryginalnych druków litewskich XVII i XVIII wieku.

— ERNEST ŁUNIŃSKI. *Wspominki.* Z dni historycznych kart kilka. Z ilustracyami. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Str. 367. Drobiazgi historyczne i przyczynki do dziejów powszechnych i polskich, od wieku XVI począwszy, złożyły się na książkę Łunińskiego. Wartość naukowa tych prac nie jest jednolita — niektóre są tylko streszczeniem znanych w literaturze historycznej badań, niektóre zaś rezultatem samodzielnych, nader sumiennych, studyów archiwalnych autora. Ze względu na nowość materiałów zasługują na uwagę przedewszystkiem szkice o „Spisku Smagłowskiego i księciu Reichstadtu“ oraz „Zamachu na Rzeczpospolitą Krakowską“ (po 1831 r.). „Wspominki“ zawierają nadto prace następujące: Tragikomedia ucieczki Walezego. Ostatnie chwile Jana III. Przymierze prusko-polskie i konstytucya majowa w oświetle-

niu dyplomacyi francuskiej. Czyn kapitana Brzozowskiego pod Raclawicami. Misya de Cache'go. Wśród ucieczki (epizod z 1812 r.). Pani Récamier. Pośrednictwo austriackie w powstaniu listopadowem. Benedek. W załącznikach podane zostały niektóre dokumenty ważniejsze *in extenso*. Barwna forma literacka czyni lekturę „Wspominków“ bardzo zajmującą.

— *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej*. Z archiwum t. zw. bernardyńskiego we Lwowie wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem Wydziału krajowego. Tom XX. Lwów, 1900. Str. I + 639. Kapitałne wydawnictwo „Aktów grodzkich i ziemskich“ rozpoczyna nową dziesięciotomową seryę publikacją laudów sejmików wiszeńskich z 1572—1748 r. Landa powyższe stanowią obfite źródło do poznania przeszłości województwa ruskiego, odbija się w nich bowiem całe gwarne, ruchliwe życie sejmikowe szlachty, wzrost i rozwój parlamentaryzmu i t. d. Tom poprzedza wyczerpująca przedmowa wydawcy, d-ra Antoniego Prochaski.

— *Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych*. Wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. d-ra Tadeusza Piłata. Tom XXI, zeszyt II. Lwów, 1909, str. 209 tekstu, 92 str. tablic statystycznych i 4 mapy. Zeszyt niniejszy podaje „rozsiedlenie ludności Galicyi według wyznania i języka“ w opracowaniu d-ra Józefa Buzka, stanowi zatem niezmiernie cenne źródło do poznania stosunków galicyjskich, zwłaszcza we wschodniej części kraju o ludności mieszanej. Ze względu na palące zagadnienie kwestyi ruskiej dane statystyczne, sumiennie przez d-ra Buzka zgromadzone, niejedną rozstrzygają wątpliwość co do polskiego stanu posiadania w Galicyi Wschodniej.

— ORY JELSKA. *Hanka*. Warszawa, 1910. „Nowości literackie,“ tom XXXI. Nakładem księgarni St. Sadowskiego. Znana czytelnikom „Biblioteki“ powieść p. Ory Jelskiej p. t. „Hanka“ ukazała się obecnie w wydaniu książkowym. Utwór młodej autorki cechuje przedewszystkiem bezpośredniość wrażeń odniesionych przez duszę subtelną i miękką, oraz spora doza szczerego, bezpretensjonalnego przejęcia się własnemi obserwacyami—śnać piórem autorki kierowała nietylko wyobraźnia, lecz i spostrzeżenia z życia realnego, prze-myślane głębiej i głębiej odczute. Szczerosc i świeżosc wiosniana, bijąca z kart tej książki, stanowią największą jej zaletę i korzystnie świadczą o zdolnościach pisarskich młodej debiutantki na niwie powieściopisarstwa naszego.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZEŚCIAŃSKICH. Zeszyt 110 i 111. Marzec, 1910. Warszawa. Redaktor i wydawca Ks. Zygmunt Chełmicki. Praca Naukowa. Przyczynek do metodyki studyów uniwersyteckich, napisał Leopold Fonck S. J., D-r filozofii i teologii, Prof. zwyczajny na wszechnicy Insbruckiej, przekład J. J. Rapackiego.

— **CESKY ČASOPIS HISTORICKÝ.** Rocznik XVI. Zeszyt 2. Praga, 1910. Cląnky: Nejedly Zdenek: Historické dilo O. Hostinského;— Friedrich G.: Rekonstrukce dvou listův (Innocence III), dok.;— Neubauer Alfons: Kněz Prokop Holý (pokrac.);— Šimák V. J.: Nový kronikář český;— Literatura;— Výtahy z Časopisů;— Zprávy.

— **KRYTYKA.** Miesięcznik. Rocznik XII. Maj, 1910. Kraków. Część pierwsza. (f): Princeps movens;— Ze soeyologii współczesnej;— Edw. Grabowski: Utopie społeczne;— H. Orsza: Wychowanie narodowe;— Junius: Współcześni politycy polscy. XVIII. Alfons Parczewski;— Lew Tołstoj: List;— D-r R. Beres: Uprzemysłowienie Galicyi;— Przegląd;— Sprawozdania naukowe. Część druga. Kaz. Rychłowski: Z poezyi „Młodej Belgii“;— D-r Wł. Kozicki: Eros, fragment z życia i twórczości Michała Anioła;— Jan Grabowski: Pogromca bogów (A. Niemojewskiego „Bóg Jezus“);— Waclaw Sieroszewski: Widmo sakurskie;— T. Napiepiński: Tad. Micińskiego „Nictota“;— M. Smolarski: Ty wiecznie trwasz;— Tad. St. Grabowski: List południowo-słowiański;— M. F.: Najmłodszy w literaturze polskiej. III. Piosenkarz „Zielonego balonika“;— Przegląd;— Sprawozdanie z nowości literackich. Dodatek artystyczny: Michał Anioł: Mojżesz; Stworzenie człowieka.

— **KSIĄŻKA.** Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Maj, 1910. Rok 10. № 5. Zagadnienie narodowej polityki (dok.);— Krytyka;— Kronika;— Jeszcze w sprawie Rocznika Sławistycznego;— Odpis wyroku Sądu Honorowego;— Czasopisma;— Bibliografia;— Ogłoszenia.

— **PRĄD.** Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy. Rok II. № 4. Warszawa. Kwiecień, 1910. Marya Szpyrkówna: Oni i one;— Inż. Witold Jarkowski: Żeglarstwo powietrzne (Myśli i fakty);— Prof. A. D. Sertillanges: Idea Boga a powszechne przekonanie ludzkości;— Korespondencye: z Krakowa;— Sprawozdania i krytyki: M. Gugau: Moralność bez powinności i sankcyi;— E. Wasmann T. J.: Trzy odczyty o ewolucyi;— Notatki bibliograficzne. Przegląd czasopism: Anonimowi opiekunowie: Czy wyrodnijemy? Edukacja Maćka;— Z miesiąca: Sensacye. Wybory poznańskie. Międzynarodowe czy międzypanstwowe;— Wolna trybuna: Informacye;— Krystyna Saryusz-Zaleska: Tęsknota;— Kronika;— Od redakcyi. Narady w sprawie wyższych szkół handlowych. Komitet „Pomocy dla młodzieży.“ Kongres chrześcijański. Okólniki ministerjum oświaty. Strajk w petersburskim instytucie elektrotechnicznym. Konkurs na rozprawkę. W sprawie pracowni psychologicznej. Puryszkiewicz działa! Wynik konkursu „Przeglądu filozoficznego.“ Konkurs T-wa Naukowego. Władze szkolne;— Notatki statystyczne: Studenci na uniwersytecie warszawskim. Polski ruch wydawniczy. Ruch podróżnych. Ofiarność na krzewienie wiary. Zmiana wyznania;— Odpowiedzi redakcyi. — Dział młodzieży: Z. Z.: Jeszcze o Woli;— Alfons Dzieciołowski: Hej, wiosna do nas nadchodzi;— J. Knollówna: Cudo kwiat;— Tadeusz Przychodzki: Melodye fał;— Wieczoru mgły;— Jerzy Kamieński: Wychodzący polscy w Europie;— Stanisław Marek: Z cyklu „W bezsenne noce“;— Stanisław Kociemski: W borze. — Sprawy młodzieży: Gimnazya żeńskie. Ćwiczenia w oddychaniu. Biblioteki szkolne. Liczba uczniów szkół średnich. Z powodu samobójstw wśród uczniów. Przekształcenie progimnazjów. Młodzież an-

gielska. Informacje o szkolnictwie polskiem. Szkoły handlowe a Żydzi. Aresztowania. Tow. Opieki Szkolnej w Kielcach. O stopień z religii. Nowe szkoły.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik. Warszawa — Lwów. Rok III. Tom V. № 4. Kwiecień, 1910. Stanisław Kozicki: Przeobrażenie wsi polskiej;—Franciszek Bujak: Szkolnictwo przemysłowe w Galicyi;—Aleksander Kraushar: Życie potoczne Warszawy w czasach Listopadowych (1880 — 1831); — B. Chlebowski: Pogłębienie myśli polskiej w zakresie badań nad literaturą;—Wł. Choroszewski: Z powodu artykułu o zakładach górniczych starachowickich; — A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—B. Wasutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Bibliografia.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Rok XXXVIII. Tom XXXVIII. Zeszyt IV. Kwiecień, 1910. Lwów. Dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Emil Petzold: Ballada Mickiewicza A. Goethego;—Franciszek Szymusik: Julian Dunajewski. Jego poglądy ekonomiczne i skarbowe i działalność ministerjalna. Szkic z dziejów skarbowości austriackiej;—Aleksander Kraushar: Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. Z dyaryusza rękopiśmiennego;—G. Smólski: Orawa i jej ludność polska;—Włodzimierz Zazula: Felicyan Medard Faleński. Studium literackie;—D-r Tadeusz Grabowski: Krytyka literacka. Na emigracyi (1831—1848);—Wacław Jaskłowski: Żarnowiec i jego okolice. Zarys historyczno-etnograficzny;—D-r Kazimierz Hartleb: Kronika literacka.

— SPINKS. Zeszyt 28. Warszawa. Kwiecień, 1910. D-r Adolf Chybiński: Fryderyk Chopin;—Julia Kreczyńska: Luciferus, poemat;—Walery Gostomski: W kaplicy Sykstyńskiej (c. d.);—F. Arnsztajnowa: Z cyklu „Odloty“;—Wacław Sieroszewski: Jak liść jesienny, powieść (c. d.);—Julia Dicksteinówna: Od mitów ku wierzeniom;—Jan Lemański: Kapitalista;—Leopold Méyet: Zapomniana dedykacja;—Wacław Grubiński: Balzac o małżeństwie;—Maryan Wawrzeniecki: Nieco o nudnej nauce archeologii przedhistorycznej; — Wł. Bukowiński: Wrażenia teatralne;—Ignacy Matuszewski: Jeszcze o „Laury“ Wyspiańskiego;—Przeglądy i sprawozdania;—Dodatki artystyczne;—Sprostowania.

— SPRAWOZDANIA Z POSIEDZEŃ TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. Marzec, 1910. Warszawa. Wydział językoznawstwa i literatury. № 2. Posiedzenie z dn. 9 marca 1910 r. Karol Appel: Język i sztuka, lingwistyka i estetyka.—Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. № 4. Posiedzenie z dn. 5 marca 1910 r. Władysław Biegański: Neo-teologia.—Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. № 3. Posiedzenie z dn. 3 marca 1910 r. J. Eismond: Cytotropizm (?) niezaplodnionych jaj jeżowców;—Z. Weyberg: Z badań nad biotytami; — Jan Sosnowski: Dalsze badania nad kernleiterami;—Wł. Gorczyński: Sur la valeur de la „constante solaire“ d'après les mesures prise à Ursynów (Pologne) en été 1909;—Od redakcyi.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Rocznik VI. Tom I. № 64. Kwiecień, 1910. Kraków. Roman Zawiliński: Słowianie współcześni pod względem terytoryalnym i statystycznym;—D-r Feliks Koneczny: Rzekomy separatyzm morawski;—Jan Nitowski: Islam i katolicyzm w Bośni w chwili obecnej;—T. G. Masaryk;—Słowak: Slovak-slovensky;—Recenzje i sprawozdania;—Przegląd prasy słowiańskiej;—Kronika.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ALKOHOLIZM i sprawa robotnicza. Podług R. Tröhlicha, opracował d-r Stanisław Skalski. Wydanie drugie. Łódź, 1910. Nakładem oddziału Łódzkiego Tow. Hygienicznego Warsz.

AULARD, CARNOT, BAX I INNI: Historia rewolucyi francuskiej, według autorów powyższych opracował Wł. M. Kozłowski. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1910. (Podstawy wykształcenia współczesnego. Tom XIII).

BAKOWSKI KLEMENS: Z dziejów współczesnej sztuki krakowskiej (z 4 rycinami). Kraków, 1910. Spółka wydawnicza.

BOSMA H.: Dzieci nerwowe. Uwagi lekarskie, wychowawcze i ogólne; przełożył d-r Kazimierz Niedzielski. Warszawa, 1910. „Biblioteka dzieł wyborowych“ № 636.

BRODZIŃSKI KAZIMIERZ: Nieznane poezye. Wydał z rękopisów d-r Aleksander Łucki. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

DUMAS ALEKSANDER (Ojciec): Karol Szalony. Powieść historyczna. Tom II z 11 ilustracyami. Dodatek do Tygodnika Illustrowanego w miesięczniku „Ciekawe Powieści,” poświęconym wybitniejszym powieściom i romansom polskim i obcym. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

ERNST MARCIN, PROF. DR.: O końcu świata i kometach. Warszawa, 1910. (Biblioteka dzieł wyborowych).

FOURNIER A., PROF. DR.: Czy mogę się wyleczyć. Z upoważnienia autora tłómaczył d-r A. Buraczyński, lekarz sztabowy. Lwów, 1910. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

GAWIŃSKI ANTONI: Józef Buchbinder — polski malarz religijny (1839 — 1909). Na zasadzie źródeł biograficznych, zebranych przez Maryana Wawrzeńckiego, napisał... 42 jednobarwnych reprodukcji, oraz jedna kolorowa. Warszawa, 1910. Nakładem Stefana Dziewulskiego.

KOZŁOWSKI WŁADYSŁAW M.: Historia filozofii w XIX wieku, od początku tego stulecia do chwili bieżącej. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1910. (Podstawy wykształcenia współczesnego. Tom XII).

LAGRANGE FERD., DR.: Hygiena ruchu dla dzieci i młodzieży, z oryginału streściła W. N. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. (Książki dla wszystkich).

L'ÉVOLUTION DE L'IRREDENTISME POLONAIS. Wydanie „Journal de St.-Petersbourg.“ Petersburg, 1910.

ŁAGOWSKI FLORYAN: *Historia literatury polskiej w zarysie. Część VIII, po roku 1863.* Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa. (Książki dla wszystkich).

M. F.: *Dzieje początków pisma.* Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa. (Książki dla wszystkich).

MALCZEWSKI ANTONI: *Marya. Powieść ukraińska.* Wydanie nowe ze wstępem F. Wł. Woycieckiego i z objaśnieniami. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. (Biblioteka Narodowa № 3).

MINKIEWICZ ROMUALD: *U wiecznych wrót tęsknicy. Treść: Technienie wieczności w poezji Stanisława Wyspiańskiego. Hymny Jana Kasprowicza. Mądrość i pogoda Leopolda Staffa.* Warszawa, 1910. Nakład Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

O SAMORZĄDZIE ziemskim na Litwie i Białejrusi. Opracował Józef Folejewski, uzupełnił Tadeusz Wróblewski. Wilno, 1910. Druk Józefa Zawadzkiego.

OSWALD BALZER: *Jeszcze o punktach spornych pisowni polskiej.* Lwów, 1910. Nakładem autora.

OSTWALD WILHELM: *Jak powstała chemia. Siedm wykładów popularnych z historii chemii.* Z II wydania niemieckiego przełożyli prof. Ludwik Bruner i Stanisław Tołłoczko. Wydawnictwo „Wiedza i Życie.” Lwów, 1910. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp.

PIENIĄDZE, ich powstanie, rozwój i stan dzisiejszy, opracował Zbigniew Kamiński. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. (Książki dla wszystkich).

PRZEWODNIK po dawnym opactwie Cystersów w Sulejowie, skreślił Michał Rawita-Witanowski, członek-korespondent P. T. Kr. Piotrków, 1910. Nakładem oddziału piotrkowskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

REYMONT WŁADYSŁAW ST.: *Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki.* Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa.

SIENKIEWICZ HENRYK: *Krzyżacy. Powieść historyczna w czterech tomach.* Wydanie popularne w pięćsetną rocznicę Grunwaldu. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

SŁOWACKI JULIUSZ: *W Szwajcaryi i inne poezye.* Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. (Biblioteka Narodowa № 27).

ŻMIJEWSKA EUGENIA: *Z pamiętnika niedosłej literatki. Nowele i obrazki.* Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

ŻULAWSKI JERZY: *Zwycięzca. Powieść.* Kraków-Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.
